

# Conan najemnik

Robert Howard



calibre 0.9.27



# Conan: Najemnik<sup>WSTĘP</sup>

Spośród ogromu literatury fantastycznej szczególnym powodzeniem cieszą się utwory w stylu fantasy, wywodzące swój rodowód od mitów, legend i poematów starożytnych ludów. Wydaje się, że ich popularność spowodowana jest wyraźnym pokrewieństwem ze światem baśni, a także stopniowym spadkiem zainteresowania fantastyką naukową utrzymaną w konwencji “hard”, epatującą czytelnika drobiazgowymi, najczęściej quasi-naukowymi opisami zjawisk i technologii. Sprzyjają temu również tendencje eskapistyczne pojawiające się zawsze w okresach kryzysów, oraz wzmagające się rozczarowanie owocami postępu technicznego.

Brak jednoznacznej definicji stylu fantasy sprawia, że część krytyków kategorycznie zaprzecza istnieniu fantastyki baśniowej jako odrębnego podgatunku. Taką opinię wyraża na przykład Stanisław Lem w posłowie do wydanej ostatnio książki Ursuli K. Le Guin “Czarnoksiężnik z archipelagu”. Chyląc czoła przed mistrzem uważam jednak, że można wyróżnić dwa podstawowe kryteria odróżniające fantastykę baśniową od reszty gatunku; drobiazgowo opracowane tło pseudohistoryczne, pseudoetnograficzne i pseudogeopolityczne oraz występowanie sił magicznych przy jednoczesnym braku zaawansowanych nauk i technologii. Wielbiciele trylogii J. R. R. Tolkiena z pewnością się ze mną zgodzą.

W Polsce ukazało się niewiele pozycji reprezentujących styl fantasy. Wspominana już książka Ursuli K. Le Guin razem z jej uprzednio wydanym zbiorem opowiadań pt. “Wszystkie strony świata” oraz trzy dzieła J. R. R. Tolkiena (“Hobbit, czyli tam i z powrotem”, “Władca pierścieni”, “Rudy Dżil i jego pies” - przy czym ostatnia pozycja nie jest już fantasy sensu stricto) zamykają listę. Paru innych autorów znanych jest polskim czytelnikom z krótkich opowiadań drukowanych w różnych periodykach (np. Andre Norton, Henry Kuttner) i fragmentarycznych wzmianek krytyki. Miesięcznik “Fantastyka” wydał numer poświęcony fantastyce baśniowej. Jak do tej pory jednak nazwiska czołowych przedstawicieli gatunku, począwszy od pionierów - Williama Morrisa, Lorda Dunsany i Erica R. Eddisona, po twórców późniejszych - R. E. Howarda, C. A. Smitha, C. L. Moore, L. S. de Campa i M. Moorcocka, nie są znane ogółowi czytelników w naszym kraju.

Obecnie prezentujemy wielbicielom świata “Miecza i Magii” niezwykle popularnego na Zachodzie bohatera - Conana, stworzonego przez amerykańskiego pisarza R. E. Howarda. Robert Ervin Howard (1906-1936) napisał kilka serii powieści w stylu fantasy, z których najdłuższą i cieszącą się największym powodzeniem jest seria obejmująca opowieści o Conanie. Za życia Howarda opublikowano 18 utworów, których bohaterem był Conan - 8 innych w różnym stopniu zaawansowania odkryto w papierach pisarza po jego śmierci.

Rozpoczynając serię opowiadań o Conanie, Howard skonstruował własną wizję świata, w którym umieścił bohatera, drobiazgowo opracowując tło swych utworów w eseju “The Hyborian Age”. Pisząc kolejne części sagi, Howard opierał się na wymyślonych przez siebie faktach z żelazną konsekwencją, cechującą, jak twierdził: “każdego dobrego pisarza powieści historycznych”. Właśnie te solidne podstawy świata sprawiają, że przygody Conana są wciąż

interesującą lekturą - podobnie jak zaliczane do klasyki utwory Tolkiena. Tym, których oburzy zestawienie nazwisk obu pisarzy przypomnę tylko, że "Władca pierścieni" Tolkiena powstał w latach 1936 - 1943, a "Hobbit..." w roku 1937, a więc wtedy, gdy Howard już nie żył.

Akcja opowiadań składających się na sagę o Conanie toczy się na Ziemi około 12 tysięcy lat temu. W tym czasie (wg Howarda) zachodnie części głównego kontynentu Wschodniej Półkuli zajmowały królestwa hyboreańskie, założone 3 tysiące lat wcześniej na ruinach imperium zła - Acheronu przez Hyborian, najeźdźców z północy. Na południe od królestw hyboreańskich leżały klótlive miasta - państwa Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii; rywal i partner Acheronu w krwawych dniach jego chwały. Jeszcze dalej na południe, za pustyniami i sawannami leżały barbarzyńskie Czarne Królestwa. Na północ od Hyborii ciągnęły się surowe ziemie Cymmerii, Hyperborei, Asgardu i Vanaheim. Na zachodzie, wzdłuż wybrzeży oceanu, zamieszkiwali dzicy Piktowie, a na wschodzie błyszczą bogate królestwa hyrkaniańskie, z których najpotężniejszym był Turan. Conan był barbarzyńskim awanturnikiem urodzonym w Cymmerii - północnej krainie poszarpanych skał i pustego nieba. Po ojcu kowalu odziedziczył herkulesową siłę i posturę. Już jako piętnastoletni chłopiec bierze udział w pładrowaniu Venarium, aguilońskiego posterunku granicznego. W rok później przyłącza się do oddziału Esirów i zostaje schwytany przez Hyperborejów podczas grabieżczej wyprawy na ich ziemie. Ucieka z niewoli i wędruje na północ, do królestwa Zamory. Przez kilka lat wiecie tam i w przyległych królestwach Koryncji i Nemedii ryzykowny żywot złodzieja. Nienawykły do cywilizacji i samowolny z natury, wrodzonym sprytem i siłą nadrabia braki w edukacji. Zmęczony głodową egzystencją zaciąga się jako najemnik w szeregi armii Turanu. Przez następne dwa lata odbywa liczne podróże daleko na wschód, do legendarnych ziem Meru i Khitanu. Po wielu perypetiach wynajmuje swoje żołnierskie usługi kolejnym państwom hyboreańskim. Zmuszony do ucieczki z Argos staje się piratem u wybrzeży Kush razem z shemicką kobietą-piratem, Belit. Tam zdobywa sobie imię Amra-Lew. Po utracie Belit Conan znów powraca do żołnierskiego rzemiosła - tym razem w Shemie i przyległych państwach. Później przeżywa przygody wśród wyjętych spod prawa jeźdźców wschodnich stepów, wśród piratów na Morzu Vilayet, wśród górskich szczepów zamieszkujących Góry Himeliańskie na granicach Iranistanu i Vendhyi (znów następny okres żołnierski w Koth i Argos, po którym zostaje najpierw piratem na wyspach Baracha, później kapitanem zingarańskich bukanierów... itd., itd. ). Pełna saga o Conanie liczy ponad dwadzieścia tomów i nie sposób w tym miejscu choćby pobieżnie streścić jego burzliwy żywot.

Pirat i wierny żołnierz - hulaka, niezwyknięty w boju, szlachetny wobec słabszych, wrażliwy na blask złota i kobiece wdzięki, nieustraszony Conan brnie przez potoki krwi zwyciężając ludzi, potwory i podstępnych czarowników, by w końcu zostać królem potężnego państwa - Aguilonii.

Okolo 500 lat po czasach Conana Wielkiego, większość królestw Ery Hyboreańskiej zmyła fala najazdu barbarzyńców. Przez kilkaset następnych lat Ziemię zamieszkiwały nieliczne, wędrownie plemiona wечно walczących ze sobą koczowników. Później resztki cywilizacji zostały starte przez ostatni pochód lodowców i potężne wstrząsy tektoniczne. Wtedy właśnie powstało Morze Śródziemne i Morze Północne, wielkie Morze Vilayet zmniejszyło się do rozmiarów dzisiejszego Morza Kaspijskiego, a z fal Atlantyku wynurzyły się

**rozległe obszary Afryki Zachodniej. Ludzkość stoczyła się do poziomu prymitywnych dzikusów. Po cofnięciu się lodowca cywilizacja znów zaczęła się rozwijać osiągając stan dzisiejszy.**

**Zapraszam wszystkich do hyboreańskiego świata i życzę przyjemnej lektury!**

**Poznań, grudzień 1989 r. *Zbigniew A. Królicki***

**(The Pool of the Black One)**

*Porzucając złodziejską profesję Conan staje się piratem zdobywając sobie przydomek Amra-Lew. Wraz z Belit - piękną współtowarzyszką pirackich rajdów - łupi i niszczy kupieckie statki oraz nadmorskie osady. Nie sprzyja mu jednak szczęście. Z opresji obronną ręką wychodzi żywy, lecz najczęściej samotny. Śmierć Belit jest kolejnym ciosem pozbawiającym go bliskiej mu duszy. Raz jeszcze udaje mu się umknąć przed zemstą przerażających mrocznych sił zła stojących na straży legendarnych bogactw H'nora. Uciekając przed nimi decyduje się na samotny rejs przez Ocean Zachodni łudząc się, że może i tym razem uratuje swą skórę. Nie wie, jak trudno jest umknąć przed zemstą raz nierozważnie ożywionych pradawnych mocy.*

*Na zachód, gdzie człowiek nigdy nie bywał, okręt za okrętem z dawien dawna pływał. Co Skelos napisał czytaj, jeśliś śmiały, gdy trupie ręce togę mu szarpały; i płyn za statkami mimo wichrów siły... Płyn za statkami, które nie wróciły.*

Sancha, niegdyś mieszkanka Kordavy, ziewnęła beztrzesko, leniwie przeciągnęła gibkie ciało i ułożyła się wygodnie na lamowanym gronostajami jedwabiu rozpostartym na górnym pokładzie rufowym karaweli. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że załoga dziobu i śródokręcia przygląda się jej z lubieżnym zainteresowaniem, jak również z tego, że krótka, jedwabna tunika nie zakrywa powabów jej bujnego ciała. Uśmiechnęła się wyzywająco, gotowa łowić ich znaczące mrugnięcia zanim osłepi ją słońce, którego złota tarcza właśnie wyłoniła się z morza.

Nagle do jej uszu dotarł jakiś dźwięk, w niczym nie przypominający trzeszczenia wiązań, skrzypienia lin czy plusku fal. Usiadła i spojrzała na nadburcie, przez które - ku jej beżmiernemu zdziwieniu - przechodził jakiś mężczyzna. Dziewczyna szeroko otworzyła swe czarne oczy, a jej usta rozchyliły się w zdumionym "O!". Intruz był jej zupełnie nie znany. Strugi wody spływały mu po szerokiej piersi i muskularnych ramionach. Jasnoczerwone, jedwabne bryczesy będące jego jedynym odzieniem były zupełnie przemoczone, tak samo jak szeroki pas ze złotą klamrą i skórzana pochwa, w której tkwił długi miecz. Stojąc przy relingu, obramowany blaskiem wschodzącego słońca, mężczyzna zdawał się olbrzymim posągim z brązu.

Przesunął palcami po ociekającej wodą czarnej grzywie włosów, a w jego niebieskich oczach zapalił się błysk uznania, gdy ich spojrzenie padło na dziewczynę.

- Kim jesteś? - spytała. - Skąd się tu wzięłeś?

Nie odrywając od niej oczu wskazał za siebie gestem, który objął pół horyzontu.

- Czy jesteś trytonem, że wylaniasz się z morza? - zapytała, stropiona jego bezceremonialnością, chociaż zdążyła już przywyknąć do pełnych podziwu spojrzeń.

Zanim zdążył odpowiedzieć, o pokład zadudniły szybkie kroki i kapitan statku przeszył intruza gniewnym spojrzeniem, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Kimże do diabła jesteś? - spytał niezbyt przyjaznym tonem.

- Jestem Conan - odparł tamten z niezmaconym spokojem.

Sancha jeszcze baczniej nastawiła ucha; jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś mówił po zingarańsku z takim dziwnym akcentem.

- Jak się dostałeś na pokład mojego statku? - pytał podejrzliwie kapitan.

- Przypląnąłem.

- Przypląnąłeś?! - wykrzyknął pytający ze złością. - Żarty sobie ze mnie stroisz, psie? Jesteśmy daleko od lądu. Skąd przybywasz?

Conan wskazał muskularnym, opalonym ramieniem na wschód, gdzie nad horyzontem stała osłepiająca, złocista poświata wylaniającego się słońca.

- Przybywam z Wysp.

- Ach tak! - kapitan spojrział nań z rosnącym zainteresowaniem. Jego czarne brwi zmarszczyły się gniewnie, a cienkie wargi wykrzywił nieprzyjemny grymas. - A więc jesteś jednym z tych barachańskich psów.

Conan uśmiechnął się.

- Wiesz kim jestem? - dopytywał się kapitan.

- Ten statek to "Wastrel", zatem ty musisz być Zaporavo.

- Tak!

To, że przybysz słyszał o nim, mile polechtało próżność Zaporavo. Był mężczyzną równie wysokim jak Conan, chociaż znacznie szczuplejszym. Jego okolona stalowym hełmem twarz była smagła i posępna. Ze względu na ostre rysy załoga nazywała go Jastrzębiem. Miał na sobie świetną zbroję i kosztowne szaty skrojone na modłę zingarańską. Jego dłoń zawsze spoczywała w pobliżu rękojści miecza.

W spojrzeniu, jakim mierzył Conana, nie było cienia sympatii. Zingarańscy renegaci i wyjęci spod prawa rabusie, od których roilo się wybrzeże Zingary i na leżących na południe od niego Wyspach Barachańskich, nie palali do siebie sympatią. Barachańscy rabusie byli przeważnie marynarzami z Argos, chociaż można było wśród nich spotkać również inne nacje. Napadali na statki handlowe i nadbrzeżne miasta Zingary tak samo jak Zingarańscy bukanierzy, chociaż ci dodawali swemu zajęciu splendoru nazywając się korsarzami i uważając Barachańczyków za piratów. Nie oni pierwsi i nie ostatni próbowali nadać piękną nazwę zwykłemu rozbojowi.

Niektóre z tych myśli przeleciały Zaporavo przez głowę, gdy stał bawiąc się rękojeścią miecza i mierząc ostrym spojrzeniem nieproszonego gościa. Conan niczym nie zdradzał swoich uczuć. Stał z rękami założonymi na piersi i uśmiechał się z niezmałym spokojem, jakby znajdował się na pokładzie swojego statku.

- Co tu robisz? - spytał nagle kapitan.

Zeszłej nocy musiałem opuścić moich przyjaciół w Tortadze - odparł Conan. - Odplynąłem przeciekającą łódką; przez całą noc wioslowałem i wylewałem wodę. Tuż po wschodzie słońca zobaczyłem maszty twojego statku i zostawiłem tę nędzną krypę własnemu losowi; skoczyłem do wody i poplynąłem.

- W tych wodach są rekiny - mruknął Zaporavo i poczuł irytację, gdy Conan w odpowiedzi wzruszył potężnymi ramionami. Kapitan rzucił okiem na śródokręcie i dostrzegł dziesiątki zwróconych ku nim twarzy. Na jedno jego słowo marynarze przetoczyliby się przez pokład niczym stalowy walec, miażdżąc nawet tak groźnego przeciwnika, jakim zdawał się być przybysz.

- Czemu miałbym zabierać na pokład każdego obdartego przybłędę, który wynurzy się z morza? - warknął Zaporavo, a jego mina i gest były bardziej obraźliwe niż słowa.



- Na statku zawsze przyda się jeszcze jeden dobry marynarz - odparł tamten bez urazy. Zaporavo zmarszczył brwi, wiedząc, że to prawda. Zawahał się i w ten sposób stracił statek, dziewczynę i życie. Jednak, rzecz jasna, nie mógł zajrzeć w przyszłość i Conan był dla niego tylko zwykłym rozbitkiem wyrzuconym przez fale. Wprawdzie ten przybysz nie podobał mu się, jednak niczym go nie sprowokował. Jego zachowanie nie dawało powodu do obrazy, chociaż jak na gust Zaporavo był nazbyt pewny siebie.

- Zapracujesz na swoje utrzymanie - warknął Jastrząb. - Złaż na pokład. I pamiętaj, że na tym statku moja wola jest jedynym prawem.

Grube wargi Conana rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Bez wahania, ale i bez pośpiechu odwrócił się i zszedł na śródokręcie. Nie spojrział więcej na Sanchę, która bacznie przysłuchiwała się rozmowie, cała zmieniając się w słuch.

Gdy Conan zszedł na dół, załoga otoczyła go ciasnym pierścieniem; półnaczy Zingarańczycy w krzykliwych strojach poplamionych smołą, błyskający złotymi kolczykami i wysadzanymi klejnotami rękojeściami tkwiącymi w pochwach sztyletów. Niecierpliwie czekali na uświęconą tradycją zabawę powitania nowego kamrata. Miało to zadecydować nie tylko o jego losie, ale i o przyszłej pozycji wśród załogi. Stojący na górnym pokładzie Zaporavo już widocznie zapomniał o istnieniu przybysza, ale Sancha patrzyła w pełnym napięciu oczekiwaniu. Dobrze znała te zabawy i wiedziała, że zawsze są brutalne i często krwawe.

Jednak jej wiedza była znikoma w porównaniu z doświadczeniem Conana. Ten uśmiechnął się lekko, gdy zszedł na śródokręcie i ujrzał otaczający go tłum groźnych postaci. Nie okazując cienia strachu zmierzył ich nieprzeniknionym spojrzeniem. W tych sprawach obowiązywał pewien niepisany kodeks. Gdyby zaatakował kapitana, cała załoga skoczyłaby mu do gardła, ale teraz czekała go walka z jednym tylko przeciwnikiem.

Człowiek, którego do tego wybrali, wysunął się naprzód - żyłasty zabijaka z głową obwiązaną czerwoną szarfą, niczym turbanem. Mężczyzna ten miał wystający, chudy podbródek i niewiarygodnie brzydka, poznaczoną bliznami twarz. Każde jego spojrzenie i gest były obraźliwe i wyzywające. Sposób, w jaki zamierzał sprowokować bójkę, był równie prymitywny i nieokrzesany jak on sam.

- Z Wysp Barachańskich, co? - parsknął. Tam psy udają ludzi. My z Bractwa plujemy na nich - o tak!

Plunął Conanowi w twarz i chwycił za miecz.

Ruchy Barachańczyka były zbyt szybkie, aby je pochwycić wzrokiem. Jego ogromna pięść ze straszliwą siłą uderzyła w szczękę przeciwnika, który wyleciał w powietrze i spadł jak zmięty lachman przy relingu.

Conan odwrócił się do pozostałych. W jego zachowaniu nie dostrzegli żadnej zmiany; tylko w oczach zapalił mu się ponury błysk. Jednak zabawa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Marynarze podnieśli swego towarzysza; złamana szczęką opadła mu na piersi, a głowa odchyliła się pod nienaturalnym kątem.

**- Na Mitrę, ma złamany kark! - zakrzyknął jeden z piratów.**

**- Wy, korsarze macie słabe kości - zaśmiał się Conan. - Na Wyspach Barachańskich nie zwracamy uwagi na takie klapsy. A może któryś z was chce spróbować się ze mną na miecze? Nie? No to wszystko w porządku i jesteście przyjaciółmi, no nie?**

**Zgodny chór głosów zapewnił go, że to prawda. Krzepkie ręce przerzuciły trupa przez burtę i tuzin pletw natychmiast przeciął wodę zmierzając ku miejscu, gdzie zatoneły zwłoki. Conan roześmiał się i wyprężył potężne ramiona przeciągając się leniwie jak wielki kot. Jego spojrzenie pobiegło ku górnemu pokładowi. Sancha przechyliła się przez reling; pełne wargi miała rozchylone, a w oczach wyraźne zainteresowanie. Świecące za jej plecami słońce prześwieślało jej cienką tunikę, ukazując kontury gibkiego ciała. Nagle pojawił się przy niej groźny cień Zaporavo i ciężka ręka objęła władczy gestem smukłe ramiona dziewczyny. W spojrzeniu, jakim kapitan zmierzył stojącego na śródokręciu przybysza, była wyraźna groźba i ostrzeżenie; Conan odpowiedział uśmiechem, jakby śmiał się z jakiegoś sobie tylko znanego żartu.**

**Zaporavo popełnił błąd, jaki popełnia wielu tyranów; odizolowany w ponurej wspaniałości górnego pokładu nie docenił swego przeciwnika. Miał okazję zabić Conana i stracił ją pogrążony w swych posępnych rozmyślaniach. Nie był w stanie wyobrazić sobie, że któryś z tych psów na dolnym pokładzie mógłby stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Od tak dawna był kapitanem i pokonał tylu wrogów, że podświadomie uznał, iż jest ponad zakusy ewentualnych rywali.**

**Conan rzeczywiście niczym go nie prowokował. Zbratał się z załogą, żył i bawił się razem z nimi. Okazał się doświadczonym marynarzem i najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli. Pracował za trzech i zawsze był pierwszy do każdej ciężkiej czy niebezpiecznej roboty. Towarzysze zaczęli na nim polegać. On nigdy się z nimi nie kłócił, a i oni starali się z nim nie spierać. Grał z nimi w kości; postawił swój pas i pochwę na miecz, wygrał ich oręż i pieniądze, po czym oddał im wszystko ze śmiechem. Załoga instynktownie uważała go za przywódcę forkasztelu. Nie spieszył się ze zwierzeniami i nie wyjaśnił, dlaczego musiał uciekać z Wysp Barachańskich, jednak świadomość tego, że był zdolny do czynów tak krwawych, że wykluczyły go z szeregów pirackiego bractwa zwiększyło tylko respekt, jakim darzyli go nowi towarzysze. Wobec Zaporavo i jego oficerów zachowywał się niezwykle uprzejmie, nigdy nie był bezczelny czy służalczy.**

**Nawet najmniej rozgarnięty korsarz musiał dostrzec różnicę między małomównym, szorstkim kapitanem a piratem, który śmiał się często i głośno, znał wesołe ballady w kilku językach, złapał piwsko jak smok i nigdy nie myślał o jutrze.**

**Gdyby Zaporavo wiedział, że chociaż nieświadomie, jednak porównywano go ze zwykłym marynarzem z forkasztelu, zaniemówiłby z gniewu i zdumienia. Jednak był zbyt pogrążony w swoich rozważaniach, które w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej mroczne i ponure; w dziwnych snach o wielkości i myślach o dziewczynie, z której posiadania czerpał tyleż przyjemności ile gorczy, jak ze wszystkich swoich przyjemności. Ona zaś coraz częściej spoglądała na czarnowłosego giganta, który przewyższał swoich towarzyszy w pracy i w**

zabawie. Nigdy nie odezwał się do niej nawet słowem, ale trudno było nie zrozumieć wymowy jego spojrzeń. Dziewczyna zastanawiała się, czy odważy się na ryzykowną grę kokietowania przystojnego marynarza.

Wprawdzie od czasów, gdy pędziła dni w pałacach Kordavy, nie upłynęło tak wiele czasu, ale zdawało jej się, że ocean wydarzeń dzieli ją od życia, jakie wiodła zanim Zaporavo uniósł ją wrzeszczącą z płonącej karaweli, którą płądrowała jego zgraja. Ukochana i rozpieszczona córka księcia Kordavy dowiedziała się, jak to jest być zabawką bukaniera, a ponieważ była na tyle giętka, by się nagiąć i nie złamać przeżyła to, co zabiło wiele innych kobiet, a ponieważ była młoda i pełna życia, zdołała nawet znaleźć trochę przyjemności w tej egzystencji. Było to niespokojne, podobne do snu życie, pełne rzezi, pożogi, bitew i ucieczek, a krwawe wizje Zaporavo czyniły je jeszcze bardziej niepewnym. Nikt nigdy nie wiedział, co zamierza kapitan. Już dawno zostawili w tyle oznaczone na mapach akweny i zagłębiali się wciąż dalej i dalej w nieznanne, puste obszary zwykle nieuczęszczane przez żeglarzy, albowiem od zarania dziejów zapuszczające się tu statki na zawsze znikwały z ludzkich oczu. Wszystkie znane lądy pozostały za nimi i dzień po dniu przed oczami załogi rozciągał się tylko błękitny, pofalowany bezmiar. Nie było tu żadnych widoków na lupy: ani miast do złupienia, ani statków do zdobycia. Ludzie mruzczyli, chociaż robili to tak, by nie słyszał ich nieubłagany kapitan, który w ponurym majestacie przemierzał niestrudzenie górny pokład lub ślęczał nad starymi, pożółkłymi mapami, albo czytał księgi o zbutwiałych, rozsypujących się kartach. Czasami opowiadał dziewczynie o zaginionych lądach i legendarnych wyspach wznoszących się wśród spienionych fal u niezbadanych brzegów, gdzie rogate smoki strzegły skarbów zebranych przez pradawnych królów.

Sancha słuchała go nie rozumiejąc i obejmując splecionymi rękami szczupłe kolana coraz częściej uciekała myślami od swego posępnego pana do smagłego, niebieskookiego olbrzyma, którego śmiech miał siłę morskiego wichru.

I tak, po wielu nużących tygodniach podróży, dostrzegli wreszcie ląd i o świcie zarzucili kotwicę w płytkiej zatoczce. Ujrzeni plażę, podobną do białej obrączki otaczającej bezmiar łagodnych, pokrytych trawą zboczy zasłoniętych wysokimi drzewami. Wiatr przyniósł zapach kwiecia i świeżej roślinności. Sancha klasnęła w dłonie, ciesząc się na myśl o ciekawej wycieczce na ląd. Jednak jej niecierpliwość zmieniła się w przygnębienie, gdy Zaporavo kazał jej zostać na pokładzie dopóki po nią kogoś nie przyśle. Nigdy nie tłumaczył swojego postępowania, tak więc nigdy nie знаła jego pobudek, chyba że drzemiący w nim demon kazał mu krzywdzić ją bez powodu.

Tak więc siedziała zgnębiona na górnym pokładzie i patrzyła na łódź płynącą do brzegu przez spokojne wody, które skrzyły się w słońcu jak płynny nefryt. Zobaczyła, jak załoga wysiada na piasek rozglądając się wokół podejrzliwie i trzymając broń w pogotowiu. Kilku zagłębiło się w kępy drzew okalających plażę. Wśród nich dostrzegła Conana, nieomylnie wylawiając z tłumu jego barczystą, wysoką postać. Ludzie mówili, że on nie był cywilizowanym człowiekiem, lecz Cymmerianinem, jednym z tych barbarzyńskich górali, którzy zamieszkują nagie wyżyny dalekiej Północy i szerzą strach wśród swych południowych sąsiadów. Dziewczyna wiedziała, że coś w tym musi być; miał w sobie jakąś niezwykłą witalność, która

wyróżniała go spośród reszty załogi.

Głosy bukanierów odbijały się głośnym echem od brzegu; cisza dodała im odwagi. Rozproszyli się po plaży w poszukiwaniu owoców. Widziała, jak wspinają się na drzewa i ślina napłynęła jej do ust. Tupnęła drobną stopą i zakłęła z wprawą nabytą poprzez przystawanie z nieokrzesanymi kompanami.

Ci na brzegu rzeczywiście znaleźli owoce i zażerali się nimi łapczywie, szczególnie jakąś nieznaną odmianą jabłek o złocistej skórce. Zaporavo nie szukał owoców i nie jadł ich. Kiedy wysłani w głąb lasu zwiadowcy wrócili nie znajdując żadnych śladów wskazujących na obecność ludzi czy zwierząt, przez chwilę stał spoglądając na wyspę, na długie szeregi łagodnych zboczy wznoszących się jedno za drugim. Później, rzuciwszy krótki rozkaz, podciągnął pas i wszedł między drzewa. Jeden z jego zastępców zaprotestował przeciw tej samotnej wyprawie i w nagrodę za swoją troskę otrzymał potężny cios w twarz. Zaporavo miał swoje powody, by iść na rekonesans bez asysty. Chciał się przekonać, czy wyspa jest istotnie tą, o której Skelos w swojej księdze pisał, że wedle bezimiennych mędrców dziwne potwory strzegą na niej lochów pełnych pokrytego hieroglifami złota. Nie miał zamiaru dzielić się swymi domysłami - jeżeli były trafne - z kimkolwiek, a szczególnie ze swoją załogą. Sancha, pilnie obserwująca go z pokładu, widziała, jak Zaporavo znika w gąszczu. Po chwili zobaczyła, że Conan odwraca się i obrzuciwszy uważnym spojrzeniem rozproszonych po plaży piratów rusza szybkim krokiem w ślad za kapitanem.

Sancha poczuła ukłucie ciekawości. Spodziewała się, że obaj mężczyźni znów się pojawią na brzegu, ale tak się nie stało. Marynarze wałęsali się tu i tam; kilku poszło w głąb wyspy. Wielu ułożyło się w cieniu i zapadło w sen. Czas płynął i dziewczyna zaczęła się wiercić niespokojnie. Słońce przygrzewało coraz mocniej mimo baldachimu rozpiętego nad pokładem. Było gorąco, cicho i sennie, gdy tymczasem kilkadziesiąt jardów dalej, za pasem płytkiej, błękitnej wody wabił ją chłodny cień okolonej drzewami plaży i zielonej gęstwiny. Poza tym nie dawało jej spokoju dziwne zachowanie Zaporavo i Conana. Dobrze wiedziała, jakiej kary za nieposłuszeństwo może oczekiwać od swojego bezlitosnego pana, dlatego też długo wahała się. W końcu zdecydowała, że dla wyjaśnienia zagadki warto nawet narazić się na bicie i niezwłocznie zrzuciła miękkie, skórzane sandały oraz cienką tunikę i stanęła na pokładzie naga jak w dniu narodzin. Przeszła przez reling i spuściwszy się po łańcuchu kotwicznym weszła do wody i popłynęła do brzegu. Przez chwilę stała na plaży, drepcząc w ciepłym, laskoczącym w stopy piasku i rozglądając się dokoła. Dostrzegła tylko kilku marynarzy i to dość daleko od miejsca, gdzie stała. Wielu z nich spało pod drzewami wciąż ściskając w rękach nie dojedzone, złociste owoce. Sancha przelotnie zastanowiła się, dlaczego sen zmorzył ich o tak wczesnej porze.

Nikt jej nie zatrzymywał, gdy przekroczyła biały pas piasku i weszła w cień lasu. Zaraz też przekonała się, że drzewa rosły tu nieregularnymi kępami, a między nimi rozciągały się ginące w dali stoki zielonych pagórków. W miarę jak podążała w głąb wyspy w ślad za Zaporavo, przed jej oczarowanym wzrokiem rozpościerały się wciąż nowe i nowe widoki; łagodne zbocza pokryte zieloną murawą i gęsto usiane drzewami. Między stokami leżały głębokie dolinki, również porośnięte trawą. Krajobraz zdawał się wtapiać w siebie; każdy jego

element zlewał się z innymi, każdy zdawał się nie mieć kresu. Nad wszystkim zalegała senna cisza, jakby czar rzucony na całą wyspę.

Nagle Sancha wyszła na niewielką polankę otoczoną wysokimi drzewami i natychmiast wróciła do rzeczywistości na widok tego, co ujrzała na zdeptanej i zbroczonej krwią murawie. Wydała mimowolny okrzyk zgrozy i cofnęła się o krok drżąc z przerażenia. Po chwili podeszła bliżej, patrząc szeroko otwartymi oczami.

Na trawie leżał Zaporavo z głęboką raną w piersi, spoglądając w niebo szklistymi oczami. Miecz wypadł mu z pozbawionej czucia dłoni. Jastrząb zakończył swój ostatni lot

Sancha patrzyła na trupa swego pana nie bez pewnego wzruszenia. Wprawdzie nie miała powodu by go kochać, jednak czuła to, co odczuwałaby każda dziewczyna widząc zwłoki tego, który pierwszy ją posiadł. Nie płakała i nie miała na to ochoty, jednak zadrżała i serce podeszło jej do gardła - z trudem oparła się ogarniającej ją panice.

Rozejrzała się szukając człowieka, którego spodziewała się tu ujrzeć. Nie dostrzegła niczego prócz kręgu grubych pni i widocznych za nimi zboczy. Czyżby zabójca powlókł się dalej, śmiertelnie raniony w starciu? Nie spostrzegła żadnych śladów krwi.

Zdziwiona, spojrziała między otaczające ją drzewa i zdrętwiała pochwytywszy uchem cichy szmer wśród gęstego listowia. Niepewnie ruszyła ku drzewom zaglądając w cień rzucany przez ich gęste korony.

- Conan? - zawołała trwożliwie; jej głos zabrzmiał dziwnie słabo wśród zalegającej wokół ciszy.

Nie słysząc odpowiedzi poczuła, że uginają się pod nią nogi i strach ściska ją za gardło.

- Conanie! - krzyknęła rozpaczliwie. - To ja... Sancha! Gdzie jesteś? Proszę cię, Conanie...

Nagle umilkła i szeroko otworzyła oczy z przerażenia. Jej pełne wargi rozchyliły się w nieartykułowanym okrzyku. Sparaliżowana lękiem nie była w stanie uczynić nawet kroku, mimo że rozpaczliwie pragnęła uciec jak najdalej z tego okropnego miejsca. Zielone listowie stłumiło jej bełkotliwy krzyk.

Kiedy Conan zobaczył, jak Zaporavo rusza samotnie w głąb wyspy, zrozumiał, że nadeszła chwila, na którą czekał. Cymmerianin nie jadł złośliwych owoców i nie uczestniczył w rubasznych zabawach swoich towarzyszy; pochłonięty był śledzeniem poczynań kapitana. Przyzwyczajeni do humorów dowódcy, piraci nie byli specjalnie zdziwieni tym, że ich kapitan chce samotnie zwiedzać niezbadaną i być może zamieszkaną przez wrogich tubylców wyspę. Zajęci swoimi sprawami nie zauważyli Conana, który cicho jak kot ruszył za Zaporavo.

Conan doceniał wpływ, jaki miał na załogę, ale wiedział, że jeszcze nie wykazał się w bitwie i nie mógł otwarcie wyzwać kapitana na pojedynek. Te nieuczęszczane wody nie dawały mu okazji udowodnienia swoich możliwości wedle prawa korsarzy. Gdyby otwarcie zaatakował kapitana, załoga stanęłaby przeciw niemu jak jeden mąż. Wiedział jednak, że jeśli cichcem zabije Zaporavo, pozbawiona przywódcy załoga nie da się ponieść poczuciu lojalności dla martwego kapitana. W tym wilczym stadzie liczył się tylko ten, kto przeżył.

Tak więc poszedł za Zaporavo z mieczem w dłoni i żądzą krwi w sercu, aż wyszedł na małą polankę otoczoną wysokimi drzewami, między którymi widział zielone zbocza pagórków ciągnących się aż po horyzont. Zaporavo wyczuwając, że jest śledzony, odwrócił się i chwycił za rękojeść miecza.

- Czemu mnie śledzisz, psie? - warknął pirat.

- Czyżbyś oszalał, że o to pytasz? - zaśmiał się Conan, podchodząc do swego chwilowego dowódcy. Na wargach barbarzyńcy pojawił się uśmiech, a w niebieskich oczach zapalił się groźny błysk.

Zaporavo z przekleństwem wyszarpnął miecz z pochwy i szczęknęła stal, gdy Barachańczyk ze świstem opuścił swoje ostrze, atakując zuchwale i nie dbając o osłonę.

Zaporavo był weteranem tysiąca potyczek na morzu i lądzie. Nie było człowieka, który miałby większe doświadczenie i umiejętności w sztuce fechtunku. Jednak nigdy jeszcze nie odbijał ciosów zadawanych przez tak mocarne ramiona syna lodowych pustkowi wychowanego z dala od ostatnich przyczółków cywilizacji. Musiał zmobilizować całą swoją zręczność, by stawić czoła nieprawdopodobnej szybkości i niewyobrażalnej sile Cymmerianina. Conan walczył w sposób zupełnie niekonwencjonalny, kierując się bardziej instynktem niż jakimś przemyślanym planem ataku i obrony. Wyszukane sztuczki techniczne były równie bezużyteczne przeciw jego wściekłym ciosom co umiejętności bokerskie przy spotkaniu z wygłodzonym tygrysem.

Zaporavo walczył jak jeszcze nigdy dotąd, wyężdżając wszystkie siły by odbić błyszczące ostrze, które raz po raz zmierzało ku jego głowie, jednak w końcu kolejny cios niemal go dosięgnął. Pirat rozpaczliwie zasłonił się mieczem, przyjmując uderzenie na klingę tuż przy rękojeści. Całe ramię zdrętwiało mu od potwornego ciosu i nie zdążył się zastawić przed następnym pchnięciem zadany z taką mocą, że ostrze przebiło kolczugę i żebra jak papier i trafiło w serce. Wargi Zaporavo wykrzywił grymas bólu, lecz posępny kapitan nawet w chwili

śmierci pozostał wierny swej naturze. Bez jęku osunął się na zdeptaną murawę, na której krople krwi zabłysły w słońcu niczym małe rubiny.

Conan otarł zbroczony miecz, uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem i przeciągnął się jak wielki kot... lecz nagle zeszywniał i w oczach pojawiło mu się zdumienie. Stał nieruchomo jak posąg, trzymając w dłoni opuszczony miecz.

Oderwawszy wzrok od powalonego wroga, spojrzął mimochodem na krąg otaczających go drzew i widoczne za nimi zbocza. Nagle dostrzegł coś dziwnego i niewytłumaczalnego. Za łagodnym, zielonym wierzchołkiem odległego stoku spostrzegł wysoką, czarną postać, niosącą na ramieniu coś białego. Postać zniknęła równie nagle jak się pojawiła, zostawiając głęboko zdumionego Cymmerianina.

Pirat rozejrzał się wokół, spojrzął niepewnie za siebie i zaklął. Był zakłopotany i trochę zaniepokojony - jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto posiada stalowe nerwy. Wśród tego całkiem realnego, chociaż egzotycznego otoczenia zobaczył coś jakby żywcem wzięte z koszmarnego snu. Conan nigdy nie wątpił w swoje zdrowe zmysły i wierzył własnym oczom. Wiedział, że widział coś przedziwnego i niesamowitego; już sam fakt, że jakaś naga, czarna postać biegła po wyspie niosąc na ramieniu białego jeńca, był dość niezwykły, ale w dodatku postać ta była nienaturalnie wysoka.

Potrząsnąwszy z niedowierzaniem głową, Conan ruszył w kierunku miejsca, gdzie przed chwilą zniknęła zjawą. Nie zastanawiał się, czy postępuje roztropnie; był tak zaciekawiony, że po prostu musiał to zrobić.

Przemierzył kilka kolejnych pagórków, porośniętych bujną trawą i kępami drzew. Cały czas podążał w górę, chociaż z monotonną regularnością wchodził na łagodne zbocza i schodził z nich. Szeregi łagodnych wzgórków zdawały się nie mieć końca. Jednak wreszcie osiągnął punkt, który - jak osądził - był najwyższym wzniesieniem na wyspie i stanął jak wryty widząc zielone, błyszczące mury i wieże, które zanim dotarł na szczyt wzgórza tak doskonale wtapiały się w krajobraz, że były niewidoczne nawet dla jego orlich oczu.

Zawahał się, odruchowo próbując kciukiem ostrza swego miecza, po czym ruszył dalej gnany ciekawością. Wolno podszedł do wysokiej, pozbawionej odrzwi bramy. Wokół nie było nikogo. Zajrzawszy ostrożnie do środka ujrzał rozległy plac, najwidoczniej dziedziniec, porośnięty trawą i otoczony murem z jakiejś zielonej, półprzezroczystej substancji. W murze zauważył szereg łukowatych przejść. Conan podszedł na palcach do jednego z nich i przeszedłszy na drugą stronę znalazł się na innym, podobnym dziedzińcu. Nad otaczającym go murem dostrzegł dachy dziwnych podobnych do wież budowli. Jedna z tych wieżyczek przylegała do dziedzińca, na którym stał. Wiodły do niej szerokie schody biegnące przy murze. Wszedł na nie, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, a nie jest tylko wytworem zamroczonej oparami czarnego lotosu wyobraźni.

Na szczycie schodów znalazł wąską półkę zabezpieczoną murkiem, czy też raczej rodzaj balkonu. Mógł teraz dobrze przyjrzeć się wieżom, ale niewiele mu to dało. Z niepokojem uświadomił sobie, że te budowle nie zostały zbudowane przez ludzi. Architektura ta cechowała się jakąś symetrią i równowagą, ale była to zwariowana symetria, równowaga obca umysłowi

człowieka. Spoglądając z góry Conan widział całe to miasto, twierdzą, czy cokolwiek miało to być, na tyle, że dostrzegł znaczną liczbę dziedzińców, przeważnie owalnych, otoczonych osobnymi murami i połączonych z innymi otwartymi przejściami i zgrupowanych wokół stojących w środku wież o fantastycznych kształtach.

Odwróciwszy się i spojrzawszy w innym kierunku Conan doznał szoku, błyskawicznie przykucnął za balustradą balkonu, spozierając ze zdumieniem na rozgrywającą się niżej scenę.

Balkon czy też półka, na której stał, znajdowała się wyżej niż krawędź przeciwnego muru, tak że bez trudu mógł widzieć rozpościerający się za nim kolejny pokryty murawą dziedziniec. Wewnętrzna płaszczyzna tego muru różniła się od innych tym, że nie była gładka lecz poznaczona długimi liniami wyżłobionych w niej pólek zastawionych setkami małych przedmiotów, których z tej odległości barbarzyńca nie mógł zidentyfikować.

Jednak w tej chwili nie poświęcił im wiele uwagi. Całą uwagę skupił na grupie postaci, które siedziały wokół sadzawki o ciemnozielonej wodzie, na środku dziedzińca. Stworzenia te były czarnoskóre i nagie podobne do ludzi ale nawet najmniejszy z nich o dwie głowy przewyższał olbrzymiego barbarzyńcę. Giganci byli raczej smukli, ale dobrze zbudowani i oprócz niezwykle wysokiego wzrostu trudno było dopatrzyć się w nich jakichś anomalii. Jednak nawet z tak znacznej odległości Conan dostrzegał diaboliczne rysy ich twarzy.

Wśród nich, nagi i skulony ze strachu, stał młodzik, w którym Cymmerianin rozpoznał najmłodszego marynarza z załogi "Wastrela". Zatem to on był jeńcem, którego niosła na ramieniu dostrzeżona na zboczu postać Conan nie dostrzegł żadnych siadów walki - żadnych siadów krwi czy ran na smukłych, hebanowych ciałach gigantów. Najwidoczniej chłopak odłączył się od swoich towarzyszy i został porwany przez zaczajonego w głębi łądu czarnego. Conan w myślach nazwał te stworzenia czarnymi z braku lepszego terminu, instynktownie wiedział że te wysokie, czarnoskóre istoty nie były ludźmi w jego rozumieniu tego słowa

Z dziedzińca nie dochodził żaden głos. Czarni gestykulowali i kiwali głowami, ale wydawało się że nie potrafią mówić - a przynajmniej nie głośno. Jeden, przykucnąwszy na piętach przed zatrwożonym chłopcem, trzymał w ręku coś na kształt rurki. Przyłożył ją do warg i prawdopodobnie dmuchnął w nią, chociaż Cymmerianin nie usłyszał żadnego dźwięku. Jednak zingarański młodzieniec usłyszał to lub poczuł bo skulił się jeszcze bardziej. Trząsł się i wił jak w agonii, po chwili kurczowe ruchy jego rąk i nóg stały się bardziej regularne, a potem rytmiczne. Dygotanie przeszło w gwałtowne podrygi, podrygi w regularne ruchy. Chłopak zaczął tańczyć, niczym kobra zniewolona melodią płynącą z fletni fakira. W tańcu tym nie było odrobiny życia czy radosnego zapamiętania. Istotnie, było w tym tańcu okropne zapamiętanie, ale nie mające w sobie nic radosnego. Wydawało się, że niedosłyszalna melodia piszczałki dotykała lubieżnymi palcami najgłębszych zakątków duszy chłopca i brutalną torturą wydzierając z niej mimowolne wyznanie najskrytszych uczuć. Obsceniczne konwulsje spazmy żądz - wyznania najtajniejszych pragnień wydarte przemocą: pożądanie bez przyjemności, ból straszliwie złączony z żądzą. Conanowi wydawało się, że jest świadkiem obnażania duszy i wyciągania na światło dzienne wszystkich ludzkich, starannie skrywanych sekretów.

Spoglądał na to szeroko otwartymi oczami, zdjęty odrazą i wstrząsany mdłościami. Mimo



że z natury równie wolny od wyuzdania jak leśny wilk, zetknął się już z perwersyjnymi sekretami podupadających cywilizacji. Był w miastach Zamory i znalazł kobiety Shadizaru, Miasta Łajdaków. Jednak wyczuwał w tym jakieś potworne zło przewyższające to czynione przez ludzkich degeneratów - widział tu jakąś wynaturzoną gałąź z Drzewa Życia, która rozwinęła się w kierunku przekraczającym ludzkie możliwości zrozumienia. Nie szokowały go konwulsyjne podrygi i pozy dręczzonego chłopaka, lecz potworne wynaturzenie jego dręczycieli, którzy wywlekali na światło dzienne okropne tajemnice drzemiące w niezgłębionych zakamarkach ludzkiej duszy i znajdowali przyjemność w bezwstydnym przyglądaniu się rzeczom, których człowiek nie ogląda nawet w najgorszych koszmarach.

Nagle czarnoskóry dręczyciel odłożył piszczalkę i wstał, spoglądając z wysoka na wijącą się, białą postać. Brutalnie chwyciwszy chłopca za kark i krzyże, gigant obrócił go w powietrzu i wrzucił głową naprzód w zieloną sadzawkę. Conan dostrzegł błysk białego ciała w szmaragdowej wodzie, gdy olbrzym przytrzymał nagiego chłopca pod powierzchnią. Pozostali czarni zaczęli się podnosić i Conan szybko schował się za balustradą balkonu, nie ośmielając się wystawić głowy z obawy, że zostanie wykryty.

Po chwili jednak ciekawość przewyciężyła rozważę i znów zerknął na dół. Czarni właśnie przechodzili na inny dziedziniec. Jeden z nich postawił coś na półce przy przeciwległej ścianie i Conan poznał w nim tego, który torturował chłopaka. Ten czarny był wyższy od innych i nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Nigdzie nie było widać śladu zingarańskiego chłopca. Gigant ruszył za innymi i po chwili Conan zobaczył, jak wszyscy wychodzą z miasta przez bramę, którą on się tu dostał, i ruszają zielonym zboczem w kierunku, z którego tu przybył. Nie byli uzbrojeni, ale czuł, że zamierzali napaść na jego towarzyszy.

Jednak zanim podąży, by ostrzec niczego nie podejrzewających bukanierów, chciał ustalić, jaki los spotkał chłopca. Żaden dźwięk nie zakłócił panującej wokół ciszy. Pirat był przekonany, że oprócz niego w wieżach i na dziedzińcach nie było nikogo.

Spiesznie zszedł schodami, przeszedł przez dziedziniec i przejście w murze na następny podwórzec, który czarni tylko co opuścili. Teraz mógł dobrze przyjrzeć się poznaczonej półkami ścianie. Na wykutych w kamieniu, wąskich półkach stały tysiące maleńkich figurek, przeważnie szarego koloru. Te posążki, niewiele większe od ludzkiej dłoni, przedstawiały ludzi i były tak znakomicie odrobione, że Conan mógł rozróżnić charakterystyczne cechy różnych ras ludzkich: typowe postacie zingarańskich, argosańskich, ophirejskich i kusnickich korsarzy. Ci ostatni mieli czarną barwę - taką, jaką miała ich skóra. Patrząc na nieruchome, nieme posążki, Conan czuł dziwny niepokój spowodowany ich ludzającym podobieństwem do żywych ludzi. Dotknął jednego, ale nie zdołał stwierdzić, z jakiego materiału zostały wykonane. W dotyku figurka zdawała się być zrobiona z wysuszonej kości - jednak barbarzyńca nie był w stanie uwierzyć, że gdzieś na wyspie mogą się znajdować tak obfite zasoby suszonych kości, by czarni mogli używać ich tak beztrasko.

Zauważył, że posążki przedstawiające znane mu rasy ludzkie znajdują się na najwyższych półkach. Na niższych stały figurki, których rysy były mu zupełnie obce. Może reprezentowały wybryki wyobraźni artysty, a może przedstawiciele dawno wymarłych i zapomnianych ludów.

Niecierpliwie potrząsnąwszy głową, Conan ruszył do sadzawki. Owalny dziedziniec nie dawał żadnych możliwości ukrycia czegokolwiek; skoro nigdzie nie było widać ciała chłopca, musiało ono leżeć na dnie sadzawki.

Podchodząc do szmaragdowozielonej toni, wpatrywał się w jej błyszczącą powierzchnię. Zdało mu się, że patrzy przez grube, zielone szkło - przejrzyste lecz dziwnie ludzące. Sadzawka była niewielka i okrągła jak studnia, otoczona kręgiem z zielonego nefrytu. Spoglądając w toń, dostrzegł dno - nie potrafił powiedzieć jak głęboko w dole. Jednak sadzawka zdawała się być niezwykle głęboka - patrząc w dół poczuł lekki zawrót głowy, jakby spoglądał w przepaść. Zdumiało go to, że mógł dostrzec dno; jednak widział je wyraźnie - niemożliwie odległe, niewyraźne, ludzące, lecz widoczne. Chwilami wydawało mu się, że w szmaragdowej głębi dostrzega słabe błyski, ale nie miał co do tego pewności. Był jednak pewien, że oprócz wody w sadzawce nie ma niczego.

Zatem gdzie, na Croma, podział się chłopiec, którego na jego oczach brutalnie utopiono w sadzawce? Conan wyprostował się, mocniej ujął miecz i jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Nagle spojrzenie jego padło na jedną z najwyższych półek. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy przypomniał sobie, że właśnie tam czarny gigant kładł coś przed odejściem.

Niechętnie, lecz jak przyciągany magnetyczną siłą, pirat podeszedł do błyszczącej ściany. Obezwładniony podejrzeniem zbyt potwornym by je wyrazić słowami, spojrzął na figurkę stojącą na końcu szeregu. Straszliwe podobieństwo mówiło samo za siebie. Skamieniały, nieruchomy i skarłaly stał przed nim zingarański chłopiec patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Conan wzdrygnął się, wstrząśnięty do głębi. Uzbrojona w miecz ręka opadła mu bezwładnie, rozdziawił usta i wybaluszył oczy, oszołomiony odkryciem zbyt strasznym by mógł je ogarnąć ludzki umysł.

Jednak rzecz nie ulegała wątpliwości: oto odkrył tajemnicę małych posążków, chociaż w ten sposób stanął przed jeszcze większą i daleko bardziej złowieszczą zagadką ich istnienia.

Conan nie miał pojęcia, jak długo stał zatopiony w ponurych rozważaniach. Z zadumy wytrącił go czyjś głos; kobiecy głos krzyczący coraz głośniejszy i głośniejszy, jakby jego właścicielka coraz bardziej się zbliżała. Cymmerianin rozpoznał ten głos i natychmiast otrząsnął się z bezwładu. Jednym susem wskoczył na najwyższą półkę i przywarł do ściany, kopnięciem rozrzucając stojące tam posążki, aby uzyskać oparcie dla stóp. Następny podskok, chwyt i już był na szczycie muru. Spojrzał na drugą stronę - zobaczył zieloną łąkę otaczającą miasto.

Przez trawiastą równinę kroczył czarny gigant, niosąc pod pachą wijącą się brankę jak ojciec może nieść niegrzeczne dziecko. Conan rozpoznał Sanchę; czarne pukle włosów rozsypały się jej w nieładzie, a mleczna skóra kontrastowała z hebanowoczarным ciałem prześladowcy. Ten nie zwracał uwagi na jej szamotanie i krzyki, zmierzając prosto ku bramie.

Kiedy w nią wszedł, Conan śmiało zeskoczył z muru i skoczył w przejście wiodące na następny dziedziniec. Przyczajony tam, zobaczył, jak gigant wchodzi na podwórzec z sadzawką, niosąc wrywającą się rozpaczliwie brankę. Mógł teraz bliżej przyjrzeć się czarnoskóremu.

Z bliska wspaniała symetria ciała i kończyn robiła większe wrażenie. Pod hebanową skórą grały węzły masywnych, grubych mięśni i Conan nie wątpił, że olbrzym mógłby rozerwać na sztuki każdego zwykłego śmiertelnika. Paznokcie czarnego stanowiły groźną broń, bowiem były długie i ostre jak pazury dzikiej bestii. Twarz olbrzyma była nieprzenikniona niczym maska wyrzeźbiona z hebanu, a oczy złotobrazowe, nieruchome i błyszczące - jednak nie była to twarz człowieka. Każdy jej rys znamionował zło - i to zło przekraczające ludzkie pojęcie. Ten stwór nie był człowiekiem, nie mógł nim być; był wytworem najprzepastniejszych otchłani stworzenia - wybrykiem ewolucji.

Gigant cisnął Sanchę na murawę, do której przywarła płacząc z bólu i przerażenia. Rozejrzał się wokół jakby czegoś szukając i jego złotobrazowe oczy zwęziły się, gdy ich spojrzenie padło na strącone z półki i powywracane posążki. Pochylił się, chwycił dziewczynę za kark i udo, i ruszył wolno w kierunku sadzawki. Conan cicho wyszedł z przejścia i pomknął jak wiatr przez dziedziniec.

Gigant odwrócił się i w jego oczach zapalił się groźny błysk, gdy ujrzał pędzącego ku niemu mściciela. Zaskoczony, rozluźnił chwyt i Sancha zdołała wyrwać się z okrutnego uścisku. Uzbrojone w pazury dłonie wyciągnęły się ku barbarzyńcy, ale Conan uchylił się zręcznie i wbił miecz w pachwinę giganta. Czarny runął jak zrąbany dąb, brocząc krwią, i w następnej chwili Conan znalazł się w obezwładniającym uścisku oszalałej z przerażenia i bliskiej hysterii dziewczyny.

Cymmerianin zaklął i wyrwał się z objęć, ale jego wróg już nie żył; złotobrazowe oczy zamglily się, a hebanowe ciało przestało się prężyć.

- Och, Conanie - zalkała Sancha, ponownie doń przywierając - co z nami będzie? - Co to za potwory? Och, z pewnością jesteśmy w piekle i to był sam diabeł...

- Wobec tego piekła będzie potrzebny nowy diabeł - uśmiechnął się Barachańczyk. - Ale jak zdołał cię schwytać? Czyżby zdobyli okręt?

- Tego nie wiem - odparła, chcąc otrzeć lzy rąbkiem tuniki i stwierdzając, że nie ma jej na sobie. - Zeszłam na brzeg. Widziałam, jak poszedłeś za Zaporavo i ruszyłam za wami. Znalazłam Zaporavo... czy... czy to ty go.. ?

- A któżby? - mruknął. - I co dalej?

- Zobaczyłam, że coś się rusza wśród drzew - rzekła z drzeniem. - Myślałam, że to ty. Zawołałam... a potem zobaczyłam to... to czarne siedzące jak małpa wśród gałęzi, śmiejące się do mnie szyderczo. To było niczym zły sen; nie byłam w stanie zrobić kroku. Mogłam tylko wrzeszczeć. Wtedy to spuściło się z drzewa i złapało mnie... Och, to było okropne!

Ukryła twarz w dłoniach, znów wstrząśnięta na samo wspomnienie tej okropnej chwili.

- No, musimy się stąd wydostać - warknął, chwytając ją za rękę. - Chodź, musimy ostrzec załogę...

- Kiedy wchodziłam do lasu większość z nich spała na plaży - powiedziała dziewczyna.

- Spała? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Jak na siedmiu diabłów, piekielne ognie i potępienie...

- Słuchaj! - przerwała mu dziewczyna, zamierając ze strachu jak biały posąg uosabiający przerażenie.

- Słyszałem! - przerwał jej. - Zduszony krzyk! Zaczekaj tu!

Znów wskoczył na półki i zerknąwszy na drugą stronę muru zaklął tak wściekle, że nawet przyzwyczajona do tego Sancha rozdziawiła usta. Czarni wracali, ale nie z pustymi rękami. Każdy niósł bezwładne ludzkie ciało; niektórzy nieśli po dwa. Ich jeńcami byli korsarze; wisieli luźno w uścisku potężnych ramion i gdyby nie sporadyczne ruchy rąk i nóg Conan sądziłby, że są martwi. Byli rozbrojeni, ale nie odarci z szat; jeden z gigantów niósł ich miecze - całe naręcze błyszczącej stali. Od czasu do czasu któryś z marynarzy wydawał słaby okrzyk, jak pijak mówiący coś przez sen.

Conan rozejrzał się wokół jak schwytywany w pułapkę wilk. Z dziedzińca można było wyjść w trzech różnych kierunkach. Wschodnim przejściem odeszli czarni i zapewne przez nie powrócą. On przyszedł południowym przejściem. Za zachodnim ukrywał się poprzednio i nie miał czasu sprawdzić, co się dalej znajduje. Niezależnie od swej nieznamośności terenu musiał szybko podjąć właściwą decyzję.

Zeskoczył na dół i w gorączkowym pośpiechu poustawiał figurki na swoich miejscach, zaciągnął trupa do sadzawki i wrzucił go w nią. Ciało opadło wolno w dół i patrząc na to Conan dostrzegł odrażającą przemianę - kurczenie się, kamienienie. Z dreszczem zgrozy odwrócił się pospiesznie, złapał swoją towarzyszkę za rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku południowego przejścia. Sancha błagała, by powiedział jej, co się dzieje.

- Zgarnęli załogę - odparł pospiesznie. - Nie mam jeszcze żadnego planu; ukryjemy się

gdzieś w pobliżu i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli nie zajrzą do sadzawki, mogą nie wykryć naszej obecności.

- Przecież zobaczą krew na trawie!

- Może pomyślą, że rozlał ją jeden z nich - odrzekł. - W każdym razie musimy zaryzykować.

Byli na dziedzińcu, z którego Conan przyglądał się torturowaniu chłopca. Szybko wszedł z dziewczyną po schodach na południowy mur i zmusił ją, by schowała się za balustradą balkonu; kiepska była to kryjówka, ale najlepsza jaką zdołali znaleźć.

Zaledwie zdążyli się ukryć, kiedy czarni weszli na dziedziniec. U podnóża schodów rozległ się przeraźliwy łoskot i szcęk, i Conan zeszytywniał chwytając za rękojeść miecza, ale czarni przeszli za południowo-zachodni mur i po chwili dały się słyszeć głuchoe odgłosy i jęki, gdy zrzucali swych jeńców na murawę. Usta Sanchy rozchyliły się w histerycznym chichocie, ale Conan szybko zakrył jej usta dłonią tłumiąc dźwięk, który mógł ich zdradzić.

Po chwili usłyszeli na dole tupot wielu nóg, a później znów zapadła cisza. Conan wyjrzał zza balustrady. Dziedziniec był pusty. Czarni ponownie zebrali się wokół sadzawki, siadając na podwiniętych nogach. Zdawali się nie zwracać uwagi na ślady krwi na trawie i obrzeżu sadzawki. Widocznie ślady krwi nie były dla nich czymś niezwykłym. Nie zaglądali też do sadzawki. Byli pogrążeni w jakimś swoim, zagadkowym rytuale; najwyższy z nich znów grał na swojej piszczalce, a pozostali słuchali trwając w bezruchu jak hebanowe posągi.

Wziąwszy Sanchę za rękę, Conan cicho zszedł po schodach, pochylając się nisko, tak by jego głowa nie wystawała ponad mur. Kuląca się dziewczyna poszła za jego przykładem, spoglądając lękliwie w głąb przejścia, które prowadziło na dziedziniec z sadzawką, chociaż patrząc pod tym kątem nie widziała ani sadzawki, ani stojących tam postaci. U stóp schodów leżały miecze Zingarańczyków. Szcęk, który dał się słyszeć przed chwilą, był wywołany przez to niedbale rzucone na ziemię żelastwo.

Conan pociągnął Sanchę ku południowo-zachodniemu przejściu. Cicho przemknęli na drugą stronę i wyszli na inny dziedziniec. Tam znaleźli schwytyanych przez gigantów korsarzy. Leżeli bezwładnie na murawie i tylko od czasu do czasu któryś poruszył się niespokojnie lub jęknął. Conan pochylił się nad nimi, a Sancha klękła obok, opierając ręce na udach i nachylając się bliżej.

- Co to za słodkawy zapach? - spytała niespokojnie. - Ich oddechy są nim przesycone.

- To te przeklęte owoce, które jedli - odparł cicho. - Pamiętam ten zapach. Te owoce muszą mieć taki sam skutek jak czarny lotos, który usypia ludzi. Na Croma, zaczynają się budzić - ale nie mają broni, a mam wrażenie, że te czarne diabły niedługo się za nich wezmą. Jakie szansę mają ci biedacy, bezbronni i ogłupiali od snu?

Na chwilę pogrążył się w ponurym milczeniu, marszcząc brwi w głębokim namyśle; później złapał Sanchę za ramię i ścisnął tak, że skrzywiła się z bólu.

- Słuchaj! Odciągnę te czarne świny w inną część zamku i zajmę ich przez jakiś czas.

Wtedy ty obudzisz tych głupców i przyniesiesz im miecze... w ten sposób będą mieli jakąś szansę. Możesz to zrobić?

- Ja... nie wiem! - wyjąkała, trzęsąc się z przerażenia i sama nie wiedząc co mówi.

Conan z przekleństwem chwycił ją za gęste pukle i potrząsnął nią, aż świat zawirował jej przed oczami.

- Musisz to zrobić! - syknął. - To nasza jedyna szansa!

- Zrobię, c o będę mogła! - jęknęła dziewczyna, co barbarzyńca skwitował dodającym otuchy klepieniem po plecach, które niemal ją wywróciło, i zniknął za rogim.

Kilka chwil później czaił się w przejściu prowadzącym na dziedziniec z sadzawką i spoglądał na nieprzyjaciół. Wciąż siedzieli wokół sadzawki, ale zaczęli już wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Z dziedzińca, na którym leżeli bukanierzy, słyszał ich coraz głośniejsze jęki, coraz częściej mieszające się z bezładnymi przekleństwami. Conan napiął mięśnie i przyczaił się do skoku, nabierając tchu w piersi.

Gigant noszący wysadzaną klejnotami opaskę podniósł się odrywając piszczalkę od warg - i w tejże chwili Conan jednym tygrysim skokiem znalazł się wśród zaskoczonych wrogów. I tak jak tygrys skacze i uderza swe ofiary, tak Conan skoczył i uderzył; jego miecz błysnął trzykrotnie zanim którykolwiek z olbrzymów zdołał choćby podnieść ramię; później odskoczył z powrotem i pognął jak szalony przez zieloną murawę. Za nim zostały trzy czarne ciała z rozplatanymi czaszkami.

Jednak mimo że ten wściekły i niespodziewany atak zaskoczył gigantów, szybko otrząsnęli się z bezruchu. Deptali mu po piętach, gdy gnał ku zachodniemu przejściu, a długie nogi niosły ich z niebywałą szybkością. Jednak Conan był przekonany, że z łatwością mógłby im umknąć - lecz nie o to mu chodziło. Zamierzał odciągnąć ich na dłuższą chwilę od Zingarańczyków, dając tym ostatnim czas na otrząśnięcie się ze snu i uzbrojenie się w miecze przyniesione przez Sanchę. Wypadł na dziedziniec za zachodnim przejściem i zaklął wściekle. To podwórze różniło się od innych. Nie było owalne, lecz ośmiokątne, a przejście, przez które przebiegł, było jedynym wejściem i wyjściem.

Obrócił się na pięcie i zobaczył, że wszyscy giganci ruszyli za nim w pościg; część kłębiła się teraz w przejściu, a reszta zbliżała się ku niemu rozciągniętym szeregiem. Conan cofał się wolno pod północną ścianę, nie odwracając głowy od nadchodzących. Szereg zmienił się w półokrąg - czarni próbowali otoczyć go ciasnym pierścieniem, ale musieli rozciągnąć szyki, żeby im się nie wymknął. Conan nadal się cofał, ale coraz wolniej i wolniej, szukając luki w rozciągniętym szeregu nieprzyjaciół. Obawiając się, że barbarzyńca szybkim skokiem wymknie się z zaciskającego się pierścienia, giganci jeszcze bardziej rozciągnęli szyk, aby temu zapobiec.

Cymmerianin przyglądał się temu z zimnym wyrachowaniem drapieźcy i kiedy uderzył, uczynił to z niszczącą gwałtownością gromu - w sam środek zaciskającego się półksiężyca. Gigant, który zastąpił mu drogę, padł z rozciętym barkiem i zanim czarni z prawa i lewa zdołali przyjść na pomoc powalonemu kompanowi, pirat wyrwał się z potrzasku. Grupa zebranych przy

przejściu przygotowała się do odparcia jego szarży, ale Conan nie zaatakował ich. Zamiast tego odwrócił się i stanął spoglądając na przeciwników bez specjalnego wzruszenia, a z pewnością bez strachu.

Tym razem nie rozciągnęli się w długi szereg. Przekonali się już, że rozdzielanie sił w starciu z tym szaleńczo odważnym przeciwnikiem może przynieść jak najgorsze skutki. Zbili się w zwartą grupę i ruszyli ku niemu bez nadmiernego pośpiechu, zacieśniając szyk.

Conan wiedział, że spotkanie z taką gromadą potężnie umięśnionych i uzbrojonych w pazury przeciwników może skończyć się tylko w jeden sposób. Jeżeli tylko pozwoli im zbliżyć się na tyle, by mogli dosięgnąć go swymi pazurami i użyć swojej ogromnej przewagi liczebnej, to nie pomoże mu cały jego spryt i ogromna siła. Zerknął na mur i w zachodnim narożniku dostrzegł jakby półkę, czy rodzaj występu. Nie wiedział, co to jest, ale mogło to wystarczyć do zrealizowania pomysłu. Zaczął cofać się w kierunku narożnika i giganci widząc to przyspieszyli kroku. Widocznie wydawało im się, że to oni zagonili go w kąt i Conan doszedł do wniosku, że musieli uważać go za istotę o znacznie niższej inteligencji. Tym lepiej. Nie ma nic gorszego od niedoceniań przeciwnika.

Teraz znalazł się już tylko kilka jardów od ściany i czarni zbliżali się coraz szybciej, wyraźnie chcąc przyprzeć go do muru zanim zda sobie sprawę z sytuacji. Grupa stojąca dotychczas przy przejściu opuściła swój posterunek i pospiesznie ruszyła, by przyłączyć się do reszty towarzyszy. Giganci zbliżali się błyskając wyszczerzonymi zębami, syjąc skry z żółtawo płonących oczu i wyciągając szponiaste ręce jakby próbując odeprzeć ewentualny atak. Spodziewali się nagłego i gwałtownego ruchu ze strony swej ofiary, lecz mimo to dali się zaskoczyć.

Conan wznosił miecz, zrobił krok w kierunku napastników, po czym okręcił się na pięcie i pognął do narożnika. Energicznym ruchem odbił się od ziemi i skoczywszy wysoko w powietrze zacisnął palce na krawędzi półki. Dał się słyszeć głuchy trzask i cały występ runął w dół razem z piratem.

Conan spadł na plecy i gdyby nie miękka murawa porastająca dziedziniec złamałby sobie kark mimo chroniących go, grubych węzłów mięśni. Odbił się od ziemi i skoczył na nogi niczym wielki kot, aby stawić czoła wrogom. Z jego oczu zniknął lekceważący błysk; zapalił się w nich złowrogi płomień. Wykrzywił usta w szyderyczym uśmiechu. W jednej chwili zuchwała gra zmieniła się w walkę na śmierć i życie, a w takich chwilach Cymmerianin zachowywał się tak, jak kazała mu barbarzyńska natura.

Czarni, przez moment zbici z tropu nagłością wydarzeń, rzucili się na niego chcąc zmiażdżyć go przewagą liczebną. Jednak w tej samej chwili rozległ się głośny krzyk i zaskoczeni giganci ujrzeli tłum piratów wlewający się przez przejście na dziedziniec. Bukanierzy zataczali się jeszcze i wydawali nieartykułowane okrzyki, byli zamroczeni i zaskoczeni, ale ściskali swe miecze i wymachiwali nimi z zawziętością nie osłabioną bynajmniej faktem, że nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi.

Gdy czarni giganci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, Conan zawył przeraźliwie i wpadł na nich jak grom z jasnego nieba. Pod ciosami jego miecza padali jak ścięte kosą snopy i widząc to

Zingarańczycy wrzasnęli wniebogłosy, przebiegli chwiejnie przez dziedziniec i wpadli na nieprzyjaciół niczym zgraja żądnych krwi wilków. Wciąż byli oszłomieni; budząc się z narkotycznego snu ujrzeli potrząsającą nimi Sanchę, która wciskała im oręż w dłonie i nalegała, by coś zrobili. Wprawdzie nie rozumieli, o co jej chodzi, ale widok obcych i przelewanej krwi zupełnie im wystarczył.

W jednej chwili dziedziniec zmienił się w regularne pole bitwy, które szybko zaczęło przypominać rzeźnię. Zingarańczycy zataczali się i chwiali na nogach, ale wymachiwali mieczami równie żywo i zaciekle co zawsze, klnąc wściekle i zupełnie nie zważając na wszelkie rany oprócz śmiertelnych. Mieli znaczną przewagę liczebną nad gigantami, którzy jednak okazali się niełatwym przeciwnikiem. Znacznie przewyższając korsarzy wzrostem, szerzyli wśród nich spustoszenie szarpiąc uzbrojonymi w pazury rękami, rozdzierając gardła i rozbijając czaszki ciosami zaciśniętych pięści. W powszechnym zamieszaniu i zamęcie bitwy bukanierzy nie byli w stanie wykorzystać swojej przewagi, a wielu było jeszcze zbyt oszłomionych, by uchylać się przed wymierzonymi w nich ciosami. Walczyli z zaciekłością dzikich bestii, zbyt pochłonięci zadawaniem śmiertelnych ciosów, by się przed nimi uchylać. Odgłos spadających ostrzy przypominał dźwięki rzeźniczego tasaka, a wrzaski, wycia i przekleństwa wzbudziłyby odrazę w każdym cywilizowanym człowieku.

Przyczajoną w przejściu Sanchę oszłomił cały ten zgielk i hałas; niepewnie spoglądała na bitewny zamęt, w którym stalowe ostrza błyskały i opadały ze świstem, śmigwały pięści, wykrzywione nienawiścią twarze pojawiały się i znikwały, a sprężone w wysiłku ciała zderzały się ze sobą, odskakiwały i splatały w diabelskim, szaleńczym tańcu.

Chwilami przelotnie dostrzegła szczegóły, niczym czarne szkice na krwawym tle. Zobaczyła zingarańskiego marynarza, oślepionego przez wielki płat skóry zdarty z czaszki i zwisający mu na oczy, który wparł się nogami w ziemię i wbił miecz w brzuch czarnoskórego przeciwnika. Wyraźnie słyszała, jak bukanier sapnął zadając cios i widziała, jak żółtawe oczy ofiary stanęły w słup z bólu, krew i wnętrzności trysnęły mu pod nogi. Umierający gigant chwycił ostrze gołymi rękami i marynarz daremnie próbował je wyrwać; nagle czarne ramię objęło szyję Zingarańczyka, a czarne kolano z potworną siłą nacisnęło na jego kręgosłup. Gwałtowne szarpnięcie odchyliło mu głowę pod dziwnym kątem od tułowia i wśród zgielku bitwy dał się słyszeć głośny trzask, podobny do trzasku łamanej gałęzi. Zwycięzca cisnął ciało pokonanego na ziemię - i w tej samej chwili coś, jakby błękitny płomień błysnął za jego plecami, przelatując od lewego do prawego ramienia. Gigant zachwiał się i głowa opadła mu na piersi, a stamtąd na ziemię.

Ten odrażający widok przyprawił Sanchę o mdłości. Zakrztusiła się i poczuła gwałtowną potrzebę wymiotowania. Uczyniła daremną próbę odwrócenia się i ucieczki z pola bitwy, ale nogi nie chciały jej słuchać. Nie była też w stanie zamknąć oczu. W rzeczy samej, otworzyła je jeszcze szerzej. Zdjęta odrazą i walcząc z mdłościami, doznawała jednak tej straszliwej fascynacji, jaką zawsze czuła na widok krwi. Ta bitwa przekraczała wszystko, co widziała do tej pory podczas potyczek na morzu i lądzie.

Nagle dostrzegła Conana.



Oddzielony od swoich towarzyszy skłębionym tłumem wrogów, barbarzyńca został ogarnięty przez falę czarnych ciał i na chwilę zniknął pod nią. Szybko stratowaliby go na śmierć, gdyby nie pociągnął ze sobą jednego przeciwnika, którym osłonił się przed ciosami. Napastnicy próbowali wyrwać umierającego kompana z jego objęć, ale Conan rozpaczliwie trzymał się swojej tarczy.

Atak Zingarańczyków spowodował, że napór wroga chwilowo zelżał; i Conan natychmiast odrzucił trupa na bok i zerwał się na równe nogi, usmarowany krwią, straszny. Giganci rzucili się nań - niczym czarne cienie, szarpiąc i zadając straszliwe ciosy. Jednak barbarzyńca był równie trudny do trafienia lub schwytania co rozwścieczona pantera i każdy cios jego miecza niósł śmierć i zniszczenie. Cymmerianin otrzymał już dość ran, by powalić trzech zwykłych ludzi, ale przy jego zwierzęcej witalności nie wywarły one na nim żadnego wrażenia.

Ponad bitewny zgiełk wzbil się jego wojenny okrzyk i zdumieni lecz wściekle walczący Zingarańczycy ze zdwojoną siłą wpadli na wroga, tak że chrzęst łamanych kości i loskot ciosów zagłuszyły jęki bólu i wściekłości.

Czarni zaczęli się cofać i rzucili się do przejścia, a ukryta w nim Sancha krzyknęła przeraźliwie i umknęła na bok. Czarni stłoczyli się w ciasnym przejściu, a Zingarańczycy dźgali i siekli plecy uciekających z nie ukrywaną uciechą i okrzykami radości. Nim upłynęła chwila i resztki uciekających przedostały się przez przejście, leżał w nim wał trupów i rannych.

Bitwa zamieniła się w rzeź. Przez trawiaste dziedzińce, błyszczące schody, strome dachy wież, a nawet przez blanki szerokich murów umykali czarni giganci brocząc krwią przy każdym kroku, ścigani przez bezlitosnych zwycięzców. Przyparci do muru, niektórzy podejmowali walkę i zabierali ze sobą wielu prześladowców. Jednak ostateczny rezultat był zawsze ten sam - pochlastane ciało wijące się na murawie lub zrzucone z wysokiego muru czy dachu wieży.

Sancha schroniła się na dziedzińcu z sadzawką, przy której skuliła się, dygocząc ze strachu. Wokół słyhać było dzikie wrzaski, tupot nóg o murawę i nagle z przejścia w murze wyskoczyła zboczona krwią czarna postać. Był to gigant, który nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Przysadzisty napastnik deptał mu po piętach i czarnoskóry odwrócił się na samym skraju sadzawki, by stawić mu czoła. Doprowadzony do rozpacz podniósł miecz upuszczony przez ginącego marynarza i gdy Zingarańczyk runął naprzód, uderzył go nieznaną sobie bronią. Bukanier padł z rozplataną czaszką, ale cios został zadany tak niezręcznie, że ostrze pękło w dłoni ostatniego z gigantów.

Cisnął rękojęcią w napastników tłoczących się w przejściu i skoczył w kierunku sadzawki z twarzą wykrzywioną w grymasie nienawiści. Conan przedarł się przez tłum korsarzy i runął jak burza na wroga.

Jednak gigant szeroko rozłożył ramiona i z jego ust wydobył się nieludzki krzyk - jedyny dźwięk, jaki czarni wydali podczas bitwy. Przepojony nienawiścią okrzyk wzbil się pod niebo, niczym dobiegające z otchłani wycie potępionych. Słyszac to Zingarańczycy zawahali się i przystanęli. Tylko Conan nie zawahał się. Cicho i nieustępliwie nacierał na hebanowoczną postać stojącą na skraju sadzawki.

Jednak w tej samej chwili, gdy jego miecz błysnął w powietrzu, czarny odwrócił się i skoczył. Przez ułamek chwili zawisł nad powierzchnią sadzawki; nagle z rozdzierającym uszy rykiem zielone wody podniosły się i skoczyły mu na spotkanie, wchłaniając go niczym szmaragdowy wulkan.

Conan zatrzymał się, w ostatniej chwili unikając upadku w zieloną toń, i odskoczył, potężnymi ramionami odpychając cisnących się za nim kompanów. Zielona sadzawka zmieniła się w gejzer, a ogromny słup wody z ogłuszającym rykiem tryskał w górę, zwieńczony wielką koroną piany.

Conan pognął swoich towarzyszy do bramy, płazując ich bezlitośnie mieczem; narastający ryk fontanny zupełnie pozbawił ich ducha. Ujrzawszy sparaliżowaną ze zgrozy Sanchę, patrzącą szeroko otwartymi oczami na wznoszący się ku niebu słup wody, przywołał ją gromkim okrzykiem, który przedarł się przez ryk wodotrysku i wyrwał ją z odrętwienia. Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami; Conan złapał ją w pól i pomknął przed siebie.

Zmęczeni, obdarci i poranieni, pozostali przy życiu korsarze zebrali się na dziedzińcu przy bramie i brocząc krwią z osłupieniem spoglądali na wielką kolumnę wody, która wznosiła się coraz wyżej ku niebu. Jej zielony korpus był przetykany bielą; spieniony szczyt był trzykrotnie szerszy od podstawy. W każdej chwili mogła się załamać i runąć w dół niepowstrzymaną falą, lecz na razie wciąż jeszcze wznosiła się w górę.

Conan obrzucił spojrzeniem okrwawionych, obdartych towarzyszy i zaklął widząc, że został ich ledwie tuzin. W ferworze chwili złapał najbliższego za kark i potrząsnął nim tak gwałtownie, że opryskała go krew z ran korsarza.

- Gdzie reszta - wrzasnął do ucha nieszczęśliwca.
- To wszyscy! - odkrzyknął tamten przez ryk gejzeru.
- Innych zabili czarni giganci...
- Dobrze, uciekajmy stąd! - ryknął Conan, potężnym pchnięciem posyłając go na leb, na szyję w kierunku bramy.
- Ta fontanna w każdej chwili może opaść...
- Wszyscy się potopimy! - zakwiczął jeden z korsarzy, kuśtykając w kierunku przejścia.
- Potopimy, akurat! - wrzasnął Conan. - Zostaniemy zmienieni w kawałki wysuszonych kości! Zjeżdżać stąd, niech was diabli!

Pobiegł do bramy, kątem oka zerkając na ryczącą, zieloną wieżę, która groźnie wznosiła się nad zamkiem, i na umykających towarzyszy. Oszołomieni walką, żądzą krwi i ogłuszającym hukem wody, Zingarańczycy ruszali się jak w transie. Conan popędzał ich w prosty sposób. Łapał maruderów za kark i gwałtownie ciskał ich za bramę obdarzając solidnym kopniakiem w tyłek i dodając soczyste komentarze na temat prowadzenia się ich przodków. Sancha zdradzała ochotę, by z nim pozostać, ale Cymmerianin klnąc wściekle wyrwał się z jej objęć i popędził ją solidnym kłapsem w tylną część ciała, który sprawił, że pomknęła przez równinę jak wystraszony królik.

Conan nie opuścił bramy dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy jego ludzie, którzy przeżyli bitwę znaleźli się na równinie. Wtedy jeszcze raz zerknął na szumiącą kolumnę wznoszącą się ku niebu, ponad wieżami miasta, i także uciekł z tego przeklętego miejsca.

Zingarańczycy przebyli już płaskowyż i biegli przez pagórki. Sancha czekała na niego na szczycie pierwszego pagórka, na którym przystanął na chwilę, aby spojrzeć na zamek. Wydawało się, że nad wieżami miasta kołysał się ogromny kwiat o zielonej lodydze i białych płatkach. Ryk wody niósł się pod niebiosa. Nagle szmaragdowo-biała kolumna pękła z ogromnym hukiem i gigantyczna fala zasłoniła mury i wieże zamku.

Conan złapał dziewczynę za rękę i pognął jak szalony. Przebiegał pagórek po pagórku, wciąż słysząc za sobą szum pędzącej wody. Obejrząwszy się przez ramię ujrzał szeroką, zieloną wstęgę unoszącą się i opadającą na kolejne zbocza. Strumień wody nie rozlewał się szerzej i nie wsiąkał; niczym gigantyczna żmija wił się przez dolinki i łagodne wzgórki. Utrzymywał stały kierunek - ścigał uciekających korsarzy.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, Conan zmobilizował ostatnie rezerwy swych niespożytych sił. Sancha potknęła się i z jękiem rozpaczy osunęła się na kolana, zupełnie wyczerpana. Barbarzyńca podniósł ją, zarzucił na mocarne ramiona i pobiegł dalej. Kolana uginały się pod nim, a szeroka pierś drżała w spazmatycznym oddechu, który ze świstem wydobywał się przez zaciśnięte zęby. Zaczął się zataczać. Przed sobą widział równie zmęczonych marynarzy, poganianych przez strach.

Niespodziewanie pojawił się przed nimi ocean, i zachodzące mgłą oczy barbarzyńcy dostrzegli "Wastrela", nie uszkodzonego. Załoga na łeb, na szyję wskakiwała do łodzi. Sancha upadła na dno jednej z nich i legła bez ruchu. Conan razem z innymi zabrał się do wiosła, mimo że szumiało mu w uszach i czerwone płatki latały przed oczami.

Bliscy pełnego wyczerpania popłynęli w kierunku statku. W tej samej chwili zielona struga dotarła do rosnących na brzegu drzew. Grube pnie runęły jakby nagle pozbawiono je korzeni i wpadłszy w szmaragdową toń, zniknęły. Strumień przepłynął przez plażę, wpadł do oceanu i natychmiast nabrał głębszej, bardziej złowieszczej barwy.

Bukanierów ogarnął na ten widok paniczny lęk, każący im zmuszać obolałe mięśnie do jeszcze większego wysiłku; nie wiedzieli, czego się obawiają, ale wiedzieli, że ta paskudna, zielona wstęga stanowi groźbę dla ciała i duszy. Conan wiedział, czego się obawiać i widząc jak szeroka struga wpada w morskie fale i mknie ku nim nie zmieniając kształtu czy kierunku, wyteżył wszystkie pozostałe mu siły i tak mocno naparł na wiosło, że drzewce pękło mu w rękach.

Jednak w tejże chwili dziób łodzi uderzył o burtę "Wastrela" i marynarze wdrapali się na pokład zostawiając szalupę własnemu losowi. Conan wniósł bezwładną Sanchę na ramionach, po czym bezceremonialnie rzucił ją na pokład i chwycił za koło sterowe, wykrzykując rozkazy do swej szczupłej załogi. Nikt nie kwestionował jego praw jako przywódcy - korsarze instynktownie słuchali jego poleceń. Zataczając się jak pijani, machinalnie wykonywali czynności, do jakich nawykli. Odcięty łańcuch kotwiczny z pluskiem wpadł do wody, a żagle załopotaly i wypełniły się wiatrem. "Wastrel" zachwiał się i zakolysał, i majestatycznie ruszył w

morze. Conan spojrział w kierunku brzegu; zielona wstęga bezsilnie wiała się wśród fal o kilka jardów za rufą statku, niczym szmaragdowy płomień. Zatrzymała się. Cymmerianin powiódł spojrzeniem po zielonej strudze, po białej plaży, po niskich pagórkach, aż ku niewidocznemu za nimi miastu.

Conan nabrał tchu w piersi i uśmiechnął się do zdyszanej załogi. Sancha stała przy nim; łzy ulgi spływały jej po policzkach. Bryczesy Conana były w strzępach; zgubił gdzieś pas i pochwę na miecz, który, wbity w deski pokładu, był poszczerbiony i zbroczony krwią. Krew zlepiała gęstą grzywę barbarzyńcy i spływała mu po podrapanych barkach, ramionach i piersi. Jedno ucho miał mocno naderwane, ale uśmiechał się szeroko, mocno stojąc na muskularnych nogach i wprawnie kręcąc kołem sterowym.

- I co teraz? - spytała słabym głosem dziewczyna.

- Teraz po królewskie łupy! - zaśmiał się. - Mamy nieliczną załogę i w dodatku mocno poharataną, ale dadzą sobie radę ze statkiem, a załogę zawsze można znaleźć. Chodź, dziewczyno, daj mi całusa.

- Całusa? - krzyknęła bliska hysterii. - W takiej chwili myślisz o całowaniu?

Jego śmiech zagłuszył skrzyp lin i łopot żagli. Jednym ruchem mocarnego ramienia przycisnął ją do piersi i z niepohamowaną przyjemnością wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

- Myślę o życiu! - ryknął. - Co było, to było! Mam statek z waleczną załogą i dziewczynę o wargach jak wino, a to wszystko, czego zawsze pragnąłem. Opatrzcie sobie rany, łobuzy, i wynieście baryłkę piwa. Będziecie się zwijać jak jeszcze nigdy w życiu! I ma to być ze śpiewem na ustach, niech was diabli! Do licha z pustymi morzami! Ruszamy na wody pełne kupieckich statków czekających tylko, by je złupić!

## (The Devil in Iron)

*Raz jeszcze jego szczęście z kobietą trwało krótko. Złe moce czy niespokojny charakter powodują, że porzuca Sanchę w najbliższym porcie. Wraz z ocalałymi kompanami, słuchając ballady w portowej tawernie o niewyobrażalnych skarbach Koru, krainie leżącej na południe od rzeki Zarkheba, ulega czarowi pieśni i płynie na Ocean Zachodni ku tajemniczemu Południu. Tam też, w tajemniczej świątyni, spotyka kilku reprezentantów nieśmiertelnego plemienia Prastarej Rasy. Próba zdobycia skarbu przywiezionego przez nich z innego świata opłacona zostaje śmiercią wszystkich współtowarzyszy i stratą okrętu. Tam też Conan poznaje swoje przeznaczenie i jedyny raz w swym życiu ocalenie zawdzięcza nie sile swych mięśni i szybkości miecza, ale tajemnym mocom. Nie mając załogi, tracąc okręt, lecz wzbogacając swe niezwykle doświadczenie Conan porzuca piracką profesję i wędrując na północ, po wielu przygodach dociera do Turanu, gdzie munganowie, konni rabusie plądrują pogranicze Koth, Zamory i Turanu. Mylnie interpretując słowa Tej-Która-Ożywia próbuje zjednoczyć kozaków i założyć nowe królestwo. Wraz z korsarzami z Czerwonego Bractwa Morza Vilayet jedynie łupi osady i miasta nie będąc w stanie okiełznać ożywionego przez niego żywiołu zniszczenia.*

Rybak kurczowo ścisnął rękojeść swego noża. Zrobił to zupełnie odruchowo, bowiem tego, czego się obawiał, nie zdołałby zabić nożem - nawet zębatym, zakrzywionym ostrzem Yuetsków, którym z łatwością można rozplatać dorosłego mężczyznę. Tutaj, w murach opuszczonej fortecy Xapur, przybyszowi nie zagrażał ani człowiek, ani zwierzę.

Wspiąwszy się na strome, przybrzeżne skały, przebył otaczającą fortyfikacje dżunglę i znalazł się wśród pozostałości zaginionej cywilizacji. Wśród drzew bieląły potrzaskane kolumny, zygzaki kruszących się murów biegły chwiejnymi meandrami w cień, a szerokie niegdyś chodniki popękały i powybrzuszały się pod naporem olbrzymich korzeni.

Rybak był typowym przedstawicielem swej rasy; dziwnego ludu, o rodowodzie ginącym w mrokach przeszłości, który od niepamiętnych czasów zamieszkiwał prymitywne chaty osad leżących nad brzegami Morza Vilayet. Krępy mężczyzna o długich, małych ramionach i cienkich kablakowatych nogach, miał szeroką twarz, niskie cofnięte czoło okolone strzechą zmierzwionych włosów i potężny tors. Pas z nożem i lachman przepaski stanowiły cały jego strój. Obecność rybaka w tym miejscu dowodziła, że w przeciwieństwie do większości swych współplemieńców nie był zupełnie pozbawiony ciekawości. Ludzie rzadko odwiedzali Xapur. Niezamieszkana, prawie zapomniana wyspa, jedna z tysięcy rozsianych na tym wielkim, śródlądowym morzu. Zwano ją Fortecą Xapur, ze względu na ruiny - pozostałość jakiegoś prehistorycznego królestwa, zapomnianego na długo przed nadejściem Hyborian z północy. Nikt nie wiedział, kto ociosał te glazy, chociaż przekazywane wśród Yuetsków z pokolenia na pokolenie, na wół niezrozumiale legendy wspominały o pradawnym związku między rybakami a wymarłymi mieszkańcami wyspy.

Jednak Yuetshowie już ponad tysiąc lat wcześniej przestali rozumieć sens tych opowiadań. Teraz powtarzali je jak pozbawione znaczenia, rytualne formułki, zgodnie ze zwyczajem przekazywane z ojca na syna. Od wieków nikt z ich plemienia nie postawił stopy na Xapur. Pobliskie brzegi były nie zamieszkałe; porośnięte trzciną bagna i dzikie bestie czyniły je niedostępnymi.

Wioska rybaka leżała nieco dalej na południe. Nocny sztorm przygnał jego rozsychającą się łódkę tutaj, daleko od zwykłych łowisk, a ryczące fale roztrzaskały ją o urwisty brzeg wyspy. Teraz, rankiem niebo było niebieskie i czyste, a wschodzące słońce zamieniało krople rosy na liściach w skrzące się diamenty.

Podczas burzy, kiedy to jeden szczególnie silny piorun uderzył w wyspę, dał się słyszeć potężny rumor i loskot osypujących się glazów. Nie wydawało się możliwe, by ten dźwięk mogło wywołać walące się drzewo. Spędziwszy noc u podnóża skał, rybak wdrapał się na nie o świcie. Przygnała go tam zwykła ciekawość, a teraz, gdy znalazł to, czego szukał, ogarnął go niepokój i instynktowne przeczucie niebezpieczeństwa.

Pośród drzew widniały ruiny kopulastej budowli, wzniesionej z gigantycznych bloków tego szczególnego, jak stal twardego kamienia, znajdowanego tylko na wyspach Vilayet. Zdawało

się nieprawdopodobnym, by ludzkie ręce zdołały obrobić te glazy i ustawić z nich mury, a z pewnością zburzenie ich nie leżało w mocy człowieka. Jednak piorun strzaskał kilkotonowe glazy niczym szkło, zamieniając niektóre z nich w zielony pył i rozłupując kopulasty strop.

Rybak wspiął się na gruzowisko i zajrzawszy do środka wydał okrzyk zdumienia. Pod rozbitym sklepieniem, obsypany przez odłamki skały i kurz, na złotym piedestale leżał olbrzym.

Jedynym jego odzieniem była krótka spódniczka z rekiniej skóry. Czarną grzywę prosto przyciętych włosów przytrzymała mu na skroniach wąska, złota opaska. Na nagiej, muskularnej piersi leżał dziwny sztylet o szerokim, zakrzywionym ostrzu i wysadzanej klejnotami rękojeści. Broń była bardzo podobna do noża, jaki nosił u pasa rybak, chociaż nie miała zębatego ostrza i wykonano ją z nieskończenie większą starannością.

Rybak pożądliwie spojrział na sztylet. Jego właściciel był niewątpliwie martwy; martwy od wielu wieków, spoczywał w swym kopulastym grobowcu. Rybak nie zastanawiał się długo nad tajemniczą sztuką starożytnych, dzięki której umarły zachował tak ludzkie pozory życia, a jego smagle ciało przetrwało nietknięte przez czas. Wszystkie myśli przybyłego skupiły się na pięknym nożu z zdobionymi delikatnymi, falistymi liniami biegnącymi wzdłuż zimno lśniącego ostrza.

Zszedłszy do grobowca, podniósł broń leżącą na piersiach mężczyzny. W tej samej chwili zdarzyło się coś dziwnego i straszego. Muskularne, czarne dłonie, ciemne źrenice, których magnetyczne spojrzenie uderzyło przerażonego rybaka niczym cios pięści. Cofnął się upuszczając sztylet, gdy spoczywający na postumencie olbrzym podniósł się do pozycji siedzącej. Rybak rozdziawił usta ze zdziwienia, widząc jak gigantyczną posturą obdarzony był nieznajomy. Ten wpatrywał się w niego zwężonymi oczyma, pozbawionymi życzliwości czy wdzięczności, płonącymi obco i wrogo niczym ślepią tygrysa. Nagle wstał z swego posłania i pochylił się nad rybakiem. W prymitywnej duszy rybaka nie było miejsca na uczucie strachu; przynajmniej widok naruszenia podstawowych praw natury go nie wzbudził. Gdy olbrzymie dłonie zacisnęły się na jego ramionach, dobył swego zakrzywionego noża i pchnął - jednym płynnym ruchem. Ostrze prysnęło uderzywszy w muskularny tors giganta, jakby okrywał go niewidoczny stalowy pancerz i w tej samej chwili kark rybaka trzasnął w rękach olbrzyma jak spróchniała gałąź.

Johungir Aga, pan Kwaharizm oraz strażnik morskich granic, raz jeszcze spojrział na ozdobny zwój pergaminu opatrzony wielobarwną pieczęcią, po czym zaśmiał się krótko i sardonicznie.

- No? - bezceremonialnie nalegał Ghaznavi, jego doradca.

Johungir wzruszył ramionami. Był przystojnym mężczyzną, dumnym ze swych osiągnięć i wysokiego urodzenia. - Król się niecierpliwi - powiedział. - Własną ręką kreśli do mnie słowa swego niezadowolenia z powodu mojej, jak to nazywa, niezdolności do ochrony granicy. Na Rarima, jeżeli nie zdołam zniszczyć tych stepowych rabusiów, Kwaharizm będzie miał nowego pana!

Ghaznavi w zamyśleniu gładził swą przetykaną siwizną brodę. Yezdigerd, król Turanu,

był najpotężniejszym monarchą na świecie. Jego pałac w wielkim portowym mieście - Aghrapurze, wypełniały nieprzebrane skarby. Floty jego galer wojennych o czerwonych żaglach królowały na Morzu Hyrkańskim i Morzu Vilayet. Ciemnoskórzy Zamorianie składali mu daninę, tak samo jak wschodnie prowincje Koth. Również Shemici poddali się jego władzy, aż po leżący daleko na zachodzie Shushan. Jego armie pustoszyły pogranicze Stygii na południu i okryte śniegiem ziemie Hyperborejów na północy. Jego jeźdźcy ponieśli ogień i żelazo na zachód, do Brythunii, Ophiru, Korynthii, a nawet do granic Nemedii. Na rozkaz króla Yezdigerda wojownicy w pozłacanych zbrojach tratowali kopytami swych koni mieszkańców tych ziem i puszczały z dymem ich miasta. Na przepelnionych targowiskach niewolników w Aghrapurze, Sultanapurze, Kwaharizmie, Shahpurze i Khorusunie, za trzy małe sztuki srebra sprzedawano kobiety: ciemnowłose Zamoranki, brunatnoskóre Stygijki, jasnowłose Brythunki, hebanowe Kuchitki i Shemitki o oliwkowej skórze.

A jednak, chociaż jego szybka jazda zwyciężała obce armie daleko od granic Turanu, tuż pod bokiem zuchwały wróg szarpał go za brodę, niosąc śmierć i pożogę. Na rozległych stepach, między Morzem Vilayet a odległymi granicami hyboreańskich królestw, powstała w ciągu niecałych pięćdziesięciu lat nowa społeczność, założona przez zbiegłych niewolników, banitów, przestępców i dezertersów. Ich zbrodnie były tak rozmaite jak kraje ich pochodzenia: jedni urodzili się na stepach, inni przybyli z królestw Zachodu. Nazywano ich kozakami, czyli przybłędami.

Zamieszkując szerokie, dzikie równiny, nie uznając żadnych praw prócz swego specyficznego kodeksu, potrafili stawić czoło nawet wojskom wielkiego Monarchy. Nieustannie najeżdżali granice Turanu, chroniąc się w stepie w razie klęsk razem z piratami Czerwonego Bractwa Morza Vilayet niepokoi wybrzeże, łupiąc statki handlowe kursujące między portami Hyrkanii.

- Jak mam zniszczyć to wilcze plemię? - dopytywał się Johungir.

- Jeśli wyruszę za nimi w step, ryzykuję, że otoczą mnie i rozbiją, albo jeżeli będę miał przewagę, wymkną się z okrążenia i spalą miasto w czasie mojej nieobecności. Ostatnio rozzuchwalili się bardziej niż zwykle.

- To z powodu nowego wodza - rzekł Ghaznavi. - Wiesz o kim myślę.

- Tak? - odparł Johungir z wściekłością. - To ten demon Conan. Jest jeszcze dzikszy od kozaków, ale waleczny niczym górski lew.

- Raczej dzięki instynktowi niż inteligencji - powiedział Ghaznavi.

- Inni kozacy są przynajmniej potomkami cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą, gdyby udało się nam go pozbyć zadalibyśmy kozakom decydujący cios.

- Ale jak? - pytał Johungir. - Raz po raz wychodzi cało, z wydawałoby się, śmiertelnych operacji. Poza tym, dzięki instynktowi czy rozwadze, unikał wszystkich zastawionych na niego zasadzek.

- Na każde zwierzę i na każdego człowieka znajdzie się odpowiednia przynęta - rzekł



sentencjonalnie Ghaznavi.

- Kiedy paktowaliśmy z kozakami w sprawie okupu za więźniów, obserwowałem Conana. Ma skłonność do mocnych trunków i nie stroni od kobiet. Sprowadź tu swą niewolnicę Oktawie.

Johungir klasnął w dłonie i hebanowoczarny Kushita - eunuch o kamiennej twarzy - oddalił się z niskim pokłonem, by wykonać rozkaz. Po chwili wrócił, wiodąc za rękę wysoką, przystojną dziewczynę, której jasne włosy, oczy i skóra świadczyły o miejscu urodzenia. Krótka, ściągnięta w pasie tunika, podkreślała zarysy wspaniałego ciała. W jasnych oczach palili się niechętny błysk, a pełne wargi zaciskały się uparcie, lecz długie miesiące niewoli nauczyły ją posłuszeństwa. Stała ze zwieszoną głową przed swym panem, dopóki gestem nie nakazał jej sięść obok na dywan.

Johungir spojrzał wyczekująco na doradcę.

- Musimy wywabić Conana z obozu - wypalił Ghaznavi. - Obecnie znajduje się on gdzieś w dolnym biegu rzeki Zaporozka, która jak wiem, jest gąszczem trzciny, bagnistą dżunglą, gdzie ostatnia ekspedycja karna wyginęła do ostatniego człowieka.

- Nie mogę o tym zapomnieć - powiedział ze złością Johungir.

- Niedaleko leży nie zamieszkała wyspa - ciągnął Ghaznavi - zwana Fortecą Xapur, ze względu na prastare ruiny, jakie na niej stoją. Pewien szczegół czyni ją idealną dla naszych celów. Otóż jej brzegi wznoszą się wprost z morza, tworząc urwiska na sto pięćdziesiąt stóp. Nawet małpa nie zdołałaby się na nie wspiąć. Jedyna droga, jaką można się dostać: na wyspę, znajduje się na zachodnim brzegu - to strome, wykute w skale schody.

- Jeżeli zdołamy zwabić Conana na wyspę samego, nasi łucznicy będą mogli ustrzelić go jak lwa w klatce.

- Pobożne życzenia - przerwał niecierpliwie Aga. Musimy wysłać do niego posłańca z prośbą, by przybył na wyspę i poczekał tam na nas?

- W samej rzeczy! - widząc zdumienie Johungira, doradca ciągnął dalej.

- Zaczniemy rokowania z kozakami na skraju stepu, przy forcie Ghori. Jak zwykle udamy się tam zbrojnie i rozłożymy obóz pod murami zamku. Oni przybędą w równej sile, po czym rokowania przebiegną jak zazwyczaj: w atmosferze podejrzliwości i braku zaufania. Jednak tym razem weźmiemy ze sobą, jakby przypadkiem naszego ślicznego więźnia - doradca ruchem głowy wskazał dziewczynę.

Oktawia zbladła i zaczęła słuchać ze zdwojonym zainteresowaniem.

- Ona użyje całego swego sprytu, by zwrócić uwagę Conana. To nie powinno być trudne. Temu dzikiemu rabusiowi wyda się niezmiernie pięknym zjawiskiem. Jej żywy charakter i jędrne ciało powinny pociągać go silniej niż wdzięki którejś z lalkowatych piękności twojego seraju, panie.

Oktawia skoczyła na równe nogi, zaciskając pięści, syjąc skry z oczu i trzęsąc się ze złości.

- Chcicie zmusić mnie do lajdaczenia się z tym barbarzyńcą? - krzyknęła. - Nie zrobię tego! Nie jestem tanią dziwką z jarmarku, żeby kokietować jakiegoś stepowego rabusia. Jestem córką nemediańskiego szlachcica i ...

- Byłaś nemediańską szlachcianką, zanim porwali cię moi jezdni - zreplikował Johungir. - Teraz jesteś tylko niewolnicą i uczynisz, co każę.

- Nie zrobię tego! - wrzasnęła.

- Wprost przeciwnie - rzekł z wysublimowanym okrucieństwem Johungir - zrobisz. Podoba mi się plan Ghaznaviego. Mów dalej, mój księżę doradców.

- Conan najprawdopodobniej zechce ją kupić. Oczywiście, odmówisz sprzedaży czy wymiany na naszych hyrkańskich jeńców. Może nawet spróbuje ją porwać lub zabrać siłą - chociaż nie sądzę, by chciał naruszyć zawieszenie broni. W każdym razie musimy być przygotowani na wszystko. Zaraz po rokowaniach, zanim zdola o niej zapomnieć, wyślemy do niego posła, oskarżając go o porwanie dziewczyny i żądając jej zwrotu. Być może zabije posłańca, ale będzie sądził, że dziewczyna uciekła. Później wyślemy szpiega - yuetshański rybak będzie odpowiedni - do obozu kozaków, aby powiedział Conanowi, że Oktawia ukrywa się na Xapur. O ile go znam, uda się tam natychmiast.

- Ale czy na pewno sam? - spytał się Johungir.

- Czy mężczyzna bierze ze sobą oddział wojowników, gdy udaje się na spotkanie z kobietą, której pożąda? - odparł doradca. - Jest duża szansa, że będzie sam. Jednak zabezpieczymy się przed tą drugą ewentualnością. Nie będziemy czekać na niego na wyspie, ryzykując, że zamieni się ona w pułapkę, lecz ukryjemy się w trzcinach, dochodzących prawie na tysiąc jardów do Xapur. Jeśli przybędzie z większą siłą, wycofamy się i wymyślimy coś innego. Jeżeli przybędzie sam lub z kilkoma ludźmi - będzie nasz. Na pewno przybędzie, mając w pamięci uśmiechy i znaczące spojrzenia twojej czarującej niewolnicy, panie.

- Nigdy nie okryję się taką hańbą! - Oktawia szalała z gniewu i upokorzenia. - Prędzej umrę!

- Nie umrzesz, moja piękna buntowniczo - rzekł Johungir - ale doświadczysz czegoś bardzo bolesnego i przykrego.

Klasnął w dłonie i Oktawia pobladła. Tym razem nie pojawił się ciemnoskóry, lecz muskularny Shemita - krępy mężczyzna z kędzierzawą, kruczoczną bródką.

- Jest robota dla ciebie, Gilzemie - rzekł Johungir. - Weź tę głupią dziewczkę i pobaw się z nią trochę. Tylko bacz, byś nie zepsuł jej urody.

Z nieartykułowanym mruknięciem Shemita chwycił Oktawie za rękę i uścisk jego żelaznych palców sprawił, że opuściła ją cała odwaga. Z żalnym okrzykiem wyrwała się oprawcy i padła na kolana przed nieubłaganym Agą, z łkaniem o litość.

Johungir gestem odprawił rozczarowanego kata i rzekł do Ghaznaviego:

- Jeżeli twój plan się powiedzie, ozłocę cię! Ciemności przedświt, spowijające morze

falujących trzciny i mętne wody bagniska, zakłócał dziwny szmer. Nie spowodował go leniwie ciekący strumyk ani skradające się zwierzę. Przez gęste, wysokie trzciny przedzierała się ludzka istota.

Gdyby ktoś tam był, zobaczyłby kobietę - wysoką i jasnowłosą o bujnych kształtach podkreślonych przez przemoczoną tunikę oblepiającą jej ciało. Oktawia rzeczywiście uciekła; nawet teraz wzdrygała się na wspomnienie upokorzeń, jakich zaznała w niewoli. Wystarczająco okropne było mieć Johungira za pana, lecz on z rozmyślnym okrucieństwem podarował ją szlachcicowi, którego imię nawet w Kwaharizmie było synonimem zwyrodnienia. Na samą myśl o tym ciarki przebiegły po jedwabistej skórze Oktawii. Rozpacz dodała jej sił do ucieczki z zamku Jelal Chana. Nocą spuściła się po linie sporządzonej z podartych tkanin ściennych, a przypadek dopomógł jej znaleźć spętanego konia. Jechała całą noc; ranek zastał ją z ochwaconym wierzchowcem na bagnistym brzegu morza. Trzęsąc się z odrazy na myśl o ponownym wpadnięciu w ręce Jelal Chana i czekającym ją w tym wypadku losie, zagłębiła się w moczary, szukając schronienia przed spodziewanym pościgiem. Kiedy otaczające ją trzciny stały się rzadsze, a woda sięgała do pasa, dziewczyna ujrzała przed sobą mroczne kontury wyspy. Oddzielał ją od brzegu szeroki pas wody, ale nie powstrzymało to Oktawii. Brnęła dalej, dopóki ciemna toń nie sięgała jej do piersi, potem odbiła się mocno od dna i popłynęła z wigorem świadczącym o niezwyklej wytrzymałości. Gdy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że brzegi wyspy wznoszą się pionowo z wody niczym mury zamku. W końcu dotarła do ich podnóża, ale nie znalazła ani uchwyty, ani występu, na którym mogłaby stanąć. Popłynęła dalej wzdłuż brzegu, czując jak ogarnia ją zmęczenie. Nagle, macające niecierpliwie ręce trafiły na zagłębienie. Z jęklwym westchnieniem ulgi wciągnęła się na głazy i leżała, dysząc, ociekająca wodą, w przyćmionym blasku gwiazd podobna do białej boginki. Natrafiła na coś, co wyglądało na wykute w skale schody. Ruszyła po nich w górę. Nagle przywarła do kamieni usłyszawszy stłumione skrzypnięcie obwiązanych szmatami wiosel. Wytężyła wzrok i wydało jej się, że dostrzega niewyraźny kształt zmierzający do porośniętego trzcina cypla, który niedawno opuściła. Jednak mrok był wciąż jeszcze zbyt gęsty, by mogła być tego pewna. W końcu słaby szmer ucichł i Oktawia znów ruszyła w górę. Jeżeli to pościg za nią, nie miała innego wyjścia, jak ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość wysp tego bagnistego wybrzeża była nie zamieszkana. Ta mogła być pirackim gniazdem, ale wołała nawet piratów od Jelal Chana - bestii w ludzkiej skórze. W czasie wspinaczki mimowolnie porównała swego właściciela z wodzem kozaków, którego - pod przymusem - bezwstydnie kokietowała w namiotach obozu przy forcie Ghor, gdzie hyrkańscy panowie układali się ze stepowymi wojownikami. Jego palące spojrzenia przepajały ją lękiem i wstydem, lecz czysta, prymitywna natura stawiała go wyżej od potwora, jakiego tylko zbyt wyrafinowana cywilizacja mogła wydać.

Wdrapała się na skraj urwiska i bojaźliwie rozejrzała się wokół. Gęstwina sięgała prawie do samego brzegu, tworząc zwartą ścianę ciemności. Coś śmignęło jej nad głową, skuliła się mimo woli, wiedząc, że to tylko nietoperz.

Chociaż przerażał ją hebanowy mrok, zacisnęła zęby i skierowała się w głąb wyspy, próbując nie myśleć o jadowitych wężach. Jej bose stopy stąpały bezgłośnie po miękkim poszyciu. Kiedy weszła między drzewa, ciemność zamknęła się wokół niej nieprzeniknionym murem, napelniając trwogą. Nie zrobiła jeszcze tuzina kroków, a już nie mogła dojrzeć skał i

morza. Po kilku następnych straciła poczucie kierunku i zgubiła się kompletnie. Przez splątane gałęzie nie mogła dostrzec ani jednej gwiazdy. Po omacku brnęła na oślep, gdy nagle - zatrzymała się.

Gdzieś przed nią rozległo się monotonne dudnienie bębna. Nie był to ten rodzaj dźwięku, jakiego można by się spodziewać w tym miejscu i czasie. Jednak zapomniała o nim natychmiast, uświadomiwszy sobie czyjaś obecność w pobliżu. Nie widziała niczego, ale wiedziała, że ktoś stoi przy niej w ciemności.

Ze zduszonym krzykiem rzuciła się w tył i w tej samej chwili coś, w czym, mimo paniki, rozpoznała ludzkie ramię, chwyciło ją w talii. Wrzasnęła i szarpnęła się ze wszystkich sił, lecz napastnik porwał ją w objęcia jak dziecko, z łatwością przewycięzając gwałtowny opór. Milczenie, z jakim spotkały się jej rozpaczliwe błagania i protesty, wzmogło jeszcze jej przerażenie. Poczula, że ktoś taszczy ją w kierunku odległego, wciąż pulsującego miarowym rytmem, bębna.

Kiedy pierwszy promyk świtu poczerwienił morze, do brzegu wyspy zbliżyła się mała łódź z samotnym żeglarzem. Mężczyzna ten był niezwykle malowniczą postacią. Głowę miał obwiązaną purpurową opaską, obszerną jedwabną koszulę o jaskrawej barwie podtrzymywała szeroka szarfa, na której zawieszona była krótka szabla w pochwie z rekiniej skóry. Nabijane złotem skórzane buty sugerowały, że ich właściciel był raczej jeźdźcem niż żeglarzem, tym niemniej wprawnie sterował swoją łodzią.

Wycięcie szeroko otwartej jedwabnej koszuli ukazywało muskularną, spaloną od słońca pierś.

Pod brązową skórą przybysza grały potężne mięśnie, gdy bez wysiłku poruszał piórami wiosel. Jego rysy zdradzały dziką, prymitywną naturę, lecz twarz nie była odpychającym obliczem dzikusa, chociaż płomień tłący się w błękitnych oczach zdradzał, że łatwo jest wzbudzić jego gniew. Był to Conan, który zawędrował do warownych obozowisk kozaków nie mając nic prócz swego sprytu i miecza, a jednak został ich wodzem.

Przybił do brzegu opodal wykutych w skale schodów, jak ktoś dobrze znający wyspę i przycumował łódź do skalnego występu. Następnie bez wahania ruszył w górę po zmurszałych stopniach. Rozglądał się bacznie wokół; nie dlatego, by świadomie spodziewał się ukrytego zagrożenia, lecz ponieważ czujność była częścią jego osobowości wyostrzoną przez pełne niebezpieczeństw życie, jakie wiódł. To, co Ghaznavi uważał za jakiś szósty zmysł lub zwierzęcy instynkt, było jedynie nabytą w toku długotrwałych ćwiczeń wprawą i wrodzonym sprytem barbarzyńcy. Żaden instynkt nie podpowiadał Conanowi, że obserwują go ukryci w nadbrzeżnych trzcinach ludzie.

Kiedy wspinał się na urwisko, jeden z nich odetchnął głęboko i powoli naciągnął cięciwę swego łuku. Johungir chwycił go za ramię i z wściekłością syknął do ucha:

- Głupcze! Chcesz wszystko zepsuć? Nie widzisz, że jest poza zasięgiem? Niech wejdzie na wyspę. Będzie szukał dziewczyny. My zaczekamy tu jakiś czas. Mógł wyczuć naszą obecność lub przejrzeć nasz plan. Może ukrył gdzieś w pobliżu swoich wojowników.

Poczekamy. Za godzinę, jeżeli nie znajdzie nic podejrzanego, podpłyniemy do schodów i zaczaiemy się tam. Jeśli nie powróci szybko, pójdziemy na wyspę i zapolujemy na niego. Wolalbym jednak tego uniknąć, bo wielu z nas zginie w dżungli. Chciałbym zaskoczyć go, gdy będzie schodził do łodzi i naszpikować strzałami z bliskiej odległości.

W tym czasie nie podejrzewający niczego, wódz kozaków zagłębił się w gęstwinę. Szedł cicho na miękkich, skórzanych podszewkach, przeszywając wzrokiem każdy zakamarek, niecierpliwie oczekując widoku wspaniałej, jasnowłosej piękności, o której marzył od chwili pierwszego spotkania w namiocie Johungir Chana przy forcie Ghori. Pożądałby jej nawet, gdyby okazywała mu wyraźną niechęć. Jednak jej znaczące spojrzenia i uśmiechy rozpały mu krew i teraz z całą odziedziczoną po przodkach gwałtownością pożądał tej białoskórej, jasnowłosej kobiety.

Był już przedtem na Xapur. Niecały miesiąc wcześniej odbyło się tu sekretne spotkanie z piratami. Wiedział, że właśnie zbliża się do miejsca, gdzie wznoszą się tajemnicze ruiny, którym wyspa zawdzięcza swoją nazwę i zastanowił się przelotnie, czy poszukiwana dziewczyna ukrywa się wśród nich. Nagle stanął jak wryty.

Zobaczył coś, co przeczyło wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi - wielki, ciemnozielony mur, za blankami którego wznosiły się wyniosłe wieże.

Przez chwilę Conan stał jak sparaliżowany, szarpany wątpliwościami, jakie ogarnęłyby każdego, kto staje w obliczu rzeczy nieprawdopodobnej i przeczącej zdrowemu rozsądkowi. Conan nie wątpił w swoje zmysły, ale coś tu było nie w porządku. Mniej niż miesiąc wcześniej tylko ruiny wznosiły się wśród drzew.

Czyż ludzkie ręce zdołałyby wznieść tak potężne mury w ciągu zaledwie kilku tygodni? Ponadto, nieustannie przemierzający Morze Vilayet, piraci powinni zauważyć prace przy tak gigantycznym przedsięwzięciu i zawiadomić kozaków.

W żaden sposób nie można było wytłumaczyć tego wydarzenia, a jednak wzrok nie mylił barbarzyńcy. Znajdował się na Xapur i te fantastyczne, kamienne budowle stały na wyspie i wszystko to wydawało się szaleństwem i niemożliwością, a jednak było prawdą.

Zawrócił chcąc umknąć z powrotem przez dżunglę. Wykute w skale schody i błękitne wody oddzielały go do odległego obozu u ujścia rzeki Zaporozka. Przez jedną krótką chwilę ogarniętemu ślepą paniką Conanowi nawet myśl o pozostaniu w pobliżu wyspy wydała się odstręczająca. Najchętniej porzuciłby wszystko - warowne obozy, step, kozaków i zostawił tysiąc mil za sobą ten tajemniczy Wschód, gdzie niewyobrażalne, demoniczne moce wyczyniały rzeczy urągające podstawowym prawom natury.

Przez chwilę przyszłość królestw, uzależniona od nieświadomego tego barbarzyńcy, wisiała na włosku. Tylko jeden drobny szczegół przeważał szalę: spłoszony wzrok Conana padł na mały strzęp jedwabiu wiszący na krzaku. Pochylił się nad nim węsząc. Wyczuł delikatną woń. Ten wydarty przez gałąź kawałek materiału zachował dręczący zmysły zapach. Raczej dzięki jakiemuś niejasnemu przeczuciu niż dzięki wyczulonemu węchowi rozpoznał perfumy pięknej, jasnowłosej dziewczyny, którą widział w namiocie Johungira. Zatem rybak

nie kłamał: była tu! Później zobaczył na ziemi odcisk bosej stopy: długiej i wąskiej - ślad męczyzny, nie kobiety - lecz odcisnięty nienaturalnie głęboko. Wniosek był oczywisty: człowiek niósł coś, a cóż to mogło być jak nie poszukiwana dziewczyna? Conan stał bez ruchu patrząc na czarne wieże groźnie mające między drzewami i w jego niebieskich oczach pojawił się złowrogi błysk. Pożądanie jasnowłosej dziewczyny i ponura, pierwotna nienawiść do jej porywacza, stopiły się w jedno, przemożne uczucie. Namietność przewyciężyła przesądny lęk i Conan przyczajony niczym gotujący się do skoku lew, ruszył ku murom fortu, korzystając z osłony gęstego listowia.

Stwierdził, że mur zbudowano z tego samego zielonego kamienia, z jakiego korzystali dawni budowniczowie wznosząc fortyfikacje leżące do niedawna w ruinie i doznał dziwnego wrażenia, że spogląda na coś dobrze znanego. Wydawało mu się, że patrzy na coś, co widział przedtem we śnie.

W końcu zrozumiał. Mury i wieże znajdowały się na miejscu dawnych ruin. Jakby z kruszejących szczątków znów odbudowano starożytne budowle.

Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy poranka, gdy Conan podkrał się pod mur wznoszący się pionowo wśród bujnej roślinności; tu, na południowych krańcach ogromnego, śródziemnego morza, prawie tropikalnej. Na blankach nie ujrzał nikogo, niczego też nie dosłyszał. W pobliżu dostrzegł masywną bramę, lecz nie przypuszczał, by mogła być nie zamknięta czy nie strzeżona. Wiedziony przekonaniem, że kobieta, której szukał, znajduje się gdzieś za murami, postąpił w typowy dla siebie, zuchwały sposób.

W górze porośnięte pnączami gałęzie sięgały prawie do blanków. Conan wdrapał się na drzewo jak kot, po czym, dotarłszy nieco powyżej górnej krawędzi muru, chwycił obiema rękami gruby konar, rozkołysał się i w odpowiedniej chwili puścił. Przeleciał w powietrzu i z kocią zwinnością wylądował na blankach. Tam przyciął się i spojrzał w dół, na ulice miasta.

Mur miał niewielki obwód, lecz liczba budynków znajdujących się wewnątrz była zdumiewająca. Trzy- i czteropiętrowe budowle z zielonego kamienia miały płaskie dachy i reprezentowały dobry styl architektoniczny. Ulice zbiegały się jak szprychy koła na ośmiokątnym placu stanowiącym centrum miasta - tam wznosił się wyniosły gmach o wielu kopułach i wieżach, górujących nad całym miastem.

Na ulicach i w oknach nie zobaczył żywej duszy, chociaż słońce weszło już dawno. Królująca wszędzie martwa cisza zdawała się świadczyć o opuszczeniu miasta.

Conan znalazł wąskie, kamienne schody i ruszył nimi w dół.

Domy przylegały tak blisko muru, że znalazłszy się w połowie drogi miał najbliższe okno na wyciągnięcie ręki. Zatrzymał się i zajrzał. Okno nie miało okiennic ani krat, tylko rozchylone szeroko jedwabne zasłony. Za nimi zobaczył komnatę o ścianach pokrytych ciemnymi, aksamitnymi gobelinami. Na podłodze leżały grube dywany, a ławy z polerowanego hebanu i łoże ze słoniowej kości zasłane były stertami futer.

Conan zamierzał iść dalej, gdy usłyszał na ulicy czyjeś kroki. Zanim nadchodzący zdążył wyjść zza rogu i zobaczyć Cymmerianina na schodach, ten jednym susem przeskoczył do

komnaty i miękko wylądowawszy na podłodze, dobył szabli. Przez moment stał nieruchomo jak posąg; później, kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył po dywanach w stronę drzwi. Nagle jedna z zasłon odchyliła się, ukazując wyłożoną poduszkami alkową, i szczupłą, ciemnowłosa dziewczyna spojrzała na niego sennym wzrokiem.

Conan popatrzył w napięciu spodziewając się, że zaskoczona zaraz zacznie krzyczeć. Jednak dziewczyna tylko stłumiła ziewnięcie delikatną dłonią; wstała i niedbale oparła się o zasłoniętą gobelinem ścianę.

Niewątpliwie należała do białej rasy, chociaż jej skóra była bardzo ciemna. Miała prosto przycięte, czarne jak noc włosy, a jedynym jej odzieniem był skrawek jedwabiu owinięty wokół bioder. W końcu odezwała się, ale w nieznanym mu języku i Conan potrząsnął głową. Dziewczyna ziewnęła ponownie, przeciągnęła się i nie okazując strachu czy zdziwienia, zaczęła mówić językiem, który rozumiał - dialektem Yuotahów, brzmiącym dziwnie archaicznie.

- Szukałeś kogoś? - zapytała tak obojętnie, jakby najście jej komnaty przez uzbrojonego nieznajomego było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

- Kim jesteś? - zapytał Conan.

- Jestem Yatoli - odparła leniwie. - Chyba biesiadowałam wczoraj do późna - jestem taka senna. A kim ty jesteś?

- Jestem Conan, wódz kozaków - odrzekł, przyglądając się jej bacznie.

Uważał jej zachowanie za pozę i spodziewał się, że dziewczyna spróbuje uciec z komnaty lub zaalarmować domowników. Jednak, mimo że aksamitny sznur, najprawdopodobniej używany do wzywania służby, wisiał w zasięgu jej ręki, dziewczyna nie próbowała zań pociągnąć.

- Conan - powtórzyła niepewnie. - Nie jesteś Dagonianinem. Sądzę, że jesteś najemnym żołnierzem. Czy ściałeś głowy wielu Yuetshom?

- Nie walczę ze szczurami! - sarknął Conan.

- Ale oni są straszni - mruknęła. - Pamiętam czasy, gdy byli naszymi niewolnikami. Potem zbuntowali się: palili, zabijali. Tylko czary Khosatralla Khela trzymają ich z dala od murów...

Przerwała i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Zapomniałam - szepnęła. - Oni wspięli się na mury zeszłej nocy. Wokół słyhać było krzyki i trzask płomieni, a ludzie daremnie wzywali Khosatralla Khela...

Potrząsnęła głową, jakby próbując się otrząsnąć.

- Przecież to niemożliwe - wymamrotała - ja żyję, a wydawało mi się, że jestem martwa. Och, do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i biorąc Conana za rękę, pociągnęła go na łóżko. Pozwolił na to, wciąż spodziewając się podstępu. Dziewczyna uśmiechnęła się do Conana jak senne dziecko; długie, jedwabiste rzęsy opadły przysłaniając ciemne, zasunięte mgłą oczy. Przesunęła dłonią

po jego gęstych lokach, jakby chciała przekonać się, że jest rzeczywistością.

- To był sen - ziewnęła. - Z pewnością to mi się tylko śniło. Teraz też czuję się jak we śnie. Nieważne. Nic nie pamiętam... Zapomniałam... jest coś, czego nie mogę zrozumieć, ale kiedy tylko próbuję o tym myśleć, staję się taka senna... W każdym razie to bez znaczenia.

- Co masz na myśli? - zapytał Conan. - Mówisz, że wspięli się zeszłej nocy na mury? Kto?

- Yuetshowie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Klęby dymu zasłoniły wszystko, a potem nagi zboczony krwią potwór chwycił mnie za gardło i wbił nóż w piersi. Och, jak bolało! Ale to był tylko sen, bo - widzisz? - wcale nie mam blizny!

Ospale obejrzała swą gładką pierś, po czym siadła Conanowi na kolana i otoczyła ramionami jego potężny kark.

- Nie pamiętam - mruzczała, tuląc swą ciemną główkę do jego masywnej piersi. - Wszystko wydaje się takie odległe i niewyraźne... To nic. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny. Cieszymy się życiem, póki możemy. Kochaj mnie!

Conan ułożył puszystą głowę w zagłębieniu zgiętego ramienia i z nieskrywaną przyjemnością ucałował pełne, czerwone wargi.

- Jesteś silny - powtórzyła słabnącym głosem. Kochaj mnie, kochaj...

Senne mamrotanie ucichło: długie rzęsy opadły, ciemne powieki zamknęły się i dziewczyna zwiotczała w ramionach Conana.

Popatrzył na nią marszcząc brwi. Tak jak i całe miasto, wydawała się być złudzeniem, lecz ciepło i miękkość jej ciała świadczyły dobitnie, że ma w swych objęciach żywą istotę, a nie senną zjawę. Mimo to zakłopotany Conan pospiesznie ułożył ją na wyścielonym futrami łożu. Jej sen był zbyt głęboki, by mógł być naturalny. Zdecydował, że dziewczyna musiała zażyć jakiś narkotyk, może podobny do czarnego lotosu z Xuthal.

Nagle zobaczył coś, co go zdziwiło. Wśród futer na łożu znajdowała się piękna, złocista skóra w czarne cętki. Conan wiedział, że zwierzę to wymarło przed tysiącem lat - był to bowiem wielki złoty leopard, zajmujący tak poczesne miejsce w hyboreańskich legendach i którego starożytni artyści tak chętnie przedstawiali na freskach. Z niedowierzaniem potrząsając głową, Conan wyszedł przez lukowato sklepione drzwi na korytarz. W budynku panowała cisza, lecz na zewnątrz wyczułone ucho barbarzyńcy pochwyciło dźwięk ludzkich kroków. Ktoś schodził z muru po tych schodach, z których Conan skoczył do komnaty.

W chwilę później z niepokojem usłyszał, jak coś wylądowało z potężnym trzaskiem na podłodze pokoju, który dopiero co opuścił. Conan zawrócił i pospieszył krętym korytarzem, aż zatrzymał się na widok leżącego człowieka. Mężczyzna leżał na podłodze, połową ciała tkwiąc jeszcze w otworze zamaskowanych drzwi - teraz uchylonych. Szczupłe i ciemne ciało okrywała jedynie przepaska. Leżący miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

Conan pochylił się nad nim szukając przyczyny śmierci - śladu morderczego ciosu - i stwierdził, że mężczyzna jest pogrążony we śnie tak samo jak ciemnowłosa dziewczyna w komnacie. Tylko dlaczego wybrał sobie takie miejsce na drzemkę?



Zastanawiając się nad tym, Conan wzdrygnął się usłyszawszy coś za sobą. Ktoś zbliżał się korytarzem. Conan rozejrzał się wokół i zobaczył, że sień kończy się wielkimi drzwiami. Mogły być zamknięte. Jednym szarpnięciem wyciągnął śpiącego mężczyznę z ukrytego przejścia i przeszedł przez próg, zamykając drzwi za sobą. Stojąc w ciemności usłyszał, że odgłos kroków urwał się przed jego kryjówką i lekki dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W ten sposób nie mógł stąpać ani człowiek, ani żadne ze znanych barbarzyńcy zwierząt.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerywana słabym trzeszczeniem drewna. Wyciągnąwszy rękę Conan poczuł, że metalowe drzwi wyginają się, jakby z drugiej strony napierał na nie straszliwy ciężar. Sięgnął po broń, ale napór ustał nagle: usłyszał dziwne, obrzydliwe ciamkanie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Z szablą w dłoni zaczął się wolno cofać, aż natrafił na schody i niewiele brakowało, a byłby z nich spadł. Wąskie stopnie prowadziły w dół. Ruszył w ciemność, próbując bezskutecznie wymacać jakieś drzwi. Właśnie kiedy doszedł do wniosku, że już nie znajduje się w budynku, lecz głęboko pod nim, schody skończyły się i zaczął się tunel.

Wymacując sobie drogę w ciemnościach, Conan szedł przez cichy tunel, w każdej chwili spodziewając się upadku w jakąś niewidoczną przepaść: jednak w końcu jego stopy ponownie natrafiły na stopnie. Wszedł po nich i dotarł do drzwi. Po chwili jego błędzące palce znalazły metalowy rygiel. Wyszedł z tunelu i znalazł się w mrocznej, wyniosłej sali o ogromnych rozmiarach. Pod żyłkowanymi ścianami biegły szeregi dziwacznych kolumn, podtrzymujących sklepienie - czarne i przezroczyste jednocześnie, które wyglądało jak zachmurzone, nocne niebo, dając złudzenie nieprawdopodobnej wysokości. Światło wpadające tędy do komnaty było przedziwnie zmienione.

W zalegającym wokół półmroku Conan ruszył po pustej, zielonej posadzce. Wielka sala miała kształt owalny. Jedną ze ścian przecinały wielkie podwoje spiżowych wrót. Naprzeciw nich znajdowało się podium, na które wiodły szerokie kręte schody. Tam stał miedziany tron i Conan cofnął się gwałtownie, unosząc szablę, kiedy zobaczył, kto na nim siedzi.

Wstrzymując oddech wszedł po szklanych stopniach, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Był to gigantyczny wąż, najwidoczniej wyrzeźbiony z jakiegoś materiału przypominającego nefryt. Każda łuska odrażającego cielska wyglądała jak prawdziwa, również tęcze kolory odtworzono z niezwykłą dokładnością. Wielka, trójkątna głowa była do połowy ukryta w splotach - tak więc ślepa i paszczyka pozostawały niewidoczne. W mózgu Conana wolno kielkowało zrozumienie. Ten wąż najwidoczniej miał uosabiać jedno z tych ponurych stworzeń, jakie w minionych wiekach zamieszkiwały trzciniste brzegi południowych krańców Morza Vilayet. Jednak, podobnie jak złocisty lampart, węże te wymarły przed setkami lat. Conan widział ich toporne wizerunki w świętych chatach Yuetshów, a także czytał ich opis w Księdze ze Skelos, która powoływała się na historyczne źródła.

Teraz, podziwiając pokryte łuskami cielsko, grubsze od jego uda i z pewnością niezwykle długie, wyciągnął rękę i dotknął węża. W tej samej chwili drgnął gwałtownie, a serce podeszło mu do gardła. Krew w jego żyłach zmieniła się w lód i wszystkie włosy stanęły mu dęba, bowiem nie dotknął gładkiej, kruchej powierzchni z metalu, szkła lub kamienia, lecz elastycznej tkanki. Pod palcami poczuł leniwie tętniące życie...

Z obrzydzeniem cofnął rękę. Zachowując najwyższą ostrożność zszedł tyłem po krętych stopniach, nie spuszczać oka ze straszliwego władcy wylegującego się na swym miedzianym tronie. Z gardłem ściśniętym lękiem i odrazą dotarł do wielkich drzwi i spróbował je otworzyć. Stwór nie poruszył się. Conan czuł przerażenie na myśl, że nie uda mu się otworzyć wrót i pozostanie tu dłużej razem z potwornym gadem. Jednak podwoje ustąpiły - wysliznął się z sali i zamknął je za sobą.

Znalazł się w obszernej komnacie o pokrytych gobelinami ścianach, w której panował taki sam mętny półmrok. W słabym świetle bardziej odległe przedmioty były trudne do rozpoznania i Conana zaniepokoiła myśl o ewentualnym spotkaniu z pełzającymi w ciemnościach gadami. Oświetlenie sprawiało, że drzwi na końcu sali wydawały się oddalone o całe mile.

Wiszący na pobliskiej ścianie gobelin wydawał się zasłaniać jakieś przejście. Ostrożnie unosząc kotarę, Conan odkrył wąskie schody wiodące w górę.

Gdy stał zastanawiając się, w wielkiej sali, którą dopiero co opuścił, usłyszał ponownie znajome szuranie stóp. Czyżby ktoś za nim szedł. Conan nie zwlekając wbiegł na stopnie. Kiedy schody wreszcie się skończyły, wszedł w pierwsze napotkane drzwi. Jego pozornie chaotyczna wędrówka miała dwa cele: ucieczkę z tego niesamowitego budynku i odnalezienie nomediańskiej dziewczyny, którą, jak czuł, uwięziono gdzieś tutaj. Był przekonany, że wielki, kopulasty gmach w centrum miasta jest siedzibą władcy i tu z pewnością doprowadzono dziewczynę.

Znalazł się w pomieszczeniu pozbawionym drugich drzwi i już chciał zawrócić, gdy usłyszał dochodzący zza ściany głos. Przytknął ucho do muru i słuchał uważnie. Lodowaty dreszcz zaczął wolno pełznąć mu po krzyżu. Głos nie należał do ludzkiej istoty, choć przemawiał po nomediańsku.

- Nie było życia w Otchłani prócz tego, jakie ja uosabiałem - dudnił głos. - Nie było światła, ni ruchu, ni dźwięku. Tylko siła nakazująca i wiodąca mnie w górę - ślepego, pozbawionego zmysłów i litości. Wiek za wiekiem wspinałem się przez niezmierzone odmęty ciemności.

Conan zaczarowany przez ten dźwięczący głucho, niczym dzwon bijący o północy głos, trwał zasluchany, zapomniawszy o całym świecie, aż hipnotyczna moc odjęła mu wszystkie zmysły, pozostawiając tylko pojawiające się w mózgu wizje. Już nie zdawał sobie sprawy z istnienia głosu, czuł jedynie przytłumione, rytmiczne fale dźwięków. Przeniesiony poza czas i przestrzeń, pozbawiony osobowości, widział przemianę rzeczy zwącej się Khosatralem Khelem, która wypelzła z Mroku przed setkami lat i przybrała materialną postać.

Jednakże ludzkie ciało było zbyt słabe i marne dla tej straszliwej istoty. Tak więc Khosatral Khelem przybrał postać mężczyzny, lecz jego ciało nie było ciałem ani krew - krwią, ni kości - kośćmi. Stał się chodzącym bluźnierstwem przeciwko prawom natury, ponieważ w jego osobie bezpostaciowa, pierwotna siła przybrała żywą, myślącą formę.

Niczym bóg przemierzał świat, bowiem nie miała się go żadna broń, a wiek był dla niego tylko chwilą. Podczas swoich wędrówek natrafił na prymitywny lud zamieszkujący wyspę

Dagonię. Obdarzył ich kulturą i mądrością, bo sprawiło mu to przyjemność; dzięki jego pomocy zbudowali miasto, gdzie zamieszkali i oddawali mu cześć. Dziwni i straszni byli jego władcy, zwoływani z najciemniejszych zakamarków planety, na której wciąż jeszcze uchowały się ponure stwory z minionych wieków. Jego siedziba łączyła się z wszystkimi domami w mieście - tunelami, którymi kapłani o wygolonych głowach znosili mu ludzkie ofiary.

Po wielu wiekach na brzegu morza pojawił się dziki, koczowniczy szczep. Nazywali się Yuetshami: po zacieklej bitwie zostali zwyciężeni i przez następne pół wieku służyli Khosatralowi jako niewolnicy i umierali na jego ołtarzach. Czarami trzymał ich w ryzach, lecz w końcu Yuetshański kapłan - dziwny, ponury człowiek - umknął w pustkowia, a kiedy wrócił, przyniósł ze sobą nóż z nieziemskiej materii. Wykuto go z meteoru, który przemknął po niebie jak ognista strzała i spadł w odległej dolinie. Niewolnicy zbuntowali się. Zębatymi ostrzami swych noży rznęli Dagonian jak owce, a czary Khosatrala nie miały mocy przeciw magicznemu nożowi kapłana.

Rzeź i pożoga rozszalały się na ulicach miasta, a ostatni akt ponurego dramatu rozegrał się w ukrytej krypcie, za wielką salą tronową o ścianach cętkowanych niczym skóra węża.

Stamtąd kapłan Yuetshów wyszedł sam. Nie zabił swego wroga, ponieważ w razie potrzeby chciał użyć go przeciw swym buntowniczym poddanym. Pozostawił Khosatrala leżącego bez zmysłów na złotym postumencie, z magicznym nożem na piersiach. Ale mijały wieki. Kapłan umarł i rozsypały się wieże w agonii; opowieści o tym stały się legendą, a Yuetshowie w wyniku głodu, zarazy i wojen stali się nielicznym ludem zamieszkującym brudne i nędzne wioski na brzegu morza. Tylko tajemna krypta oparła się działaniu czasu, aż przypadkowy piorun i ciekawość rybaka podniosły magiczne ostrze z piersi bóstwa i zdjęły zaklęcie. Khosatral Khol ożył i znów był potężny jak dawniej. Z jego woli odrodziło się miasto - takie, jakim było przed upadkiem. Czarnoksiężką sztuką wskrzesił z prochu minionych stuleci budowle i zamieszkujący w nich lud. Jednak ludzie, którzy zaznali spokoju śmierci, są już tylko częściowo żywi. W zakamarkach duszy i umysłu wciąż kryje się nieprzewyciężona martwota. W nocy lud Dagonii bawi się i tańczy, nienawidzi i kocha, pamiętając o swej śmierci i zagładzie miasta jak o niewyraźnym koszmarze sennym: krążąc w kręgu złudzeń, czując niezwykłość swego istnienia, lecz nie dociekając jej przyczyny. O świcie zapada w głęboki sen, by zbudzić się znowu z nadejściem nocy - krewniaczki śmierci.

Wszystko to przemknęło przez świadomość Conana, kiedy trwał zasłuchany przy ścianie. Zamroczony, czuł, że opuszcza go wiara we własne zdrowe zmysły, pozostawiając wizję świata gęsto zaludnionego przez ponure stwory o straszliwych zdolnościach. Przez dudniący głos głoszący swój triumf nad wszelkimi prawami natury i kosmosu, przedarł się ludzki krzyk, sprowadzający Conana do rzeczywistości. Gdzieś histerycznie szlochala kobieta.

Conan odruchowo zerwał się na równe nogi.

Johungir Aga z rosnącą niecierpliwością czekał na swej łodzi, wśród trzciny. Upłynęła już przeszło godzina, a Conan nie pojawił się ponownie. Niewątpliwie wciąż przeszukiwał wyspę, myśląc, że dziewczyna się na niej ukrywa. Jednak Aga zaczął obawiać się czegoś innego. A jeśli hetman pozostawił swoich ludzi w pobliżu? Czy nie nabiorą podejrzeń i nie nadciągną, by

sprawdzić przyczynę tak długiej nieobecności wodza? Johungir wydał rozkaz wioślarzom: długa łódź wynurzyła się z trzciny i pomknęła ku wykutym w skale stopniom.

Pozostawiając pół tuzina ludzi na pokładzie, Aga zabrał resztę ze sobą: dziesięciu tęgich łuczników z waharizmu odzianych w spiczaste hełmy i płaszcze z tygrysiej skóry. Jak myśliwi podążający za tropem lwa, skradali się pod drzewami, trzymając strzały na cięciwach. W lesie panowała cisza: tylko wielkie, zielone stworzenie - chyba papuga - przeleciało im nad głowami z głośnym łopotem skrzydeł i zniknęło w mroku. Nagle, Johungir gwałtownym gestem zatrzymał oddział. Z niedowierzaniem spoglądał na widoczne w oddali wieże.

- Na Tarima! - mruknął pod nosem. - Piraci odbudowali fort! Conan na pewno jest w środku. Musimy to zbadać. Forteca tak blisko lądu! Chodźmy!

Ze zdwojoną ostrożnością przemykali między drzewami. Gra stała się bardziej ryzykowna: z tropicieli i myśliwych stali się szpiegami. A kiedy czolgali się przez splątany gąszcz, człowiek, którego szukali, stawiał czoła niebezpieczeństwu znacznie groźniejszemu niż ich smukłe strzały.

Z dreszczem niepokoju Conan stwierdził, że głos dolatujący zza ściany umilkł. Przez moment stał nieruchomo, jak posąg, ze spojrzeniem wbitym w zasłonięte drzwi, spodziewając się, że zaraz pojawi się w nich straszliwy Khosatral Khol. W komnacie zalegał mglisty półmrok, lecz barbarzyńca dojrzał gigantyczną postać przeciwnika. Nie dosłyszał kroków, ale olbrzym zbliżył się na tyle, że Conan mógł dostrzec dalsze szczegóły. Mężczyzna odziany był w sandały, spódniczkę i szeroki, skórzany pas. Złota obręcz na skroniach przytrzymywała prosto przyciętą u ramion grzywę czarnych włosów. Zobaczył mocarne ramiona, szeroką pierś i bary z piętrzącymi się węzłami mięśni. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały na Cymmerianina okrutne, bezlitosne oczy. Conan wiedział, że ma przed sobą Khosatrala Khela, istotę z Otchłani, boga Dagonii.

Nie padło nawet jedno słowo. Nie było to potrzebne. Khosatral rozłożył szerokie ramiona i Conan przykucając, ciał w brzuch giganta. Natychmiast cofnął się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Ostrze zadźwięczało jak na kowadło i odskoczyło nie pozostawiając śladu. Olbrzym runął na niego jak burza. Starli się gwałtownie. Conan z najwyższym trudem wyrwał się z objęć przeciwnika: krew sączyła mu się z miejsc, gdzie stalowe palce rozdarły mu skórę. Podczas tego przelotnego starcia doznał szoku, uzmysłowiwszy sobie, że zetknął się nie ze zwyczajnym ludzkim ciałem, lecz z ożywionym myślącym metalem.

Khosatral nacierał na niego w półmroku. Conan wiedział, że jeśli te olbrzymie dłonie zamkną się raz jeszcze wokół jego szyi, to nie rozluźnią uścisku, dopóki nie wycisną ostatniego tchu. W ciemnościach wydawało mu się, że walczy z sennym koszmarem.

Odrzuciwszy bezużyteczną szablę, podniósł ciężką ławę i cisnął nią z całej siły. Niewielu mężczyzn zdołałoby choćby unieść taki ciężar, jednak na piersi Khosatrala Khela pocisk roztrzaskał się w kawałki nie zachwiawszy nawet olbrzymem. Tylko twarz giganta zatraciła ludzki wyraz i nad jego głową zapaliła się złocista poświata. Z impetem ruszył na Cymmerianina.

Jednym gwałtownym ruchem Conan zerwał ze ściany olbrzymi gobelin i zakręciwszy nim nad głową, co wymagało większego wysiłku niż ciśnięcie ławą, zarzucił go na głowę przeciwnika. Przez chwilę Khosatrał plątał się, przyduszony i oślepiony przez materiał opierający się jego niehumanitarnej sile lepiej niż drewno czy stal. W tym czasie Conan podniósł szablę i wypadł na korytarz. Nie zwalniając kroku przemknął przez drzwi przyległej komnaty, zatrzasnął je i zasunął rygiel.

Odwróciwszy się, stanął jak wryty i krew uderzyła mu do głowy. Na stercie jedwabnych poduszek, z falami złotych włosów opadających na ramiona i przerażeniem w oczach kulila się kobieta, której pożądał. Prawie zapomniał o deptającym mu po piętach potworze, kiedy głośny trzask za plecami przywrócił mu rozsądek. Chwycił dziewczynę i skoczył do drzwi po drugiej stronie komnaty. Jasnowłosa była zbyt wystraszona, by mu w tym przeszkadzać lub pomóc. Wydawało się, że jedynym dźwiękiem, jaki w stanie jest z siebie wydobyć, jest słaby jęk.

Conan nie tracił czasu próbując otworzyć drzwi. Straszliwym ciosem szabli przerwał zamek i wyskakując na schody, zobaczył kątem oka głowę i ramiona Khosatrała z trzaskiem wylamującego zamknięte drzwi po drugiej stronie pokoju. Kolos zdruzgotał je jakby były z tektury.

Conan pognał schodami w górę, z dziecinną łatwością niosąc przerzuconą przez ramię dziewczynę. Nie miał pojęcia dokąd biegnie, ale schody doprowadziły go do owalnej komnaty o kopulastym suficie. Olbrzym pędził za nimi po schodach, szybki i cichy jak śmierć. Komnata miała stalowe ściany i drzwi. Conan zatrzasnął je i zasunął rygle - wielkie, stalowe sztaby. Uderzyła go myśl, że znaleźli się w komnacie Khosatrała, w której ten zamykał się na noc, by zabezpieczyć się przed potworami, przyzwanymi z Otchłani dla zaspokojenia jego kaprysów.

Zaledwie zamknął drzwi, gdy zatrzęsły się pod gwałtownymi ciosami. Conan wzruszył ramionami. Oto kres drogi. Z pomieszczenia nie było wyjścia. Powietrze i dziwne przyćmione światło najwidoczniej dochodziło przez szczeliny kopuły. Zupełnie spokojny, sprawdził wyszczerbione ostrze swej szabli. Zrobił, co mógł; jeśli kolos wylamie drzwi, Conan znów rzuci się na niego z bezużyteczną bronią w ręku - nie dlatego, by spodziewał się sukcesu, lecz ponieważ w jego naturze leżała walka do końca. Na razie nie miał nic do roboty. Jego spokój nie był wymuszony czy udawany. W spojrzeniu, jakim obrzucił swą urodziwą towarzyszkę, był tak nieklamany zachwyt, jakby miał przed sobą sto lat życia.

Kiedy zamykał drzwi, rzucił ją bezceremonialnie na podłogę - podniosła się na nogi, machinalnie przyglądając falujące loki i skąpy przyodziewek. Conan obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty, zatrzymując je dłużej na gęstych, złocistych włosach, pełnych piersiach i zarysach wspaniałych bioder.

Z jego gardła wyrwał się cichy krzyk, gdy drzwi zatrzęsły się i rygiel pękł ze zgrzytem. Conan nie obejrzał się. Wiedział, że drzwi wytrzymają jeszcze przez chwilę.

- Powiedziano mi, że uciekłaś - rzekł - yuetshański rybak doniósł mi, że tu się ukrywasz. Jak masz na imię?

- Oktawia - szepnęła odruchowo i zaraz wybuchnęła potokiem słów chwyciwszy kurczowo

Conana za rękę. - O Mitri! Czy to koszmarny sen? Ci ludzie - ciemnoskórzy - jeden z nich chwycił mnie w puszczy i przywiódł tutaj. Zanieśli mnie do tego - tego stwora. Powiedział mi... powiedział... Czy ja oszalałam? Czy to sen?

Conan zerknął na drzwi, które wygięły się jak pod ciosem tarana.

- Nie - rzekł. - To nie sen. Zawiasy ustępują. Dziwne, że ten demon musi wylamywać drzwi jak zwykły człowiek - jednak mimo wszystko, sama jego siła jest piekielna.

- Czy nie możesz go zabić? - jęknęła. - Jesteś silny. Conan był zbyt uczciwy, by karmić ją kłamstwami.

- Gdyby zwykły śmiertelnik mógł go zabić, byłby już martwy - odparł. - Wyszczerbilem szablę na jego brzuchu.

Jej oczy pociemniały.

- Więc musisz umrzeć i ja też - O Mitro! - krzyknęła nagle w najwyższym przerażeniu i Conan chwycił ją za rękę, obawiając się, że zechce sobie coś zrobić. - Powiedział, co chce ze mną zrobić!

Dyszła ciężko.

- Zabij mnie! Zabij! Zanim tutaj wejdzie! Conan spojrział na nią i potrząsnął głową.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział. - To nie będzie wiele, ale da ci szansę wydostania się z komnaty. Biegnij do brzegu. Mam tam łódź przycumowaną przy schodach. Jeżeli wydostaniesz się z pałacu, może uda ci się uciec. Wszyscy mieszkańcy miasta śpią.

Ukryła twarz w dłoniach, Conan podniósł swą szablę, podszedł do dudniących pod uderzeniami drzwi i stanął przy nich. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że czekał na nieuniknioną, w swoim przekonaniu, śmierć. Może oczy jarzyły mu się bardziej niż zwykle i silniej ścisnął broń w muskularnej dłoni - to wszystko.

Zawiasy ustąpiły pod straszliwymi ciosami giganta i drzwi zakolysały się gwałtownie, przytrzymywane tylko przez rygle. Te solidne, stalowe sztaby również gięły się i łamały, jakby były z miękkiej miedzi. Conan spoglądał na to z niemal beznamietnym zainteresowaniem, podziwiając nieludzką siłę potwora. Nagle, bez ostrzeżenia, dudnienie ustało. Po drugiej stronie drzwi wyczulony słuch barbarzyńcy pochwycił dziwne dźwięki; trzepot skrzydeł i skrzeczący głos, przypominający skowyt wiatru o północy. Później nastąpiła cisza, lecz nieco inna niż poprzednio. Conan wiedział, że władca Dagonii odszedł.

Cymmerianin zerknął przez szparę powstałą między drzwiami a framugą. Podest był pusty. Conan odciągnął zwichrowane rygle i ostrożnie odstawił na bok wylamane drzwi. Khosatrała nie było na schodach, tylko gdzieś w dole usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie wiedział, czy gigant knuł jakiś nowy podstęp, czy też wezwał go gdzieś tajemniczy głos, ale nie tracił czasu na rozważania. Krzyknął na Oktawie i ton jego głosu sprawił, że dziewczyna skoczyła na nogi i stanęła u jego boku.

- Co się stało? - szepnęła.

- Nie traćmy czasu na rozmowy! - syknął. - Chodźmy! Conan odmienił się całkowicie; z błyskiem w oczach rzekł głosem nie znającym sprzeciwu:

- Pójdziemy po nóż! Magiczne ostrze Yuetsarów. Zostawił je w krypcie!

W dzikim pośpiechu pociągnął dziewczynę za sobą.

Po drodze przypomniał sobie tajemną kryptę przylegającą do sali tronowej i oblał się potem. Jedyna droga do grobowca wiodła obok miedzianego tronu stworzenia, które na nim spoczywało. Jednak nie wahał się ani chwili. Szybko zeszli po schodach, przeszli przez komnatę, zbiegli po następnych schodach i stanęli pod drzwiami wielkiej, mrocznej sali. Nigdzie nie dostrzegli śladu kolosa. Zatrzymując się przed spiżowymi podwojami Conan ujął Oktawie za ramiona i potrząsnął nią mocno.

- Słuchaj! - warknął. - Wejść do komnaty i zamknąć drzwi za sobą.

- Stój tu i czekaj; jeśli usłyszysz kroki Khosatralla, zawołaj mnie. Jeżeli usłyszysz mój krzyk - biegnij jakby cię goniły wszystkie demony - zresztą tak będzie. Uciekaj przez tamte drzwi na końcu korytarza, bo ja już nie będę ci mógł pomóc. Idę po nóż Yuetsarów!

I zanim zdążyła zaprotestować, prześliznął się przez uchylone wierzeje i zamknął je cicho za sobą. Ostrożnie opuszczając rygiel, nie zauważył, że można go odsunąć z drugiej strony. Odszukał wzrokiem ukryty w gęstym mroku miedziany tron - tak, oślizły gad wciąż tam leżał, oplatając go swoim cielskiem. Conan dostrzegł drzwi za tronem i domyślił się, że prowadzą do krypty. Jednak, aby tam się dostać, musiał przejść przez podium parę stóp od potwora.

Wietrzyk wiejący po zielonej posadzce narobiłby więcej hałasu niż cicho stąpający barbarzyńca. Ze spojrzeniem utkwionym w śpiącej bestii dotarł do podium i wszedł na szklane stopnie. Potwór nie poruszył się. Conan był już blisko drzwi...

Szczęknął brązowy rygiel przy wielkich drzwiach i Cymmerianin stłumił wściekle przekleństwo widząc wchodzącą do sali Oktawie. Rozejrzała się, nie widząc w gęstym mroku; Conan stał jak wryty nie mogąc jej ostrzec. Dziewczyna dojrzała go i podbiegła ku podium, krzycząc:

- Chcę iść z tobą! Boję się zostać sama! Och!

Z przenikliwym okrzykiem uniosła ręce w górę, gdy wreszcie dostrzegła zwiniętego na tronie węża. Trójkątna głowa podniosła się i wyciągnęła w kierunku Oktawii. Płynnym ruchem gad począł spelzać z tronu; powoli, zwój po zwoju, paraliżując dziewczynę spojrzeniem nieruchomych oczu. Jednym rozpaczliwym susem Conan przebył przestrzeń dzielącą go od tronu i z całej siły ciał szablą. Lecz gad był od niego szybszy. Pochwycił Conana w pół skoku, otaczając swoimi splotami. Szabla spadła bez rozmachu przecinając łuski, ale nie raniąc poważnie węża.

Conan miotał się rozpaczliwie w straszliwym uścisku, wyciskającym mu dech z piersi i miażdżącym żebra.

Prawe ramię miał wciąż jeszcze wolne, ale nie mógł nabrać rozmachu, by wymierzyć

morderczy cios, a wiedział, że musi zabić bestię jednym ciosem. Wyteżył wszystkie siły, czując, że mięśnie zamieniają mu się w węzliste bryły, a żyły prawie pękają z wysiłku. Stał na nogi, dźwigając niemal cały ciężar czterdziestostopowego cielska. Przez moment chwiał się na szeroko rozstawionych stopach, wreszcie wznosił błyszczące ostrze nad głowę.

Szabla spadła ze świstem, przecinając łuski, ciało i kręgi gada. Zamiast jednego węża były teraz dwa, wijące się po posadzce w kurczach agonii. Conan chwiejnie opadł na bok, kręciło mu się w głowie, krew lała się z nosa i miał mdłości. Macając wokół siebie złapał Oktawie i potrząsnął nią, aż zadzwoniła zębami.

- Następnym razem kiedy każę ci zostać - wydyszał - to zostaniesz!

Był zbyt oszołomiony, by dosłyszeć jej odpowiedź. Chwyciwszy ją za rękę jak krnąbrne dziecko, podszedł do drzwi, szerokim łukiem omijając wciąż drgające cielsko. Wydawało mu się, że w oddali słyhać jakieś wrzaski, ale w uszach mu jeszcze szumiało, więc nie był tego pewny.

Pchnięciem otworzył drzwi. Jeżeli to Khosatral umieścił węża na straży magicznego ostrza, najwidoczniej uważał to za wystarczające zabezpieczenie. Conan prawie spodziewał się, że z otwartych drzwi wyskoczy następny potwór, lecz w przymglonym świetle ujrzał jedynie dziwny zarys łuskowatego sklepienia, matowy blask złotego postumentu i półksiężycowate ostrze lśniące na kamieniach.

Porwał je z westchnieniem ulgi, po czym nie tracąc czasu na oglądanie grobowca, odwrócił się i pomknął do odległego wyjścia, które, jak przypuszczał, prowadziło na zewnątrz. Miał rację. Kilka minut później wyszedł na cichą ulicę, pół niosąc, pół ciągnąc swoją towarzyszkę. Nie widzieli nikogo, chociaż za zachodnim murem rozlegały się wrzaski i jęki, na nowo napelniając Oktawie przerażeniem. Conan poprowadził ją do południowej bramy i bez trudu odnalazł kamienne schody na szczyt muru. Z wielkiej sali zabrał gruby sznur i teraz, dotarłszy na górę, skręcił mocną pętlą talię dziewczyny i opuścił ją na ziemię. Następnie, przywiązawszy jeden koniec liny do muru, zręcznie się po niej ześliznął. Z wyspy mogli uciec tylko jedną drogą - schodami na zachodnim brzegu. Ruszyli w tym kierunku, omijając z daleka miejsce, skąd dobiegały krzyki i odgłosy straszliwych ciosów.

Oktawia czuła kryjąc się w gęstwinie zagrożenie. Oddychała ciężko i trzymała się blisko swego opiekuna. Jednak w puszczy panował spokój. Nie dostrzegli śladu niebezpieczeństwa. Dopóki nie wyszli na otwartą przestrzeń i nie zobaczyli stojącego na nadbrzeżnych skałach człowieka.

Johungir Aga uniknął losu swych wojowników, których stalowy olbrzym rozszarpał na strzępy, wypadłszy nagle z fortecy.

Kiedy zobaczył, jak miecze jego łuczników łamią się na ciele demona o ludzkiej postaci, zrozumiał, że ich przeciwnik nie jest człowiekiem i umknął kryjąc się w gąszczu, dopóki odgłosy rzezi nie ucichły. Później podkrał się do schodów, lecz... jego załoga nie czekała na niego.

Słyszając dzikie wrzaski mordowanych towarzyszy, a później widząc na brzegu



zbroczonego krwią potwora, wymachującego groźnie gigantycznymi ramionami, nie czekali długo. Kiedy Johungir dotarł do schodów, właśnie znikali w trzcinach po drugiej stronie przesmyku. Khosatral odszedł - wrócił do miasta albo przetrząsał puszcę w poszukiwaniu zbiegów.

Johungir właśnie przygotowywał się, by zejść po schodach i odpłynąć łodzią Conana, gdy zobaczył Conana wychodzącego z dżungli. Wstrząsające wydarzenia, które zmroziły mu krew w żyłach i niemal odebrały zmysły, nie zmieniły zamiarów Johungira co do wodza kozaków. Widok człowieka, którego chciał zabić, nappełnił go zadowoleniem. Trochę zdziwiło go pojawienie się dziewczyny, ale nie tracił czasu na rozmyślanie. Podniósł łuk, napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Conan uskokczył i pocisk utkwiał w pniu drzewa.

- Psie! - zaśmiał się barbarzyńca. - Nie zdołasz mnie trafić! Nie urodziłem się po to, by umrzeć od hyrkańskiej stali! Spróbuj jeszcze raz, turańska świnió!

Johungir nie próbował - to była jego ostatnia strzala. Dobył szabli i runął na wroga, ufając swemu spiczastemu hełmowi i kolczudze o drobnych oczkach. Conan spotkał go wpół drogi, tnąc zajadle. Zakrzywione ostrza starły się z brzękiem, odskakując, zataczając lśniące łuki, sypiąc skry. Obserwująca to Oktawia nie zauważyła ciosu; usłyszała tylko głuchy odgłos uderzenia i zobaczyła, jak Johungir pada oblany krwią z rozrąbanego boku, gdzie cymmeriańska stal przecięła kolczugę i kręgosłup.

Jednak to nie na widok śmierci swego dawnego pana z gardła dziewczyny wydarł się przesywający okrzyk. Z trzaskiem łamanych gałęzi z dżungli wynurzył się Khosatral Khol. Oktawia nie była w stanie uciekać - krzyknęła tylko przeraźliwie, kolana się pod nią ugięły i opadła na murawę.

Stojący nad ciałem Agi Conan nie zamierzał uciekać. Przerzucił okrwawioną szablę do lewej ręki i wyjął wielki, zakrzywiony nóż Yuetshów. Olbrzym zmierzał ku niemu wyciągając potężne ramiona, lecz gdy promień słońca załśnił jasno na ostrzu, cofnął się gwałtownie. Conan jednak nie zadowolił się tym. Runął na niego wywijając magiczną bronią. Pod jego ciosem ciemny metal ciała Khosatrala poddawał się jak kark wołu pod ciosem topora. Z głębokiej rany trysnęła ciemna posoka i olbrzym krzyknął głosem przypominającym żałobne bicie dzwonu. Straszliwe ramiona opadły z impetem, lecz Conan był szybszy od turańskich łuczników, którzy zginęli pod ich ciosami. Uchylił się, uderzył ponownie i jeszcze raz, Khosatral zachwiał się i zatoczył w tył; jego krzyki były nie do zniesienia. Wydawało się, że żelazo obdarzone ludzką mową rzezi i wyje pod ciosami. W następnej chwili gigant chwiejnie pobiegł w gąszcz; potykając się, łamiąc drzewa i tratując krzaki. A jednak, mimo że Conan pędził za nim z szybkością podwojoną przez wściekłość, zanim dopadł wroga, już majaczyły przed nimi mury i wieże Dagonii.

Khosatral odwrócił się ponownie, młócąc rozpaczliwie ramionami, lecz nie zdołał powstrzymać rozjuszonego przeciwnika. Jak pantera atakująca łosia, Conan zanurkował pod opadające ramiona i wbił zakrzywione ostrze po rękojeść w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się serce.

Khosatral zatoczył się i upadł. Stojąc miał jeszcze ludzką postać, ale na ziemię padł już

jako nie-człowiek. Tam, gdzie przedtem była twarz o ludzkich rysach, nie było nic; metal topił się i zmieniał...

Conan, którego nie przerażał żywy Khosatrał Khol, z odrazą odskoczył od martwego wroga, bowiem w agonii olbrzym przybrał ponownie postać, jaką miał, gdy wypełzał z Otchłani przed tysiącami lat. Drżąc z obrzydzenia, Conan odwrócił się i zobaczył, że wieże Dagonii nie wznoszą się już wśród drzew. Rozwiała się jak dym: baszty, parapety, strzelnice, wielkie wrota z brązu, aksamity i jedwabie, złoto i kość słoniowa, kobiety i mężczyźni - wszystko znów rozsypało się w proch. Tylko kikuty potrząskanych kolumn sterczały wśród gruzów zwałonych ścian, zdruzgotanych bruków i rozłupanych murów. Conan znów widział ruiny Xapur takie, jakimi je pamiętał.

Cymmerianin stał długą chwilę w milczeniu, niejasno uświadamiając sobie istotę odwiecznego konfliktu między efemerycznym tworem zwanym ludzkością a mrocznymi wytworami odwiecznego Mroku.

Później posłyszał, że ktoś wzywa go ze strachem w głosie; drgnął jak zbudzony ze snu, spojrzawszy raz jeszcze na leżące na ziemi szczątki, wzdrygnął się i ruszył z powrotem.

Czekając, dziewczyna lękliwie wpatrywała się w gąszcz. Pojawienie się Conana wyrwało z jej ust krzyk ulgi. Cymmerianin otrząsnął się z ponurych wizji i znów był sobą.

- Gdzie on jest? - pytała lękliwie.

- Wrócił tam, skąd przybył - do Pieła! - odparł z zadowoleniem. - Dlaczego nie zeszłaś po schodach i nie uciekłaś moją łodzią?

- Nie opuściłabym - zaczęła, po czym zmieniwszy zdanie, dokończyła potykając się: - Nie mam gdzie iść. Hyrkanie znów zrobią ze mnie niewolnicę, a piraci...

- A co z kozakami? - podpowiedział.

- Czyżby byli lepsi od piratów? - zapytała pogardliwie. Podziw Conana wzrósł, gdy ujrzał, jak szybko odzyskała swą dawną pozę, mimo tak gwałtownych wzruszeń. Jej arogancja rozbawiła go.

- Wydawałaś się tak sądzić w obozie przy Gchori - odparł. Ze wzgardą wykrzywiła czerwone wargi.

- Myślisz, że rozkochalam się w tobie? Wyobrażałeś sobie, że okryłabym się hańbą flirtując z takim żarłokiem i piwo złochem? Mój właściciel - którego zwłoki tam leżą - zmusił mnie do tego.

- Och! - Conan wydawał się być speszony, ale zaraz roześmiał się wesoło.

- Nieważne. Teraz należysz do mnie. Pocałuj mnie.

- Ośmielasz się prosić - zaczęła z oburzeniem, lecz nagle poczuła, że unosi ją w powietrzu i przyciska do swej muskularnej piersi. Opierała się wściekle, wyężdżając wszystkie siły, ale Conan tylko śmiał się coraz głośniejszymi, upojony bliskością tego wspaniałego ciała. Bez trudu przełamał jej opór i z nieposkromioną gwałtownością jął spijać nektar z jej warg, aż przestała

**się szamotać i objęła go za szyję.**

**Później zajrzał jej w oczy i rzekł:**

**- Czemu wódz Wolnych ludzi nie miałby być lepszy od turańskiego kundla?**

**Odrzuciła w tył faliste loki, wciąż czując każdym nerwem żar jego pocałunków. Nie wypuszczając go z objęć, zapytała prowokująco:**

**- Czy uważasz się za równego Adze?**

**Roześmiał się i ruszył ku schodom, niosąc ją w ramionach.**

**- Sama osądzisz - rzekł z przechwałą. - Podpalę Kwaharium jak pochodnię, by oświetlić ci drogę do mego namiotu.**

**(Shadows in the Moonlight)**

*Duma nie pozwoliła Conanowi być “mężem swojej żony”, choćby nawet była nią piękna i namiętna królowa. Po pewnym czasie barbarzyńca zmyka chyłkiem z Khoraji i udaje się do Cymmerii, szukać zemsty na odwiecznych wrogach, Hyperborejczykach.*

*Ma już prawie trzydzieści lat. Jego dawni druhowie z Cymmerii i Aesiru pojęli żony i splodzili synów; niektórzy z ich potomków mają teraz tyle lat, ile miał Conan, gdy po raz pierwszy ruszył w świat. Lecz żywot pirata i najemnego żołnierza rozbudził w duszy Cymmerianina zbyt wielką żądzę przygód, by miał pójść za ich przykładem. Kiedy kupcy przynoszą wieści o nowych wojnach toczących się na południu, Conan wraca bez chwili namysłu.*

*Zbuntowany książę Koth usiłuje zrzucić z tronu Strabonusa, skąpego władcę tego rozległego kraju. Conan wstępuje w szeregi buntowników. Niestety, książę zawiera pokój z królem i żołnierze zostają bez zajęcia. Cześć najemników, a wśród nich Conan, przeistacza się w bandę wyjętych spod prawa rabusiów - Wolnych Towarzyszy, którzy niepokoją zarówno granice Koth, jak i Zamory czy Turanu. Stopniowo posuwają się na wschód, by w końcu połączyć się ze zgrają obwiesiów zwanych kozakami znad Morza Vilayet.*

*Conan szybko zdobywa przywództwo nad tą zgrają i zaczyna pustoszyć zachodnie granice turańskiego imperium, lecz jego dawny pracodawca, król Yildiz, odpowiada taktyką zmasowanego odwetu. Armia pod wodzą Szacha Amurata wciąga kozaków w głąb turańskiego terytorium i rozbija ich w krwawej bitwie nad rzeką Ilbars.*

Nagły trzask tratowanych kopytami trzciny; głuchy odgłos upadku i krzyk rozpacz. Smukła dziewczyna w sandałach i tunice przepasanej szarfą chwiejnie podniosła się z ziemi i stanęła obok zdychającego wierzchowca. Czarne włosy opadały gęstą falą na białe ramiona dziewczyny; jej oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Nie zwracała uwagi na gąszcz trzciny otaczających małą polankę, ani na błękitne wody omywające niski brzeg za jej plecami. Szeroko otwartymi oczyma aż do bólu wpatrywała się w człowieka, który wyłonił się spośród trzciny i niespiesznie zsiadł z konia.

Był to wysoki mężczyzna, szczupły, lecz żyłasty. Od stóp do głów okrywała go stalowa, posrebrzana kolczuga, która opinała jego zwinną postać jak rękawiczka. Spod kopulastego, inkrustowanego złotem hełmu drwiąco spoglądały brązowe oczy.

- Nie zbliżaj się! - krzyknęła głosem zduszonym z przerażenia. - Nie dotykaj mnie, Amuracie, albo rzucę się do rzeki i utonę!

Zaśmiał się śmiechem przypominającym syk ostrza wydobywanego z jedwabnej pochwy.

- Nie, nie utoniesz, Oliwio; przy brzegu jest płytko i złapię cię zanim dotrzesz na głębinę. Na bogów, to była wspaniała pogoń i moi ludzie zostali daleko za nami. Jednak żaden koń po tej stronie Vilayet nie zdoła prześcignąć Irema.

Ruchem głowy wskazał dużego, smukłonogiego ogiera.

- Zostaw mnie! - błagała dziewczyna z twarzą zalaną łzami rozpacz. - Czyż już nie dość wycierpiałam? Czy jest jakieś upokorzenie, ból czy poniżenie, jakiego nie zaznałam? Jak długo mają trwać te męki?

- Tak długo jak długo znajduję przyjemność w twoich jękach, błaganiach, łzach i krzykach - odparł z uśmiechem, który wydałby się miły komuś, kto go nie znał. - Masz w sobie niezwykłą żywotność, Oliwio. Nie wiem, czy kiedykolwiek znudzisz mi się tak, jak nudziły mi się inne kobiety. Jesteś zawsze świeża i czysta, mimo wszystko. Każdy dzień z tobą sprawia mi prawdziwą przyjemność. No, chodź - wracamy do Akif, gdzie lud wciąż fetuje zwycięzcę tych nędznych kozaków, podczas gdy sam zwycięzca ugania się za zbiegłą, głupią, śliczną idiotką!

- Nie! - dziewczyna odskoczyła i rzuciła się w kierunku błękitnych wód omywających przybrzeżne trzciny.

- Tak! - wybuchnął gniewem tak nagłym, jak skrzęsana krzemieniem iskra. Z niewiarygodną szybkością chwycił dziewczynę i z zimnym okrucieństwem wykręcił jej rękę, aż krzyknęła i upadła na kolana.

- Ty dziwko! Powiniennem cię powlec do Akif uwiązaną do końskiego ogona, ale będę litościwy i posadzę cię w siodle, za którą to łaskę podziękujesz mi pokornie, kiedy...

Puścił ją ze zduszonym przekleństwem i odskoczył, błyskawicznie wrywając z pochwy szablę, gdy z gąszczu trzciny wyłoniła się olbrzymia postać. Siedząca na ziemi Oliwia zobaczyła

człowieka, którego uznała za dzikusa lub szaleńca, ze straszliwym rozmysłem zbliżającego się do Szacha Amurata. Obcy był potężnym mężczyzną odzianym jedynie w przepaskę zbroczoną krwią i pokrytą zaschniętym błotem. Jego czarna grzywa też była zlepiona mulem i krwią; czarne strumyki znaczyły jego szeroką pierś, zastygły na ostrzu długiego miecza, który dzierzył w prawej dłoni. Nabiegłe krwią oczy jarzyły mu się pod gęstymi brwiami jak rozżarzone węgle.

- Hyrkański psie! - warknął nieznajomy z barbarzyńskim akcentem. – Chyba przywiodły cię tu demony zemsty!

- Kozak! - krzyknął Szach Amurat cofając się o krok. – Nie spodziewałem się, że choć jeden z was uszedł! Myślałem, że wszyscy leżycie w stepie nad rzeką Ilbars!

- Wszyscy prócz mnie, psie! - krzyknął kozak. - Och, marzyłem o takim spotkaniu, gdy czołgałem się wśród cierni lub leżałem pod skałami żywcem pożerany przez mrówki, albo kryłem się po szyję w błocie... Marzyłem, ale nie sądziłem, że do niego dojdzie. Och, bogowie Piekiel, jakże tego pragnąłem!

Wojownik z trudem powstrzymał wybuch straszliwego śmiechu: Spazmatycznie zacisnął szczęki i piana pojawiła się na jego poczerniałych wargach.

- Nie podchodź! - ostrzegł Szach Amurat, patrząc nań zwężonymi oczyma.

- Ha! - warknął barbarzyńca jak wygłodniały wilk. – Szach Amurat, wielki pan Akif! Jak dobrze, że cię widzę, przeklęty - ciebie, który zostawiłeś moich towarzyszy na żer sępom, który rozrywałeś ich końmi, wylupiałeś oczy i ucinałeś ręce! Psie, nędzny psie!

Ostatnie słowa niemal wyrzeszczał i jeszcze nim skończył, rzucił się z furią na znienawidzonego Hyrkańczyka.

Mimo przerażenia, jakie budził w niej okropny wygląd nieznajomego, Oliwia patrzyła z zapartym tchem, spodziewając się, że walka rozstrzygnie się przy pierwszym starciu. Szaleniec czy dzikus, cóż mógł zdziałać, nagi, przeciwko okrytemu kolczugą wodzowi z Akif?

Ostrza błysnęły i związały się na moment; wydawało się, że ledwie się dotknęły i odskoczyły od siebie; później szeroki miecz ominął zastawę przeciwnika i ze straszliwą siłą spadł na jego bark. Oliwia wydała mimowolny okrzyk. Przez chrzęst pękającej zbroi wyraźnie usłyszała trzask rozcinanych kości. Hyrkańczyk zatoczył się z nagle poszarzałą twarzą i krew trysnęła mu przez ogniwa kolczugi. Szabla wypadła mu z pozbawionych czucia palców.

- Łaski! - jęknął.

- Łaski? - wykrzyknął tamten głosem drżącym z wściekłości. - Tyle łaski ile ty miałeś dla nas, wieprzu!

Oliwia zamknęła oczy. To już nie była walka lecz krwawe jatki, histeryczny wybuch wściekłości i nienawiści spotęgowanej grozą bitwy, widokiem masakry i tortur, głodem, pragnieniem i rozpaczą. Oliwia wiedziała, że Szach Amurat nie zasłużył na litość, ale zamknęła oczy i zatkała uszy rękami, żeby nie widzieć unoszącego się i opadającego ostrza, nie słyszeć odgłosu ciosów i bulgoczących krzyków, które cichły z wolna, aż wreszcie ustały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nieznajomy odchodzi od okrwawionych szczątków słabo przypominających ludzką istotę. Piersz mężczyzny unosiła się w ciężkim oddechu wywołanym wysiłkiem i wzburzeniem; na jego czole perlil się pot, a prawa ręka ociekała krwią.

Nie odezwał się do Oliwii; nawet na nią nie spojrział. Zobaczyła, jak wchodzi między trzciny rosnące na brzegu, pochyła się i sięga po coś. Z szuwarów wysunęła się ukryta tam łódź. Dziewczyna pojęła zamiary nieznajomego i zerwała się na równe nogi.

- Och, zaczekaj! - jęknęła i chwiejnie podbiegła do mężczyzny. - Nie zostawiaj mnie tu! Weź mnie ze sobą!

Okręcił się na pięcie i spojrział na Oliwię. W jego twarzy zaszła zmiana. Z nabiegłych krwią oczu zniknął opar szaleństwa. Wydawało się, że krew, którą właśnie przelał, ugasiła pożar jego zmysłów.

- Kim jesteś? - spytał.

- Mam na imię Oliwia. Byłam jego niewolnicą. Uciekłam. Ścigał mnie. To dlatego tu jestem. Jego wojownicy są niedaleko. Znajdą trupa... i mnie przy nim... och! - jęknęła z przerażenia i załamała białe ramiona.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Wolisz popłynąć ze mną? - zapytał. - Jestem barbarzyńcą i widzę, że się mnie boisz.

- Tak, boję się - odparła, zbyt zaskoczona, żeby zaprzeczać. - Patrząc na ciebie dostaję gęsiej skórki. Jednak bardziej obawiam się Hyrkańczyków. Och, pozwól mi płynąć z tobą! Jeżeli znajdą mnie obok zwłok Amurata wezmą mnie na tortury!

- Zatem chodź.

Odsunął się na bok i Oliwia szybko wsiadła do łódki, usilnie starając się nawet o niego nie otrzeć. Usadowiła się na dziobie. Nieznajomy wszedł do łodzi, odepchnął się od brzegu wiosłem i posługując się nim jak pagajem mozolnie torował sobie drogę wśród wysokich trzciny, aż wypłynęli na otwartą wodę. Wtedy zaczął wiosłować obydwoma wiosłami. Długimi, równymi pociągnięciami popychał łódź naprzód; potężne mięśnie jego barów i ramion napinały się i rozluźniały rytmicznie.

Przez jakiś czas panowało milczenie; dziewczyna kulila się na dziobie, mężczyzna wiosłował. Obserwowała go z lękliwą fascynacją. Nie ulegało wątpliwości, że nie był Hyrkańczykiem; nie przypominał też przedstawiciela żadnej ze znanych jej hyboriańskich ras. Miał w sobie jakąś nieuchwytną dzikość, zdradzającą barbarzyńskie pochodzenie. Mimo śladów, jakie pozostawiły na jego twarzy trudy bitwy i ucieczki przez bagna, jego rysy wciąż wyrażały chłodny, posępny upór; nie była to twarz złoczyńcy czy degenerata.

- Kim jesteś? - spytała. - Szach Amurat nazwał cię kozakiem. Należałeś do nich?

- Jestem Conan z Cymmerii - mruknął. - Byłem jednym z kozaków, jak nazywają nas te hyrkańskie psy.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że jego ojczyzna leży gdzieś daleko na północy, za

najdalej wysuniętymi przyczółkami cywilizacji.

- Ja jestem córką króla Ophiru - powiedziała. – Ojciec sprzedał mnie shemickiemu wodzowi, ponieważ nie chciałam poślubić księcia Koth.

Cymmerianin mruknął coś ze zdziwieniem i wargi dziewczyny skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Tak, cywilizowani ludzie czasem sprzedają swoje dzieci dzikusom. Twój lud nazywają barbarzyńcami. Cymmerianinie...

- My nie sprzedajemy naszych dzieci - warknął, wysuwając podbródek.

- No, mnie sprzedano. Jednak wódz nomadów nie uczynił mi krzywdy. Chciał zaskarbić sobie łaski Szacha Amurata. Byłam jednym z darów, jakie przywiózł mu do Akif – miasta purpurowych ogrodów. Potem... - zadrżała i ukryła twarz w dłoniach.

- Powinam już zapomnieć co to wstyd - powiedziała w końcu. - A jednak każde wspomnienie pali mnie jak cios bata. Przebywałam w pałacu Szacha Amurata, kiedy, kilka tygodni temu, wyruszył z e swoją jazdą, aby walczyć z bandą najeźdźców, którzy naruszyli granice Turanu. Wczoraj wrócił i wydano na jego cześć wielką fetę. Wśród ogólnego pijaństwa i zamieszania znalazłam sposobność, by wydostać się z miasta na skradzionym koniu. Chciałam uciec - ale on ruszył w pościg i w końcu mnie dogonił. Zostawiłam w tyle jego ludzi, ale jemu nie zdołałam ujść. Potem ty się zjawileś.

- Leżałem ukryty w trzcinach - mruknął barbarzyńca. - Byłem jednym z tych rozpuszczonych obwiesiów, Wolnych Towarzyszy, którzy palili i plądrowali pogranicze. Było nas pięć tysięcy, mieszanina wielu ras i szczepów. Służyliśmy jako najemnicy zbuntowanego księcia Wschodniego Koth - przynajmniej większość z nas - i kiedy zawarł pokój ze swym parszywym władcą, zostaliśmy bez pracy. Zaczęliśmy grabić nadgraniczne prowincje Koth, Zamory i Turanu - po równi. Tydzień temu Szach Amurat ze swymi piętnastoma tysiącami jazdy wciągnął nas w pułapkę nad rzeką Ilbars. Mitro! Niebo było czarne od sępów. Kiedy po całym dniu walki nasze szyki pękły, jedni próbowali przedrzeć się na północ, inni na zachód. Wątpię, by ktokolwiek uszedł. Stepy roily się od jeźdźców, ścigających i uciekających. Ja ruszyłem na wschód i w końcu dotarłem do bagien otaczających tu Morze Vilayet. Od tego czasu kryłem się na mokradłach. Dopiero przedwczoraj jezdni przestali przetrząsać szuwały w poszukiwaniu takich maruderów jak ja. Czółgałem się, kryłem i przemykałem jak wąż, żywiąc się złapanymi piżmowcami, które z konieczności zjadałem na surowo. Dziś rano znalazłem tę łódź ukrytą wśród szuwarów. Przed zmrokiem nie miałem zamiaru wypływać na morze, ale kiedy spotkałem Szacha Amurata, wiedziałem, że jego zbrojni są niedaleko.

- I co teraz?

- Niewątpliwie będą nas ścigać. Jeżeli nie znajdą śladów pozostawionych przez łódź, które zatarłem jak mogłem, to i tak domyśla się, że wypłynęliśmy na morze, kiedy nie uda im się nas znaleźć w trzcinach. Jednak zostawiliśmy ich w tyle i zamierzam wiosłować bez przerwy, aż dotrzemy w bezpieczne miejsce.



- Tylko gdzie je znajdziemy? - spytała bezradnie. – Vilayet to hyrkański staw.

- Nie wszyscy tak uważają - ponuro uśmiechnął się Cymmerianin. - A szczególnie niewolnicy, którzy zbiegli z galer i zostali piratami.

- Co zrobimy?

Południowo-zachodni brzeg jest na przestrzeni setek mil opanowany przez Hyrkanian. Musimy przebyć długą drogę zanim miniemy ich najdalej wysunięte posterunki. Zamierzam popłynąć na północ, aż do chwili gdy je miniemy; wtedy skierujemy się na zachód i spróbujemy wylądować na brzegu nie zamieszkanego stepu.

- A jeżeli napotkamy piratów, albo sztorm? - spytała Oliwia. - A na stepach możemy umrzeć z głodu...

- No - przypomniał jej - wcale nie prosiłem, żebyś ze mną płynęła.

- Przepraszam - pochyliła kształtną, ciemną główkę. - Piraci, sztormy, głód - wszystko lepsze niż Turańczycy.

- Taak - jego smągła twarz zachmurzyła się. – Jeszcze z nimi nie skończyłem. Odpręż się, dziewczyno. O tej porze roku sztormy są niezwykle rzadko. Jeżeli dotrzemy do stepów, nie zginiemy z głodu. Wyrosłem w takiej nagiej ziemi. Te przekłete bagna ze swym smrodem i komarami prawie mnie wykończyły. Na wyżynach dam sobie radę. A jeżeli chodzi o piratów... - uśmiechnął się dziwnie i znów pochylił się nad wiosłami.

Słońce zachodziło jak matowo błyszczący miedziak wpadający w jezioro ognia. Błękit morza stopił się z błękitem nieba tworząc miękkie, czarny aksamit usiany gwiazdami i ich lustrzanymi odbiciami. Wyciągnięta na dziobie łodzi Oliwia pogrążyła się w sennych marzeniach. Łódź kołysała się lekko na wodzie i dziewczyna miała wrażenie, że płynie w powietrzu, a gwiazdy świecą zarówno nad nią, jak i pod nią. Jej milczący towarzysz był niemal niewidoczny w ciemnościach. Ani na chwilę nie zwalniał tempa wiosłowania; wiozł ją niczym mityczny przewoźnik przez czarne jezioro śmierci. Strach opuścił dziewczynę; ukołysana monotonnym ruchem dziewczyna zapadła w sen.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy obudziła się czując skręcający wnętrzości głód. Przebudził ją nagły brak ruchu. Conan przestał wiosłować i opierając się na wiosłach patrzył gdzieś w dal. Oliwia zdała sobie sprawę, że musiał wiosłować przez całą noc bez przerwy i podziwiała jego żelazną wytrzymałość. Obróciła głowę i patrząc za jego spojrzeniem ujrzała zieloną ścianę drzew i krzewów wznoszącą się na skraju wody i szerokim łukiem otaczającą małą zatokę o wodzie gładkiej jak błękitne szkło.

- To jedna z wielu wysp, jakimi jest usiane to morze – rzekł Cymmerianin. - Podobno są nie zamieszkane. Słyszałem, że Hyrkańczycy rzadko je odwiedzają. Ponadto ich galery zwykle trzymają się przy brzegu, a my przebyliśmy już długą drogę. Przed zmrokiem powinniśmy schować się w trzcinach.

Kilkoma uderzeniami wiosel skierował łódź do brzegu i przycumował ją do sterczącego kamienia, który leżał tuż przy linii wody. Wszedłszy na brzeg wyciągnął rękę, aby pomóc

Oliwii. Przyjęła podaną dłoń, drżąc na widok zaschniętej na niej krwi, czując potworną siłę drzemiącą w mięśniach barbarzyńcy.

W otaczającym zatoczkę lesie panowała senna cisza. Gdzieś daleko wśród drzew jakiś ptak zanucił swą poranną pieśń. Lekki wietrzyk poruszył liście, wprawiając je w drżenie. Oliwia stwierdziła, że bacznie nasłuchuje, choć nie wiedziała czego. Co mogła kryć ta nieprzebyta gęstwina?

Zerkając lękliwie w cień między drzewami zobaczyła coś, co śmignęło w powietrzu z cichym łopotem skrzydeł; wielka papuga usiadła na liściastej gałęzi i kołysała się na niej niczym barwna figurka z nefrytu i purpury. Przechyliła na bok zwieńczony pióropuszem łeb i spoglądała na przybyszów błyszczącymi paciorkami czarnych oczu.

- Na Croma! - mruknął Cymmerianin. - To chyba prababka wszystkich papug. Ma chyba z tysiąc lat! Spójrz, jak mądrze wygląda. Jakich strzeżesz tajemnic, Chytra Wiedźmo?

Ptak rozłożył nagle kolorowe skrzydła i uniósłszy się na gałęzi, wrzasnął ochryple:

- Yagkoolan yok tha xuthalla!

I zakończywszy to wybuchem przeraźliwie ludzkiego śmiechu pomknął między drzewa i zniknął w głębokich ciemnościach.

Oliwia spojrzała w ślad za papugą, czując przebiegający po plecach zimny dreszcz niepokojącego przeczucia.

- Co powiedziała?

- Przysiągłbym, że to jakieś słowa - odparł Conan – ale nie mam pojęcia w jakim języku.

- Ja też nie - rzekła dziewczyna. - A jednak ptak musiał je usłyszeć z ludzkich ust. Ludzkich lub... - zerknęła na leśną gęstwinę i wzdrygnęła się, nie wiedząc dlaczego.

- Na Croma, jestem głodny! - mruknął Conan. – Mógłbym zjeść bawołu. Poszukamy jakichś owoców; jednak najpierw mam zamiar obmyć się z błota i zaschniętej krwi. Ucieczka przez bagna to niezbyt czyste zajęcie.

To rzekłszy odłożył miecz i zanurzony w wodzie rozpoczął ablucje. Kiedy się wynurzył, jego zbrązowiałe od słońca ciało lśniło jak polerowany brąz; grzywa czarnych, długich włosów opadała mu na ramiona. Błękitne oczy, chociaż wciąż jarzyły się ogniem, nie były już tak posępne i nabiegłe krwią. Tylko kocia zwinność jego ruchów i posępny wyraz twarzy pozostały bez zmian.

Przypasawszy z powrotem miecz, gestem nakazał dziewczynie, aby za nim szła. Razem weszli między drzewa. Szli pod łukami konarów, po wyścielającej ziemię, miękkiej murawie. Zwisające z drzew pnącza nadawały otoczeniu baśniowy wygląd.

Conan mruknął coś z zadowoleniem na widok złotych i rdzawych kul gęsto wiszących wśród listowia. Pokazawszy dziewczynie, by siadła na zwałonym pniu, szybko napelnił jej podolek egzotycznymi owocami i sam też z apetytem zabrał się do jedzenia.

- Na Isztar! - rzekł między jednym a drugim kęsem. – Od Ilbars żywiłem się szczurami i korzeniami wykopanymi z cuchnącego błota. Te owoce są chociaż smaczne, mimo że niezbyt sycące. Jednak wystarczą nam, jeżeli zjemy wystar czająco dużo.

Oliwia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć. Kiedy Cymmerianin nasycił pierwszy głód, zaczął z większym niż do tej pory zainteresowaniem spoglądać na swoją towarzyszkę, podziwiając gęste pukle kruczoczarnych włosów, brzoskwiniową cerę i pełne kształty podkreślone przez kusą tunikę.

Skończywszy posiłek, obiekt jego badań podniósł wzrok i napotkawszy pałacę, baczne spojrzenie barbarzyńcy, zaczerwienił się raptownie i wypuścił z ręki na pół ogryziony owoc.

Conan bez komentarza pokazał dziewczynie gestem, że muszą iść dalej. Oliwia podniosła się i wyszła za nim na polankę, której odległy koniec porastały gęste zarośla. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, w krzakach rozległ się głośny trzask i Conan ledwie zdążył odskoczyć pociągając za sobą dziewczynę, gdy coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło w pień pobliskiego drzewa.

Błyskawicznie wyrwawszy miecz z pochwy Cymmerianin skoczył na polankę i wpadł w zarośla. Zapadła cisza. Przerażona i oszołomiona Oliwia kulila się w trawie. Po chwili Conan wyłonił się z krzaków z groźnie zmarszczonymi brwiami i zdziwieniem na twarzy.

- Nikogo tam nie ma - burknął. - A jednak ktoś musiał rzucić ten kamień.

Obejrzał pocisk, który przeleciał mu nad głową, i mruknął coś z niedowierzaniem. Wielki, regularnie ociosany blok zielonego kamienia strzaskał pień drzewa i upadł na murawę.

- Dziwny kamień jak na taką nie zamieszkaną wyspę - rzekł.

Oliwia szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Głaz był symetrycznie ociosany, niewątpliwie wycięty i obrobiony ludzką ręką, i zdumiewająco ciężki. Cymmerianin chwycił go oburącz, po czym stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach i, naprężywszy mięśnie barków i ramion, podniósł nad głowę i cisnął z całej siły. Głaz upadł zaledwie kilka kroków dalej i Conan zaklął.

- Żaden człowiek nie zdołałby przerzucić tego głazu przez polankę. Potrzebowałby chyba maszyny oblężniczej. A przecież nie ma tu balist ani katapult.

- Może wypuszczono go z takiej maszyny stojącej gdzieś dalej? - poddała myśl Oliwia.

Potrząsnął głową.

- Głaz nie spadł z góry. Rzucono go z tamtych zarośli. Widzisz te połamane gałązki? Ktoś rzucił tym głazem jak dziecko kamykiem. Tylko kto? Chodźmy stąd!

Dziewczyna niechętnie poszła za nim. Za pierwszym rzędem krzaków poszycie było mniej gęste. Wszędzie panowała głucha cisza. Na sprężystej murawie nie pozostał żaden ślad. A jednak to stąd jakaś tajemnicza istota cisnęła głazem, bez słowa i ze straszliwą siłą. Conan pochylił się nad murawą, szukając śladów. Po chwili ze złością potrząsnął głową. Nawet jego wyostrzony wzrok nie zdołał odnaleźć żadnych śladów, które zdradziłyby, kto tu stał i zniknął

po nieudanym ataku. Cymmerianin podniósł głowę i spojrzął na zielone sklepienie liści i splecionych ze sobą gałęzi. Nagle barbarzyńca drgnął, wyprostował się i nie odrywając oczu od zielonej gęstwiny zaczął się cofać, popychając przed sobą Oliwię.

- Chodźmy stąd, szybko! - ponaglał ją szeptem. - Co takiego? Co zobaczyłeś?

- Nic - odparł cicho, nie przestając rozglądać się czujnie.

- Powiedz mi, co to było? Kto krył się w tych krzakach?

- Śmierć! - odparł wpatrując się w półmrok zasłaniają cych niebo nefrytowych arkad.

Kiedy wydostali się z zarośli, barbarzyńca złapał dziewczynę za rękę i szybko poprowadził między rzadziejymi drzewami, aż wspięli się na trawiaste, słabo porośnięte zbocze i znaleźli się na niskim płaskowyżu, gdzie trawa była wysoka, a drzewa nieliczne i karłowate. Na środku płaskowyżu wznosiła się długa, szeroka budowla z rozsypujących się, zielonych bloków kamienia.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Żadne legendy nie wspominały o istnieniu takiej budowli na którejś z wysp Morza Vilayet. Podeszli ostrożnie, spoglądając na mech i porosty pełzające po kamieniach, na zapadnięty, zięjący czernią dach. Wszędzie leżały kawałki i okruchy kamiennych bloków, na pół ukryte w falującej trawie, sprawiające wrażenie, że niegdyś wznosiło się tu wiele budynków, może nawet całe miasto. Jednak teraz na płaskowyżu ostała się tylko bryła długiego budynku o pijacko chwiejących się ścianach oplecionych pnączami winorośli.

Jeżeli kiedyś w portalu były drzwi, to musiały dawno już spróchnieć. Conan i jego towarzyszka stanęli w szerokim hallu i zajrzeli do środka. Słoneczny blask sączył się przez dziury w ścianach i dachu zapelniając mroczne wnętrze grą światła i cieni. Mocno ściskając miecz, Conan kocim krokiem wszedł do środka bacznie rozglądając się na boki. Oliwia podreptała za nim.

Znalazłszy się w środku Conan mruknął coś pod nosem, a Oliwia wydała zduszony okrzyk zdziwienia:

- Popatrz! Och, popatrz!

- Widzę - odparł. - Nie ma się czego bać. To posągi.

- Wyglądają jak żywe... i są takie okropne! - szepnęła przysuwając się do barbarzyńcy.

Byli w ogromnej sali, której gładką posadzkę zasłał gruby dywan kurzu i kawałki osypujących się z sufitu kamieni. Wyrastająca spomiędzy głazów winorośl zasłaniała gęstą kurtyną otwory w ścianach. Wyniosłe sklepienie, płaskie i pozbawione ozdób, podpierały grube kolumny ciągnące się rzędami wzdłuż ścian. I wszędzie wokół stały dziwne posągi.

Były to żelazne figury, czarne i lśniące, jakby ustawicznie odkurzone, przedstawiające szczupłych, lecz silnie zbudowanych, mężczyzn o orlich, okrutnych twarzach. Posągi miały naturalną wielkość i każdą wypukłość, wklęsnięcie, mięsień czy ścięgno oddano z niezwykłym realizmem. Jednak najbardziej ożywioną częścią każdego z nich była dumna, nieugięta twarz.

Różniły się od siebie. Każda twarz miała swoje indywidualne cechy, chociaż wszystkie łączyło pewne podobieństwo. Trudno było jednak mówić o jednostajności.

- One wydają się słuchać... i czekać! - szepnęła niespokojnie dziewczyna.

Conan postukał ręką w jeden z posągów.

- Żelazny - stwierdził. - Na Croma! Z jakich to form ich odlano!

Potrząsnął głową z podziwem i wzruszył ramionami. Oliwia nieśmiało rozejrzała się po wielkiej, cichej sali. Dostrzegła tylko porośnięte bluszczem kamienie, oplecione winoroślą filary i ponuro spoglądające na nią posągi. Zadrżała i zapragnęła znaleźć się jak najdalej stąd; lecz jej towarzysza najwyraźniej zafascynowały żelazne figury; przyglądał im się niezwykle dokładnie i - jak typowy barbarzyńca - próbował odłamać jednej z nich ramię. Jednak metal oparł się wszystkim jego wysiłkom. Nie zdołał uszkodzić posągu, ani wypchnąć go z niszy, w której stał. W końcu zrezygnował, klnąc z podziwem.

- Cóż to za ludzie przedstawiają te posągi? - rzucił w przestrzeń pytanie. - Są czarni, ale zupełnie niepodobni do Negrów. Nigdy nie widziałem takich ludzi.

- Chodźmy stąd - nalegała Oliwia i barbarzyńca przystał na to, obrzuciwszy jeszcze raz zdziwionym spojrzeniem stojące pod ścianami postacie.

Wyszli z mrocznej sali na jasne światło dnia. Oliwia ze zdumieniem stwierdziła, że słońce stało już wysoko na niebie; spędzili w ruinach więcej czasu niż sądziła.

- Wracajmy do łodzi - zaproponowała. - Boję się. To dziwne, niesamowite miejsce. W każdej chwili może nas znowu zaatakować to coś, co cisnęło w nas kamieniem.

- Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni tak długo, jak długo nie wejdziemy między drzewa - odparł. - Chodź!

Od wschodu, zachodu i południa płaskowyż wznosił się nad porastającą brzeg wyspy dzunglą; na północy był zamknięty skałami tworzącymi najwyższy punkt wyspy. Tam właśnie skierował się Conan, umyślnie zwalniając kroku, aby dziewczyna mogła nadążyć. Spostrzegła, że od czasu do czasu obrzucał ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Dotarli do najdalej na północ wysuniętego krańca płaskowyżu i stanęli przed pionową, skalną ścianą. Od wschodu i zachodu drzewa niemal wchodziły na płaskowyż, gęsto porastając stok. Conan spojrzał na nie podejrzliwie i zaczął piąć się w górę, pomagając towarzysze. Zbocze było dość pochyle i w dodatku usiane głazami, ale Cymmerianin i tak wspinałby się na nie jak kot gdyby nie Oliwia, dla której nie było to takie łatwe. Raz po raz dziewczyna czuła, że silne ręce barbarzyńcy przenoszą ją nad przeszkodą, przebycie której pochłonęłoby jej wszystkie siły i z coraz większym podziwem patrzyła na towarzysza. Jego dotknięcie już nie napawało jej wstrętem; żelazny chwyt dawał poczucie bezpieczeństwa.

W końcu znaleźli się na samej górze. Wiejący od morza wietrzyk rozwiał im włosy. U ich stóp grań opadała trzystu-lub czterystustopową przepaścią ku wąskiemu pasmu rosnących na brzegu drzew. Patrząc na południe ujrzeli całą wyspę rozpościerającą się niczym wielkie, owalne lustro oskośnie ściętych krawędziach opadających ku pierścieniowi zieleni. Jak okiem

sięgnąć ze wszystkich stron otaczały ich błękitne wody, spokojne i łagodne, niknące w mglistej dali.

- Morze jest spokojne - westchnęła Oliwia. - Czemu nie mielibyśmy popłynąć dalej?

Conan, stojący nad urwiskiem niczym posąg z brązu, wskazał palcem na północ. Wyteńczywszy wzrok, Oliwia dostrzegła biały obłoczek, który zdawał się wisieć nieruchomo w bladej mgielce.

- Co to?

- Żagiel.

- Hyrkańczycy?

- Kto to wie? Z tej odległości trudno powiedzieć.

- Rzuca tu kotwicę? Przeszukają wyspę...! - krzyknęła w przyplywie przerażenia.

- Wątpię. Płyną z północy, więc nie mogą nic o nas wiedzieć. Być może zatrzymają się tu z jakiegoś powodu i będziemy musieli się ukryć najlepiej jak umiemy. Jednak myślę, że to piracka lub hyrkańska galea powracająca z wyprawy. W takim wypadku raczej się tu nie zatrzymają. Nie możemy wypłynąć w morze dopóki nie znikną nam z oczu, bo przyplwają z tego kierunku, w jakim zamierzamy się udać. Z pewnością miną wyspę w nocy i o świcie będziemy mogli wyruszyć w drogę.

- A więc mamy tu spędzić noc? - powiedziała z trwogą.

- Tak będzie bezpieczniej.

- Zatem śpijmy tu, wśród skał - nalegała.

Potrząsnął głową, patrząc na karłowate drzewka i rozciągający się w dole gąszcz zieleni, zdającej się wyciągać liściaste macki ku urwistemu zboczcu.

- Tu jest zbyt wiele drzew. Będziemy spać w ruinach. Dziewczyna wydała okrzyk protestu.

- Nikt nas tam nie będzie niepokoił - uspokajał ją Conan. - Ktokolwiek rzucił w nas tym głazem, nie poszedł za nami, kiedy wyszliśmy z lasu. Nie zauważyłem też żadnych śladów, które by świadczyły, że w ruinach kryją się jakieś dzikie bestie. Ponadto masz delikatną skórę i jesteś przyzwyczajona spać pod dachem, wśród wygód. Ja mógłbym równie dobrze spać nago na śniegu, ale ty rozchorowałabyś się od zimna, gdybyś musiała spędzić noc pod gołym niebem.

Oliwia przystała na to niechętnie. W milczeniu zeszli na dół, przeszli przez płaskowyż i znów zbliżyli się do ponurych, stoczonych przez czas ruin. Słońce niknęło już za krawędzią płaskowyżu. Na pobliskich drzewach znaleźli owoce, które stały się ich posiłkiem, służąc za jedzenie i picie.

Południowa noc zapadła bardzo szybko, zapelniając granatowe niebo białymi gwiazdami. Conan wszedł w ruiny ciągnąc za sobą niechętnie idącą dziewczynę. Oliwia drżała patrząc na czarne sylwetki stojące nieruchomo między kolumnami. W ciemnościach ledwie rozjaśnianych

nikłym blaskiem gwiazd nie mogła dostrzec ich twarzy, jednak wyczuwała ich oczekiwanie - oczekiwanie trwające od niezliczonych stuleci.

Conan przyniósł wielkie naręcze pokrytych gęsto liśćmi gałęzi. Rzucił je na stos tworząc wygodne posłanie dla Oliwii. Położyła się na nim z uczuciem, że kładzie się na spoczynek w kłębowisku źmij.

Cymmerianin nie podzielał jej obaw. Siadł obok opierając się plecami o filar i kładąc na kolanach obnażony miecz. Oczy barbarzyńcy błyszczały w mroku jak tygrysie ślepie.

- Śpij, dziewczyno - rzekł. - Ja śpię czujnie jak wilk. Nikt nie zdoła tu wejść tak, żeby mnie nie obudzić.

Oliwia nie odpowiedziała. Ze swego posłania obserwowała ukradkiem nieruchomą postać towarzysza, niewyraźnie majaczącą w mroku.

Jakie to dziwne, podróżować z barbarzyńcą; być pod opieką i ochroną jednego z tych ludzi, którymi straszono ją w dzieciństwie!

Należał do dzikiego ludu, posępnego i tajemniczego. Każdy jego ruch zdradzał pokrewieństwo z dziczą; w posępnych oczach tlił się płomyk szaleństwa. A jednak nie zrobił jej krzywdy, podczas gdy jej najgorszym ciemieżcą okazał się człowiek powszechnie uważany za cywilizowanego. Ogarnęło ją rozkoszne znużenie; wyciągnęła się wygodnie i zapadając w miękką otchłań snu pomyślała jeszcze o silnych rękach Cymmerianina obejmujących jej smukłe ramiona.

Oliwia spała. We śnie czuła czające się wokół zło, pełznące bezszelestnie niczym żmija wśród różanych krzewów. Strzępy snu składały się na jakąś dziwną, egzotyczną całość, aż wreszcie wykrystalizowały się w przerażającą scenę rozgrywającą się wśród cyklopowych murów i kolumn.

Ujrzała wielką salę, której wyniosły strop podtrzymywały rzędy kamiennych kolumn ciągnących się równymi szeregami wzdłuż ścian. Wśród tych kolumn z trzepotem przelatywały szkarłatno-zielone papugi i tłoczyli się czarnoskórzy wojownicy o orlich rysach. Nie byli Negrami; ani ich twarze, ani szaty czy broń nie przypominały niczego spotykanego na tym świecie.

Cisnęli się wokół kogoś przywiązanego do filara; szczupłego młodzieńca o jasnej skórze i z chmurą złotych loków spadających na alabastrowe czoło. Jego uroda także nie była urodą człowieka - przypominał raczej wyrzeźbionego w marmurze i ożywionego boga.

Czarni wojownicy drwili i szydzili z niego w swym dziwnym języku. Jego gibkie, nagie ciało prężyło się pod okrutnymi ciosami. Krew ciekła po białych udach i pryskała na gładką posadzkę. Sala rozbrzmiewała krzykami ofiary; nagle złotowłosey podniósł głowę ku niebu i krzyknął coś przeraźliwie. Cios sztyletu zamknął mu usta, jasna głowa opadła na piersi.

Jakby w odpowiedzi na ten rozpaczliwy okrzyk rozległ się grzmot kół niebiańskiego rydwanu i przed mordercami zmaterializowała się nowa postać. Przybysz był mężczyzną, jednak jego twarz była tak nieludzko piękna, że nie mogła należeć do śmiertelnika. Jego rysy zdradzały wyraźne podobieństwo do twarzy młodzieńca, który bez życia wisiał w więzach, jednak brakowało mu odrobiny człowieczeństwa łagodzącej nieruchome piękno boskiego oblicza. Czarni cofnęli się przed nim ze zgrozą. Przybysz podniósł dłoń i przemówił; głęboki, melodyjny głos odbił się echem wśród milczących kolumn. Czarni wojownicy cofali się przed nim jak w transie, aż stanęli w równych szeregach pod ścianami. Wtedy z ust mściciela wydobył się straszliwy przyśpiew i rozkaz:

- "Yagkoolan yok, tha, xuthalla!"

Pod uderzeniem tego okropnego zaklęcia czarne postacie zeszywniały i zastygły. Ich ciała zamarły w dziwnych pozach i skamieniały. Przybysz chwycił bezwładne ciało młodzieńca i natychmiast pętające je łańcuchy pękły z trzaskiem. Odszedł trzymając ciało w ramionach, lecz przedtem odwrócił się jeszcze raz i obrzuciwszy spojrzeniem rzędy nieruchomych, czarnych figur wskazał palcem błyszczący na niebie księżyc. A milczące, hebanowe posągi, które przed chwilą były żywymi ludźmi, zrozumiały...

Oliwia zbudziła się zrana zimnym potem i uniosła się na swoim posłaniu z gałęzi. Serce waliło jej jak młotem. Niespokojnie rozejrzała się wokół. Conan spał pod swoim filarem z głową opuszczoną na piersi. Przez dziury w ścianach i suficie sączył się srebrzysty blask księżyca; długie strzały jasnych promieni ślizgały się po zakurzonej posadzce. Dziewczyna widziała niewyraźne sylwetki posągów - czarnych, czekających w bezruchu. Walcząc z ogarniającym ją



przerażeniem ujrzała, że blade światło sięga kolumn i stojących między nimi posągów.

Ale co to? Dostrzegła jakiś ruch w miejscu, gdzie padły promienie księżyca. Zesztywniała ze zgrozy, dojrzała oznaki życia tam, gdzie powinna być tylko martwota kamienia; lekkie drżenie, kurczenie się i prostowanie hebanowych kończyn...

Oliwia krzyknęła przeraźliwie, budząc śpiącego barbarzyńcę. Conan zerwał się na równe nogi, błyskając wzniesionym do ciosu mieczem.

- Posągi! Posągi! O mój Boże, one ożyły! – wybelkotała dziewczyna i skoczywszy do wyrwy w ścianie przedarła się przez zarastające otwór pnącza i wypadła na zewnątrz. Biegła na oślep przed siebie, dopóki nie zatrzymała jej silna dłoń zaciskająca się na jej ramieniu. Oliwia wrzasnęła okropnie i zaczęła się rozpaczliwie szamotać, dopóki uspokajający głos barbarzyńcy nie przedarł się przez opary odbierającego zmysły przerażenia. Conan spoglądał na nią z bezgranicznym zdziwieniem.

- Na Croma, co się z tobą dzieje? - zapytał. – Miałś zły sen?

Jego głos zdał się jej nierzeczywisty i daleki. Ze szlochem zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła doń kurczowo, lkając rozpaczliwie.

- Gdzie oni są? Nie gonią nas? - spytała gorączkowo.

- Nikt nas nie gonił - odparł barbarzyńca. Dziewczyna rozejrzała się lękliwie, nie puszczając jego szyi. Uciekając na oślep, zapędziła się aż na południowy kraniec płaskowyżu. Nieco dalej zbocze stromo opadało w dół, w gęsty mrok porastającego brzeg lasu. Daleko w tyle wznosiły się ruiny starożytnej budowli, widoczne na tle księżyca jako czarna bryła.

- Nie widziałeś ich? T o posągi... o n e ożyły; ruszały rękami, błyskały oczyma w ciemnościach...

- Niczego nie zauważyłem - odparł niechętnie Cymmerianin. - Spałem mocniej niż zwykle, ponieważ już od dawna nie przespalem całej nocy, ale nie sądzę, żeby ktoś zdołał wejść do środka tak, żeby mnie nie zbudzić.

- Nikt nie wszedł - roześmiała się, bliska hysterii. - Oni już tam byli. O Mitro, położyliśmy się tam spać jak owce w wilczej jamie!

- O czym ty mówisz? - spytał Cymmerianin. – Zbudził mnie twój krzyk i zanim zdążyłem się rozejrzeć, zobaczyłem, jak wybiegasz na zewnątrz. Pobiegłem za tobą, żebyś sobie nie zrobiła krzywdy. Pomyślałem, że miałaś zły sen.

- Miałam! - odrzekła z drżeniem. - Jednak rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Posłuchaj!

I opowiedziała mu wszystko, co jej się śniło.

Conan słuchał jej z uwagą. Obcy był mu naturalny sceptycyzm cywilizowanych ludzi. Jego lud wierzył w upiory, gobliny i czarnoksiężników. Kiedy Oliwia skończyła, przez chwilę siedział w zadumie, bawiąc się swoim mieczem.

- Mówisz, że młodzieniec, którego torturowali był podobny do tego drugiego mężczyzny?  
- spytał w końcu.

- Jak syn do ojca - odparła i dodała po namyśle: - Gdyby wyobrazić sobie istotę łączącą w sobie cechy człowieka i boga, to otrzymalibyśmy kogoś podobnego do tego młodzieńca. Dawni bogowie czasem łączyli się ze śmiertelnikami; tak głoszą nasze legendy.

- Jacy bogowie?

- Dziś już zapomniani. Kto o nich pamięta? Wrócili w cichą toń jezior, w spokój wnętrza gór, w bezkresne, międzygwiazdne otchłanie. Bogowie przemijają tak samo jak ludzie.

- Jednak jeśli to byli ludzie zmienieni w posągi mocą zaklęcia jakiegoś bóstwa czy demona, to dlaczego ożyli?

- Dzięki czarodziejskiej mocy księżycy - odparła dziewczyna. - Odchodząc, wskazał palcem na księżyc; kiedy jego blask pada na posągi, wojownicy odzyskują dawną postać. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Jednak nikt nas nie gonił - mruknął Conan, patrząc w kierunku ruin. - Może to tylko ci się śniło. Mam ochotę wrócić i sprawdzić.

- Och nie, nie! - krzyknęła, obejmując go kurczowo. - Może zaklęcie nie pozwala im opuszczać budowli. Nie wracaj tam! Rozedrå cię na strzępy! Och, Conanie, wracajmy do łodzi i uciekajmy z tej strasznej wyspy! Hyrkańczycy już na pewno popłynęli dalej. Chodźmy!

Jej rozpaczliwe błagania zrobiły wrażenie na barbarzyńcy. Przesadny lęk walczył w nim o lepsze z ciekawością, każącą sprawdzić słowa dziewczyny. Nie obawiał się żywych wrogów, choćby i w znacznej przewadze liczebnej, ale nadnaturalne zjawiska zawsze wzbudzały w nim nieokreślony lęk będący dziedzictwem barbarzyńskiej rasy.

Wziął dziewczynę za rękę i zszedłszy po stoku zagłębił się w gęsty las pełen cichego szelestu liści i szczebiotu niewidocznych ptaków. Pod drzewami zalegał gęsty mrok i Conan starał się trzymać jaśniejszych miejsc. Idąc, nieustannie wodził wokół spojrzeniem, często zerkając w górę, na korony drzew. Szedł szybko lecz czujnie, tak silnie obejmując talię dziewczyny, że zdawało się jej, iż raczej ją niesie niż prowadzi. Nie padło ani jedno słowo. Jedyńm dźwiękiem był przyspieszony oddech dziewczyny i szmer jej drobnych stóp w wysokiej trawie. Tak przeszli przez las i wyszli na brzeg morza, lśniącego w promieniach księżycy niczym topione srebro.

- Powinniśmy zabrać trochę owoców - mruknął Cymmerianin - ale na pewno trafimy na inne wyspy. Równie dobrze możemy odplłynąć teraz; do świtu mamy jeszcze kilka godzin...

Urwał nagle. Cuma wciąż była przywiązana do sterczącego głazu, ale na jej końcu zobaczyli tylko połamane i potrzaskane deski, na pół zanurzone w płytkiej wodzie.

Oliwia wydała zduszony okrzyk. Conan odwrócił się na pięcie i przyczajony do skoku jak kot, wpatrywał się czujnie w mrok. Nocne ptaki umilkły nagle. Nad lasem zapadła głęboka cisza.

Nawet najłżejszy powiew wiatru nie poruszał gałęziami, a jednak gdzieś w pobliżu zaszeleściły liście.

Conan chwycił Oliwię w ramiona i pomknął jak błyskawica przez zarośla, ścigany dziwnym szelestem, który zdawał się wciąż przybliżać. Nagle wypadli na oblaną księżycową poświatą przestrzeń. Conan bez wahania wbiegł na stok i na płaskowyż. Tam postawił Oliwię na ziemi i odwróciwszy się spojrzął za siebie, w mrok lasu, który zostawili za sobą. Liście w dole zadrżały, jakby poruszone wiatrem - to wszystko. Z gniewnym pomrukiem Cymmerianin potrząsnął swą czarną grzywą. Oliwia tuliła się do niego jak wystraszone dziecko. W jej oczach czaił się śmiertelny lęk.

- Co teraz zrobimy, Conanie? - szepnęła. Spojrzął na ruiny i na las otaczający płaskowyż.

- Pójdziemy między skały - rzekł, stawiając ją na nogi - a jutro zbudujemy tratwę i znów wyruszymy na morze.

- Przecież to nie oni zniszczyli naszą łódź? - spytała niepewnie dziewczyna.

Conan w milczeniu potrząsnął głową.

Z każdym krokiem przerażenie Oliwii rosło, ale żadna czarna postać nie wyłoniła się z ruin i w końcu dotarli do skał, które ponuro i majestatycznie wznosiły się ku niebu. Conan przystanął tam i po krótkim wahaniu wybrał miejsce osłonięte wielkim głazem i dość odległe od pierwszych większych drzew.

- Połóż się i śpij, jeśli możesz - powiedział. - Ja stanę na straży.

Jednak dziewczyna nie mogła zasnąć; leżała patrząc na odległe ruiny i czarny skraj lasu, aż gwiazdy zbladły, niebo na wschodzie poszarzało i złoty świt skrzesał barwne iskry w kropkach rosy na trawie. Wtedy podniosła zeszywniałe ciało i wróciła myślą do wydarzeń minionej nocy. W rannym świetle wszystko to zdało jej się tworem wybujałej wyobraźni. Conan podszedł do niej i powiedział coś, co nią wstrząsnęło.

- Tuż przed świtem usłyszałem skrzypienie dulek i plusk wioseł. Jakiś statek rzucił kotwicę w zatoczce, niedaleko stąd... myślę, że to ten, który wczoraj widzieliśmy. Wejdzmy na skały i sprawdźmy to.

Wdrapali się na górę i leżąc na brzuchu wśród głazów ujrzeli wysoki maszt sterczący nad drzewami, na zachodnim brzegu.

- Sądząc po ożaglowaniu - mruknął Cymmerianin - to hyrkańska galera. Zastanawiam się czy załoga...

Wtem usłyszeli gwar ludzkich głosów; patrząc w kierunku zadrzewionego krańca płaskowyżu dostrzegli barwny tłum wylaniający się z gęstwiny. Przybyli zatrzymali się, najwidoczniej po to, żeby się naradzić. Było tam wiele wymachiwania rękami, łapania za broń i głośnych przekleństw. Wreszcie cała banda ruszyła przez płaskowyż w kierunku budowli. Conan natychmiast zauważył, że przybysze będą musieli przejść obok skał.

- Piraci! - rzekł z ponurym uśmiechem na ustach. - Zdobyli hyrkańską galerę. Chodź tu!

**Ukryjesz się wśród skał. I nie pokazuj się dopóki cię nie zawołam - nakazał, posadziwszy dziewczynę wśród głazów na szczycie urwiska. – Mam zamiar pogadać z tymi psami. Jeśli mój plan się powiedzie, wszystko będzie dobrze i odpłyniemy razem z nimi. Jeżeli mi się nie uda... ukryjesz się tutaj dopóki nie odpłyną, bo żadne demony nie są tak okrutne jak ci morscy zbóje.**

**Oswobodziwszy się z jej kurczowego uścisku, szybko zszedł na dół. Lękliwie wyglądając ze swojej kryjówki Oliwia zobaczyła, że piracka zgraja zbliża się do stóp urwiska. W tejże chwili Conan wyłonił się spośród głazów i stanął przed nimi z obnażonym mieczem w dłoni. Zdumieni piraci wydali groźny okrzyk, po czym stanęli, niepewnie spoglądając na postać, która tak niespodziewanie wyskoczyła zza skał. Załoga galery składała się z blisko siedemdziesięciu ludzi, stanowiących przedziwną zbieraninę wszelkich narodowości: Kothyjczyków, Zamoran, Brythuńczyków, Korynthian, Shemitów. Ich twarze nosiły piętno występku; wielu nosiło ślady bata lub katowskiego żelaza. Karbowane uszy i nosy, ziejące pustką oczodoły, kikuty rąk - dowodnie świadczyły o tym, że wielu z nich zaznajomiło się z nim aż za dobrze. Większość nich była półnaga, ale ta odzież, jaką nosili, zdradzała dawną świetność; szamerowane złotem kubraki, satynowe szarfy, jedwabne bryczesy i srebrne napierśniki, choć poszarpane i poplamione smołą, były godne szlachciców. Słońce lśniło na złotych kolczykach i wysadzanych klejnotami rękojeściach sztyletów. Przed tą cudaczną zgrają stanął gigantyczny Cymmerianin, mierząc ich zuchwałym spojrzeniem jasnych oczu jarzących się w zbrązowiałej twarzy, kontrastującej z pobladłymi twarzami piratów.**

**- Ktoś ty? - ryknęli.**

**- Conan Cymmerianin! - warknął w odpowiedzi. – Byłem wodzem Wolnych Towarzyszy. Chcę szukać szczęścia wśród Czerwonego Bractwa. Kto wami dowodzi?**

**- Ja, na Isztar! - ryknął ktoś gromko i na czoło bandy wysunęła się ogromna postać; nagi do pasa olbrzym w jedwabnych pantalonach i z szeroką, jedwabną szarfą opasującą wielkie brzuszysko. Na ogolonej głowie powiewał mu skąpy kosmyk włosów, a wąskie, zaciśnięte usta były okolone długimi, obwisłymi wąsami. Pirat miał na nogach zielone, shemickie ciżmy ze sterczącymi noskami, a w ręku dzierżył długi, prosty miecz.**

**Conan zmarszczył brwi.**

**- Na Croma, to Sergiusz z Khoroski!**

**- Tak, na Isztar! - huknął gigant, patrząc nań z nienawiścią. - Myślisz, że zapomniałem? Ha! Sergiusz nigdy nie wybaczają zniewagi! Teraz powieszę cię za nogi i żywcem obedrę ze skóry. Brać go, chłopcy!**

**- Tak, spuść swoje psy, grubasie - prychnął Conan z gryzącą pogardą. - Zawsze byłeś tchórzem, ty kothyjski kundlu!**

**- Tchórzem? Ja? - na szerokiej twarzy pojawił się grymas wściekłości. - Broń się, psie z północy! Zaraz wypruję ci flaki!**

**Piraci natychmiast utworzyli krąg wokół obu przeciwników, dziko wywracając oczyma i szczerząc zęby z radości. Wysoko w górze ukryta między głazami Oliwia patrzyła na to z**

**niepokojem, zaciskając pięści aż paznokcie wbijały się jej w ciało.**

**Walka rozpoczęła się bez zbędnych formalności: mimo ogromnej tuszy Sergiusz runął na przeciwnika jak burza. Klnąc wściekle przez zaciśnięte zęby, raz za razem wymierzał straszliwe ciosy. Conan walczył w milczeniu; tylko w zwężonych oczach jarzył mu się złowrogi ogień. Po chwili Kothyjczyk przestał kłać, aby oszczędzić oddech i w ciszy słycać było jedynie szuranie deptających murawę stóp, szcęk stali i ciężkie dyszenie pirata. Miecze błyskały żywym ogniem w promieniach poranka, raz po raz unosząc się i opadając ze świstem. Wydawały się odbijać od siebie i znów ku sobie podążać, jak związane niewidocznymi pętami.**

**Sergiusz cofał się; tylko nadzwyczajna zręczność ratowała go przed szybkimi jak myśl atakami Cymmerianina. Nagle rozległ się głośniejszy szcęk, głuchy stuk i zduszony krzyk... Piraci wydali przeraźliwy ryk zawodu, gdy miecz Conana przeszył masywne ciało ich przywódcy. Ostrze wyszło między łopatkami Sergiusza i przez moment tkwiło tak, błyszcząc w słońcu; potem barbarzyńca wyrwał je z ciała przeciwnika. Szeroko rozłożywszy ramiona Sergiusz runął na ziemię i legł bez ruchu w rozszerzającej się kałuży krwi.**

**Conan odwrócił się do wytrzeszczających oczy piratów.**

**- No, psy! - wrzasnął. - Wysłałem waszego wodza do piekła, a co o tym mówi prawo Czerwonego Bractwa?**

**Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, kryjący się za plecami innych Brythuńczyk o szczurzej twarzy błyskawicznie posłużył się swoją procą. Kamień śmignął w powietrzu i sięgnął celu; Conan zatoczył się i runął jak dąb pod toporem drwala. Oliwia kurczowo chwyciła się głazu. Świat zawirował jej w oczach; widziała tylko bezwładnie leżącego na murawie Cymmerianina i krew sączącą się z jego rozbitej głowy.**

**Pirat o szczurzej twarzy z okrzykiem triumfu skoczył, by dobić nieprzytomną ofiarę, ale chudy Korynthianin odepchnął go w porę.**

**- Cóż to, Aratusie, chcesz złamać prawa Bractwa, psie!**

**- Nie łamię żadnego prawa! - warknął Brythuńczyk.**

**- Nie? Ty psie, człowiek, którego ogłuszyłeś jest wedle prawa naszym kapitanem!**

**- Nic podobnego! - wrzasnął Aratus. - On nie należał do naszej bandy, był obcy. Nie przyjęliśmy go do Bractwa. Zabijając Sergiusza wcale nie stał się naszym kapitanem, tak jak stałby się nim ten z nas, który zdołałby tego dokonać.**

**- Jednak chciał do nas przystać - odparł Kothyjczyk. - Tak powiedział.**

**Podniosła się wrzawa; jedni wzięli stronę Aratusa, inni Korynthianina, na którego wołali Ivanos. W powietrzu gęsto przelatywały wyzwiska i przekleństwa; ręce szukały rękojęści sztyletów.**

**W końcu przez zgłęb przedarł się gromki głos Shemity:**

**- Po co klócić się o trupa?**

- On żyje - odparł Korynthianin, pochyliwszy się nad ciałem barbarzyńcy. - Kamień ześliznął mu się po czaszce; jest tylko nieprzytomny.

Słyszając to piraci znów zaczęli się spierać. Aratus nada! chciał dobić rannego, ale Ivanos stanął nad Cymmerianinem z mieczem w ręku, broniąc go przed wszystkimi razem i każdym z osobna. Oliwia czuła, że Korynthianin nie tyle przejmuje się losem Conana, ile korzysta z okazji, by przeciwstawić się Aratusowi. Najwidoczniej obaj byli kandydatami na miejsce Sergiusza i nie przepadali za sobą. Po długich debatach postanowiono związać Conana i zabrać go ze sobą, żeby później przez głosowanie zadecydować o jego losie.

Odzyskującego przytomność Cymmerianina związano rzemieniami, po czym podniesiono z ziemi i ułożono na ramionach czterech klnących piratów. Banda poszła dalej, zostawiając za sobą trupa Sergiusza; nieruchomy, czarny kształt na skąpanej w słońcu równinie.

Oliwia leżała wśród skał przytłoczona ogromem nieszczęścia. Nie była w stanie niczego przedsięwziąć, niczego zrobić, mogła tylko leżeć i patrzeć z przerażeniem, jak banda złoczyńców uprowadza jej obrońcę.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tak leżała. Wreszcie zobaczyła, że piraci dotarli do ruin na drugim końcu płaskowyżu i weszli do środka, wlokąc za sobą jeńca. Widziała, jak kręcą się tu i tam, wyglądają przez okna, rozrzucają sterty gruzu i gramolą się na mury. Po chwili kilku wróciło drogą, którą przyszli; ci zniknęli wśród drzew na zachodnim brzegu ciągnąc za sobą zwłoki Sergiusza; zapewne po to, aby pochować go w morzu. Inni ścinali drzewa rosnące w pobliżu ruin i znosili chrust na ognisko. Oliwia słyszała ich dalekie, niewyraźne okrzyki i powracające echem głosy tych, którzy weszli do lasu. Niebawem i oni wyłonili się spośród drzew, niosąc beczułki z winem i skórzane sakwy z prowiantem. Klnąc wściekle i uginając się pod ciężarem, wrócili do kompanów w ruinach.

Oliwia niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Była bliska omdlenia od nadmiaru wrażeń. Sama i bezbronna, dopiero teraz zrozumiała, ile znaczyła dla niej opieka Conana. Poczula przelotne zdumienie na myśl o kaprysie losu, który uczynił córkę króla towarzyszką dzikiego barbarzyńcy, jednak uczucie to zaraz zastąpił wstyd. Zarówno jej ojciec jak i Szach Amurat byli cywilizowanymi ludźmi, a ileż wyrządzili jej złego! Nigdy nie spotkała cywilizowanego człowieka, który traktowałby ją uprzejmie bez jakichś ukrytych powodów; tymczasem Cymmerianin bronił jej i opiekował się nią - i do tej pory niczego w zamian nie żądał. Schowawszy twarz w dłoniach Oliwia płakała, dopóki głośnie śmiechy i wrzaski nie uświadomiły jej zagrażającego niebezpieczeństwa.

Obrzuciła spojrzeniem czarne mury, wokół których chwiejnie krążyły ciemne sylwetki, i mroczną ścianę gęstego lasu. Nawet jeżeli wydarzenia minionej nocy były tylko snem, niebezpieczeństwo kryjące się w gęstwinie nie było koszmarnym majakiem. Jeżeli piraci zabiją lub zabiorą ze sobą Conana, będzie musiała wybierać między oddaniem się w ich ręce a pozostaniem na tej okropnej wyspie.

W pełni pojawszy grozę sytuacji, Oliwia bez zmysłów osunęła się na murawę.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy odzyskała przytomność. Słaby wietrzyk przyniósł jej dzikie wrzaski i strzępki sprośnej piosenki. Podniósłszy się ostrożnie na czworaki, spojrzała na płaskowyż. Ujrzała piratów zgromadzonych wokół wielkiego ogniska przy ruinach i serce podeszło jej do gardła, gdy z wnętrza budowli wyłoniła się kilkusobowa grupka niosąc kogoś, kto musiał być jej towarzyszem podróży. Posadzili Cymmerianina pod ścianą - widocznie nadal był mocno związany - i znów zaczęła się długa dysputa połączona z wymachiwaniem bronią. W końcu znów zanieśli go do środka i znowu przypięli się do beczek z trunkiem. Oliwia westchnęła z ulgą; teraz przynajmniej wiedziała, że barbarzyńca jeszcze żyje. Podjęła desperacką decyzję: kiedy zapadnie noc, zakradnie się w ruiny i uwolni go, albo sama zostanie złapana. Wiedziała, że jej decyzja nie wynikała z zimnego wyrachowania, lecz czegoś więcej. Z tą myślą opuściła kryjówkę, aby nazrywać trochę orzechów, które rosły tu i ówdzie w pobliżu. Przez cały dzień nic nie jadła. Łapczywie pochłaniając orzechy, z niepokojem uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Nerwowo rozejrzała się wokół, po czym, zdjęta trwogą, podczołgała się do północnej krawędzi urwiska i zerknęła na falujące w dole morze zieleni, szybko znikające w zapadającym zmroku. Niczego nie dojrzała; wydawało się niemożliwe, aby ktoś kryjący się w lesie zdołał ją wypatrzeć wśród skał. A jednak wyraźnie czuła na sobie spojrzenie czyichś oczu obserwujących ją bacznie z gęstwiny.

Chyłkiem wróciła do swej skalnej kryjówki i leżała tam patrząc na odległe ruiny, aż okrył je mrok nocy i tylko migotliwy blask ogniska, wokół którego skakały i płały chwiejnie czarne sylwetki, pozwalał je zlokalizować w ciemnościach. Nadszedł czas, by spróbować. Dziewczyna wstała. Najpierw podkrađła się do północnej krawędzi płaskowyżu i jeszcze raz spojrzała na las porastający brzeg wyspy. Wyteżywszy wzrok, w nikłym świetle gwiazd dojrzała coś, co sprawiło, że zeszywniała nagle i poczuła lodowaty dreszcz strachu przebiegający po plecach.

W dole coś się poruszało. Zdawało się, że z oceanu mroku wynurzył się czarny cień i wolno piał się w górę - niewyraźny i bezkształtny. Lęk ścisnął ją za gardło i z trudem powstrzymywała cisnący się na wargi krzyk. Odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę, na południe.

Ucieczka po najeżonym gładzi, stromym i śliskim zboczu była koszmarem. Oliwia potykała się i ślizgała, zeszywniałymi palcami czepiając się poszarpanych skał. Kalecząc dłonie i objając się o ostre gładzi, przez które Conan z taką łatwością ją przeniósł, raz jeszcze zdała sobie sprawę, jak jest uzależniona od olbrzymiego Cymmerianina. Jednak ta trzeźwa myśl była ledwie błyskiem w chmurze ogarniającego ją przerażenia.

Zdawało jej się, że biegnie tak całe wieki, ale w końcu poczuła pod nogami miękką trawę równiny; nie zwalniając kroku pomknęła w kierunku ogniska, pulsującego niczym szkarłatne serce nocy. Pędząc słyszała za sobą grzechot osypujących się po zboczu kamieni i ten dźwięk dodał jej skrzydeł. Obawiała się nawet myśleć, co mogło być jego przyczyną.

Długotrwały wysiłek sprawił, że zapomniała o przerażeniu i zanim dotarła w pobliże ruin odzyskała zdolność trzeźwego myślenia, mimo że trzęsła się ze zmęczenia. Opadła na murawę,

podczołgała się do jednego z drzewek, które oszczędziły topory piratów, i spojrzała na obóz. Piraci skończyli już wieczerzę, ale nadal pili wino, czerpiąc je z otwartych beczulek cynowymi kubkami lub wysadzаныmi klejnotami pucharami. Niektórzy już chrapali na trawie, zmożeni pijackim snem; inni chwiejnie krążyli wokół. Nigdzie nie dostrzegła Cymmerianina. Leżała czekając, podczas gdy wieczorna rosa posrebrzyła murawę i liście drzew, a mężczyźni przy ognisku klęli, grali w kości i klócili się. Niewielu ich zostało przy ogniu; reszta spała w ruinach.

Oliwia czekała z nerwami napiętymi jak postronki i zimny dreszcz przebiegał jej po krzyżu na myśl o tym, że stworzenie, które ją ścigało, mogło właśnie skradać się do niej w ciemnościach. Czas dłużył się jej okropnie. Piraci jeden po drugim zapadali w ciężki sen, aż wreszcie wszyscy legli nieprzytomni przy dogasającym ognisku.

Oliwia zawahała się - jednak ponagliła ją słaba poświata widoczna przez gałęzie drzew. Wschodził księżyc.

Podniosła się i ruszyła ku ruinom. Z duszą na ramieniu, przeszła na palcach między pijanymi, leżącymi przy ziejącym czernią portalu. Wewnątrz było ich znacznie więcej; przewracali się i mamrotali coś przez sen, ale żaden nie obudził się, gdy cicho wśliznęła się do środka. Zobaczyła Cymmerianina i serce zabiło jej mocniej z radości.

Przywiązany do jednej z kolumn Conan był zupełnie przytomny; jego oczy błyszczały w słabym świetle dogasającego na zewnątrz ogniska.

Uważnie omijając śpiących, Oliwia podeszła do niego. Mimo że szła cicho jak duch, barbarzyńca usłyszał ją; dostrzegł ją, gdy tylko pojawiła się w przejściu. Na jego zaciśniętych wargach pojawił się słaby uśmiech.

Dziewczyna dotarła do niego i objęła go ramionami. Czuł szybkie bicie jej serca przy swoim sercu. Przez szeroką wyrwę w murze wpadł promień księżyca i natychmiast w sali powiało jakąś nieuchwytną grozą. Conan wyczuł to i zeszywniał nagle. Oliwia także to wyczuła; jej pierś falowała w szybkim oddechu; jednak śpiący piraci chrapali głośno. Pochyliwszy się, Oliwia wyjęła sztylet zza pasa nieprzytomnego właściciela i zabrała się za przecinanie więzów towarzysza. Był związany grubą i mocną liną, omotaną ze zręcznością właściwą żeglarzom. Dziewczyna piłowała zawzięcie, podczas gdy blask księżyca wolno pełził po posadzce ku stojącym między filarami, nieruchomym posągom.

Oliwia dyszała ciężko; zdołała już uwolnić przeguby Cymmerianina, ale pozostały jeszcze pęta na ramionach i nogach. Obrzuciła spojrzeniem posągi pod ścianami - stojące i czekające. Zdawały się spoglądać na nią ze straszliwym rozmysłem. Pijani piraci wiercili się i bełkotali przez sen. Księżycowy blask zalał salę, dotknął żelaznych figur. Oliwii udało się w końcu uwolnić ręce Conana. Wziął od niej sztylet i jednym szybkim ruchem przeciął więzy na nogach. Zrobił krok i stanął rozcierając nadgarstki, ze stoickim spokojem znosząc ból wzrastającego krążenia. Oliwia przycupnęła przy nim, trzęsąc się jak osika. Czy to tylko księżyc odbijał się w oczach czarnych posągów, każąc im tak złowrogo błyszczeć w ciemnościach?

Conan skoczył cicho i zwinnie jak dziki kot. Porwał swój miecz ze sterty leżącego w pobliżu oręża, chwycił Oliwię w ramiona i prześliznął się przez wyrwę w porośniętej bluszczem



ścianie. Nie padło ani jedno słowo. Niosąc dziewczynę w ramionach ruszył spiesznie przez skąpany w blasku księżyca płaskowyż. Dziewczyna zamknęła oczy i mocno objęła go rękami za szyję, wtulając kędzierzawą głowę w jego masywną pierś. Ogarnęło ją błogie uczucie bezpieczeństwa.

Mimo ciężaru Cymmerianin szybko przeszedł przez równinę i gdy Oliwia otworzyła oczy, zobaczyła, że już znaleźli się w cieniu skał.

- Coś wspinało się po urwisku - szepnęła. - Słyszałam, jak za mną szło...

- Musimy zaryzykować - mruknął.

- Nie boję się... teraz - dodała.

- Nie balaś się też, kiedy przyszedł mnie uwolnić - rzekł. Na Croma, co za dzień! Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego handryczenia się i targów. Prawie ogłuchłem. Aratus chciał mi poderżnąć gardło, a Ivanos, który go nienawidzi, nie pozwolił na to. Przez cały dzień warczeli i pluli na siebie, aż wszyscy się upili i nie byli w stanie opowiedzieć się po czyjejkolwiek stronie...

Conan urwał nagle i stanął jak wryty, niczym posąg z brązu. Szybkim ruchem postawił dziewczynę na ziemi i zasłonił ją sobą. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała i wrzasnęła przeraźliwie.

Z cienia zalegającego u stóp urwiska wyłonił się ogromny, niezgrabny cień - człekokształtny stwór, groteskowy wybryk natury.

W ogólnych zarysach przypominał człowieka, jednak blade światło księżyca ukazywało zwierzęce rysy, blisko osadzone oczy, sterczące uszy i wielkie, obwisłe wargi, pomiędzy których wystawały długie, białe kły. Stwór miał zmierzwiłone, srebrzystoszare futro i niezgrabne, zwisające niemal do samej ziemi, przednie łapy. Był ogromny; stojąc na krótkich, krzywych nogach o dwie głowy przewyższał Cymmerianina; jego łapska przypominały dwa sękaty pnie, a szerokość masywnej piersi i barów zapierała dech w piersi.

Oliwii świat zawirował w oczach. Oto koniec wszystkiego, pomyślała, bo jakież człowiek zdolalby stawić czoła tej górze mięśni? Jednak patrząc szeroko otwartymi z przerażenia oczyma na muskularną postać Cymmerianina stojącego między nią a potworem, dostrzegła pewne zatrwajające podobieństwo. Zdawało się, że nie było to spotkanie człowieka z bestią, ale dwóch dzikich stworzeń, równie gwałtownych i bezlitosnych. Szczerząc kły, potwór runął do ataku.

Szeroko rozłożywszy straszliwe ramiona, skoczył na barbarzyńcę z niewiarygodną wprost szybkością jak na stworzenie o tak wielkim cielsku i krzywych nogach.

Conan zareagował błyskawicznym odskokiem, tak szybkim, że Oliwia nie była w stanie pochwycić go okiem. Zauważyła tylko, że uniknął ciosu łapą, a jego miecz błysnął w świetle księżyca i opadł, odcinając jedno z sękatych ramion między barkiem a łokciem. Trysnęła fontanna posoki i odrąbana kończyzna upadła na murawę, lecz w tejże chwili bestia chwyciła Conana za włosy drugą łapą.

Tylko stalowe mięśnie uratowały Cymmerianinowi życie. Lewą ręką złapał potwora za

gardło, a kolanem zaparł się o jego brzuch. Straszliwe zmagania trwały ledwie kilka sekund, ale sparaliżowanej ze strachu dziewczynie zdawały się wiecznością.

Małpolud trzymał Conana za włosy, przyciągając jego głowę ku swej paszczy, pełnej ostrych kłów. Cymmerianin odpychał się lewą ręką, a trzymanym w prawej mieczem jak sztyletem raz po raz uderzał w pierś i brzuch przeciwnika. Bestia znosiła to w strasliwym milczeniu. Wydawało się, że upływ tryskającej ze strasznych ran krwi wcale jej nie osłabił. Nadludzka siła małpoluda wolno pokonywała opór barbarzyńcy. Głowa Conana powoli lecz nieuchronnie była przyciągana do rozdziawionej paszczy potwora. Barbarzyńca roziskrzonymi oczyma wpatrywał się w nabiegłe krwią ślepie. Wbity głęboko miecz uwiązł we włochatym cielsku i Cymmerianin daremnie próbował go wyrwać. Ociekające śliną szczęki klapnęły o cal od jego twarzy i nagle bestia padła na murawę, miotana konwulsyjnymi skurczami.

Półprzytomna Oliwia zobaczyła, jak małpolud dziwnie ludzkim gestem usiłuje wyszarpnąć wbity w pierś miecz. Po krótkiej chwili, która dziewczynie wydawała się wiekiem, ogromne cielsko zadrżało po raz ostatni i zeszywniało.

Conan podniósł się z ziemi i pokuśtykał do trupa. Dyszał ciężko i szedł jak człowiek, którego łamano kołem. Pomacał swoją okrwawioną czuprynę i zaklął widząc pasma długich, czarnych włosów wciąż zaciśnięte w owłosionej łapie potwora.

- Na Croma! - wysapał. - Czuję się jak z krzyża zdjęty! Wolalbym walczyć z tuzinem ludzi. Jeszcze moment, a byłby mi odgryzł głowę! Niech go diabli, wyrwał mi całą garść włosów!

Chwyciwszy oburącz rękojeść miecza wyszarpnął go z ciała bestii. Oliwia podeszła bliżej i chwyciwszy go za rękę, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na powalonego potwora.

- Co... co to jest? - spytała drżącym głosem.

- Szara małpa - wyjaśnił Conan. - Paskudne stworzenie żywiące się ludzkim mięsem. Zamieszkuje wzgórza wznoszące się na wschodnim brzegu Morza Vilayet. Nie wiem, w jaki sposób dostała się na wyspę. Może przydryfowała na pniu wyrwanego przez burzę drzewa.

- I to ona rzuciła w nas głazem?

- Tak; podejrzewałem to już wtedy, gdy byliśmy w lesie i zobaczyłem kołyszące się gałęzie. Te stworzenia zawsze kryją się w największej gęstwinie i rzadko stamtąd wychodzą. Nie wiem, co wyгнаło ją na otwartą przestrzeń, ale mieliśmy szczęście, że tak się stało; wśród drzew nie miałbym żadnych szans.

- Ona mnie goniła - wzdrygnęła się Oliwia. - Widziałam, jak wspinała się po urwisku.

A potem instynktownie schowała się w cieniu, zamiast pójść za tobą na płaskowyż. Ten stwór lubi ciszę i samotność, nie znosi słońca i księżyca.

- Myślisz, że jest ich tu więcej?

- Nie, w przeciwnym razie zaatakowałyby piratów przechodzących przez las. Szare małpy, mimo że tak silne, są bardzo ostrożne, o czym świadczy fakt, że ta nie zaatakowała nas w gąszczu. Jednak w końcu głód zmusił ją do zaryzykowania ataku na otwartej przestrzeni.

**Co..?**

**Conan drgnął i obróciwszy się na pięcie, spojrział w stronę obozowiska piratów. Ciemności rozdarł przeraźliwy krzyk. Natychmiast odpowiedział mu chór wściekłych wrzasków, krzyków i jęków agonii. Mimo że wtórował im brzęk stali, dźwięki te nasuwały raczej myśl o masakrze niż bitwie. Conan stał ze zmarszczonymi brwiami, a przerażona dziewczyna przywarła doń kurczowo. Kiedy zgiełk bitwy zmienił się w ogłuszający ryk mordowanych, Cymmerianin odwrócił się i szybko ruszył ku krawędzi płaskowyżu i skąpanemu w blasku księżyca lasowi. Oliwii tak bardzo trzęsły się kolana, że nie była w stanie iść. Conan wziął ją na rękę i natychmiast poczuł, jak uspokaja się jej mocno bijące serce.**

**Przeszli przez mroczny gąszcz, w każdej chwili spodziewając się ataku, ale zarośla nie kryły nowego niebezpieczeństwa; nigdzie też nie dostrzegli śladu przeciwnika. Nocne ptaki szczebiały sennie. Odgłosy rzezi z wolna cichły w dali. Gdzieś przeraźliwie wrzasnęła papuga, powtarzając niczym upiorne echo:**

**- Yagkoolan, yok tha, xuthalla!**

**W końcu dotarli do porośniętego drzewami brzegu i ujrzeli bielejące w świetle księżyca żagle zakotwiczonej w zatoczce galery.**

**Gwiazdy zaczęły blednąć, zapowiadając świt.**

W szarym blasku poranka gromadka obszarpanych, zbryzganych krwią postaci wypadła z lasu na wąską plażę. Nie było ich wielu - resztki butnej, pirackiej załogi. Ciężko dysząc skoczyli do wody i zaczęli brnąć ku zbawczej burcie okrętu, gdy zatrzymał ich okrzyk z rufy.

Na tle jaśniejącego nieba ujrzeli olbrzymią postać z mieczem w dłoni i rozwianą na wietrze grzywą czarnych włosów.

- Stać! - usłyszeli. - Nie zbliżać się. Czego chcecie, psy?

- Pozwól nam wejść na pokład! - krzyknął zarośnięty łotr, trzymając się ręką za resztki ucha. - Odplyniemy z tej diabelskiej wyspy!

- Rozwałę łeb pierwszemu, który spróbuje wejść na pokład - obiecał im Cymmerianin.

Wprawdzie piraci mieli miazdzącą przewagę liczebną, ale stracili chęć do walki. Conan był panem sytuacji.

- Pozwól nam wejść na pokład, dobry człowieku – jęknął Zamoranin w czerwonej przepasce na biodrach, oglądając się lękliwie przez ramię. - Zostaliśmy napadnięci z nienacka i pobici; jesteśmy tak utrudzeni walką i ucieczką, że nie mamy już siły.

- Gdzie ten pies Aratus? - dopytywał się Conan.

- Martwy, tak jak wielu innych! Napadły na nas demony! Zanim się przebudziliśmy, rozszarpały tuzin naszych kamratów! Ruiny zaroily się ognistookimi widmami uzbrojonymi w kły i pazury!

- Tak! - dodał inny pirat. - To były demony, które przybrały postać posągów, by nas omamić. Na Isztar! Nocowaliśmy w jaskini lwów. Nie jesteśmy tchórzami. Walczyliśmy z nimi tak długo, jak długo zwykły śmiertelnik może opierać się mocom ciemności. Później uciekliśmy zostawiając im trupy naszych towarzyszy. Jednak z pewnością będą nas ścigać.

- Tak, daj nam wejść na statek! - wrzasnął chudy Shemita. - Pozwól nam wejść po dobroci, albo wdrzemy się siłą i choć jesteśmy tak znużeni, że bez wątpienia wielu nas zginie, to nie zdołasz zabić wszystkich.

- Wtedy wybiję dziurę w burcie i zatopię statek – odparł ponuro Cymmerianin i gromkim okrzykiem uciszył chóralny jęk, jakim piraci przyjęli jego słowa. - Psy! Czy mam pomagać wrogom? Mam was wpuścić na pokład, żebyście poderżnęli mi gardło?

- Nie, nie! - zapewniali pospiesznie. - Nie wrogów, lecz przyjaciół! Będziemy kompanami, Conanie! Razem popłyniemy na morze! Przecież wszyscy nienawidzimy króla Turanu!

Nie odrywali oczu od jego groźnie zmarszczonej, brązowej od słońca twarzy.

- A więc jednak należę do Bractwa - mruknął. - A skoro zabiłem waszego przywódcę w uczciwej walce, to zgodnie z prawem jestem teraz waszym kapitanem!

Nikt się nie sprzeciwiał. Piraci byli zbyt przestraszeni i zgnębieni, aby myśleć o czymś innym niż o jak najszybszym opuszczeniu wyspy. Conan spojrział na Korynthianina.

- No co, Ivanos - zawołał. - Raz już stanąłeś w mojej obronie. Poprzesz mnie i teraz?

- Tak, na Mitrę! - zorientowawszy się w sytuacji pirat pragnął wkraść się w łaski nowego kapitana. - On ma rację, chłopcy! Według zwyczaju jest naszym kapitanem!

Odpowiedział mu chór potakiwań, może trochę pozbawionych entuzjazmu, lecz niewątpliwie szczerych, co gwarantował zielony gąszcz za ich plecami, z którego w każdej chwili mogły wypaść czarne demony o płonących ślepiach i ostrych pazurach.

- Przysięgnijcie na mieczach - zażądał Conan.

Las rękojęści wyciągnął się ku niemu wiernopoddańczym gestem i wielogłosy chór ślubował mu posłuszeństwo.

Cymmerianin uśmiechnął się i schował miecz do pochwy.

- Wchodźcie na pokład, dzielni żeglarze, i bierzcie się do wiosel!

Odwrócił się do skulonej za nadburciem Oliwii i postawił ją na nogi.

- A co ze mną, kapitanie? - spytała.

- A co byś chciała? - odparł, przypatrując jej się zwężonymi oczyma.

- Pójść z tobą, dokądkolwiek się udasz! - krzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję.

Gramolący się na burty piraci wybałuszyli oczy.

- Chcesz popłynąć na szlak krwi i rzezi? - zapytał. - Dokądkolwiek popłynie ten statek, zostawi na wodzie krwawy ślad.

- Tak - odrzekła z uczuciem. - Popłynę z tobą po wodach błękitnych czy krwawych. Ty jesteś barbarzyńcą, a ja wyrzutkiem bez domu i ojczyzny. Oboje jesteśmy pariasami, wiecznymi wędrowcami... Och, weź mnie ze sobą!

Conan wybuchnął śmiechem i przycisnął wargi do jej warg.

- Uczynię cię królową Morza Vilayet! Podnieście kotwicę, psy! Na Croma, zalejemy jeszcze Yildizowi sadła za skórę!

## Skarby Gwahlura

(Jewels of Gwahlur)

*I znów Conan obejmuje dowództwo pirackiej karaweli, tym razem na Morzu Vilayet. Niestety, krótko trwa jego pirackie żeglowanie. Udaje się więc do Czarnych Królestw gnany legendą o klejnotach Gwahlura, ukrytych gdzieś w Keshanie. By zdobyć dokładniejsze informacje o mitycznym skarbie, zaciąga się jako najemnik na dworze króla Keshanu.*

## 1. ŚCIEŻKI INTRYGI

Nad dżunglą wznosiły się pionowe ściany skalne - wyniosłe szańce z kamienia lśniącego błękitnie i karmazynowo we wschodzącym słońcu, niknęły daleko, daleko na wschodzie i zachodzie, górując nad falującym, szmaragdowym oceanem liści. Ta gigantyczna palisada o pionowych flankach twardej skały, w której okruchy kwarcu odbijały słoneczny blask, zdawała się być niezdobytą. A jednak pracowicie pnący się ku górze człowiek znajdował się już w połowie drogi na szczyt. Pochodził z rasy górali, przyzwyczajonych do wspinaczki na niedostępne turnie, a także był mężczyzną niezwyklej siły i zręczności. Jego jedynym odzieniem była para krótkich spodni z czerwonego jedwabiu. Sandały miał przywiązane na plecach, razem z mieczem i sztyletem, co zapewniało mu większą swobodę ruchów. Był to człowiek silnie zbudowany, gibki jak pantera, o skórze zbrązowiałej od słońca, z prosto przyciętą czarną grzywą włosów przytrzymywanych na skroniach srebrną opaską. Żelazne mięśnie, sokoli wzrok i pewne nogi dobrze mu służyły przy wspinaczce, na drodze jakby stworzonej do sprawdzenia tych zalet. Sto pięćdziesiąt stóp pod nim falowała dżungla, tyleż powyżej grań wbijała się w niebo poranka.

Mozolił się jak ktoś wiedziony pośpiechem, lecz mimo to musiał poruszać się w żółwym tempie. Przywierając do ściany jak mucha, macając na oślep rękami i nogami wyszukiwał wgłębienia i uchwyty w najlepszym razie ryzykowne i czasami dosłownie zawisał na czubkach palców. Mimo to szedł w górę, nieledwie zębami i pazurami walcząc o każdą stopę. Chwilami zatrzymywał się, dając odpocząć obolałym mięśniom i strząsając pot zalewający oczy, odwracał głowę, aby spojrzeć badawczo na rozciągającą się w dole dżunglę, szukając w zielonej przestrzeni śladu ludzkiego życia czy jakiegoś ruchu.

Był już blisko szczytu, gdy dostrzegł, że kilka stóp nad nim w pionowej ścianie skały znajduje się wylom. W chwilę później dotarł tam - do małej groty tuż przed krawędzią grani. Wspierając się na łokciach zajrzał do wnętrza i jęknął. Grota była niewielka, zaledwie nieco większa od niszy wyciętej w skale, ale miała mieszkańca.

W małej pieczarze siedziała mumia; brązowa, pomarszczona, ze skrzyżowanymi nogami, rękami założonymi na zapadniętej piersi i pochyloną głową. Niewyprawione rzemienie, które teraz stanowiły zaledwie przegniłe włókna, przytrzymywały kończyny mumii w tej pozycji. Jeżeli postać ta była kiedyś odziana, to wpływ czasu już dawno zamienił jej strój w proch. Jednak wciśnięty między skrzyżowane ramiona a wyschniętą pierś tkwił zwój pergaminu, pożółkły z wiekiem na kolor starej kości słoniowej. Wspinacz sięgnął ramieniem i wyszarpnął rulon. Nie oglądając wepchnął go za pas i podciągnął ciało, aż stanął na skraju groty. Podskoczył i chwyciwszy krawędź grani wciągnął się na szczyt niemal jednym skokiem.

Stanął ciężko dysząc i spojrzął przed siebie. Poczul się tak, jakby zajrzał do wnętrza ogromnej czary o ścianach z granitu. Jej dno pokryte było drzewami i inną bardziej zwartą roślinnością, nigdzie jednak nie osiagającą gęstości porównywalnej z dżunglą rozpościerającą się na zewnątrz. Ściany skalne otaczały dolinę jednolitym pierścieniem. Był to wybryk natury chyba nie mający odpowiednika w całym świecie: o wnętrzu jak naturalny amfiteatr, z owalnym

skrawkiem leśnej równiny o średnicy trzech czy czterech mil, odcięty od reszty świata i otoczony pierścieniem skał jak palisadą. Jednak mężczyzna na grani nie pograżył się w podziwie nad tym fenomenem topograficznym. Z napiętą uwagą wpatrywał się w wierzchołki drzew rosnących w dole i wydał głębokie westchnienie ulgi, gdy uchwycił błysk marmurowych kopuł wśród migoczącej zieleni. Nie był to więc mit - pod nim leżał słynny i opuszczony pałac Alkmeenonu.

Conan Cymmerianin, niegdyś mieszkaniec Wysp Baracha, Czarnego Wybrzeża i wielu innych krain, gdzie życie toczy się burzliwie, przybył do Królestwa Keshanu zwabiony legendarnym skarbem zaćmiewającym ponoć skarby królów Turanu.

Keshan był barbarzyńskim królestwem leżącym na wschodzie, w głębi kraju Kush, gdzie rozległe pastwiska zlewały się z napływającymi od południa lasami. Lud jego był mieszaniną ras; smagli arystokraci zarządzili społecznością składającą się głównie z Murzynów, a będący u władzy książęta i arcykapłani utrzymywali, iż wywodzą się z rasy białej rządzącej w mitycznych czasach królestwem, którego stolicą był Alkmeenon. Sprzeczne legendy próbowały wyjaśnić przyczynę ostatecznego upadku królestwa i opuszczenia miasta przez ocalałych. Równie mgliste były opowieści o Zębach Gwahlura - skarbie Alkmeenonu. Jednakże te owiane mgłą legendy wystarczyły, by przywieść Conana do Keshanu, przez rozległe równiny, góry i pociętą rzekami dżunglą.

Odnalazł Keshan, który sam w sobie był uważany za mityczny przez wiele ludów północy i zachodu, oraz usłyszał dość, by potwierdzić plotki o skarbie zwanym przez ludzi Zębami Gwahlura. Nie zdołał jednak dowiedzieć się miejsca ukrycia skarbu i stanął wobec konieczności wyjaśnienia swojej obecności w Keshanie. Przybysze bez zajęcia nie byli tam mile widziani.

Nie przejął się tym. Z chłodną pewnością siebie zaoferował usługi majestatycznym, przybranym w pióra i podejrzliwym grandom wspaniałego, barbarzyńskiego dworu. Był zawodowym wojownikiem. Przybył do Keshanu (tak powiedział) w poszukiwaniu zajęcia. Za pieniądze mógłby wyćwiczyć armię królestwa i poprowadzić przeciw odwiecznym wrogom - Puntjczykom, których ostatnie sukcesy w polu wywołały wściekłość skorego do gniewu króla Keshanu.

Propozycja ta nie była taką bezczelnością, jaką mogła się wydawać. Sława Conana poprzedziła go nawet w odległym Keshanie; jego czyny jako wodza czarnych korsarzy, tych wilków południowych wybrzeży, uczyniły jego imię znanym, podziwianym i wywołującym strach na ziemiach Czarnych Królestw. Nie wymawiał się od sprawdzianów obmyślonych przez smagłych panów. Nieustające potyczki na granicach dostarczyły Cymmerianinowi mnóstwo sposobności do zademonstrowania zręczności w walce wręcz. Jego dzikie zuchwalstwo wywarło wielkie wrażenie na panach Keshanu, którzy zdali sobie sprawę, że umiejętność dowodzenia nie jest obca Cymmerianinowi. Wszystko zaczęło się układać po jego myśli, jako że pragnął tej jednej, jedynej rzeczy - pracy dającej wymówkę do pozostania w Keshanie wystarczająco długo, aby odnaleźć miejsce ukrycia Zębów Gwahlura. Lecz wkrótce pojawiły się pierwsze przeszkody. Na czele misji dyplomatycznej z Zembabwei przybył do Keshanu Thutmekri.

Stygijczyk Thutmekri - awanturnik i łajdak, którego spryt stał się rekomendacją dla obu



królów wielkiego, kupieckiego królestwa leżącego o wiele dni marszu na wschód. Znali się z Cymmerianinem od dawna nie żywiąc do siebie przyjaznych uczuć. Thutmekri uczynił podobną jak on propozycję władcy Keshanu, również dotyczącą podboju Puntu, które to królestwo, nawiasem mówiąc, leżące na wschód od Keshanu, wypędziło kupców Zembabwei i spaliło ich fortece. Jego oferta przeważała nawet prestiż Conana. Stygijczyk ofiarowywał się bowiem najechać na Punt ze wschodu z chmarą czarnych oszczepników, shemickich łuczników oraz zbrojnych w miecze najemników, i dopomóc władcy Keshanu w podboju wrogiego królestwa. Dobroduszni królowie Zembabwei pragnęli jedynie monopolu na handel z Keshanem i jego lennikami, oraz jako świadectwa dobrej woli, nieco Zębów Gwahlura. Bynajmniej nie w celach użytkowych, pospieszył wyjaśnić podejrzliwym wodzom Thutmekri; byłyby one umieszczone w świątyni Zembabwei obok przysadzistych, złotych posągów Dagona i Derkety, jak uświęceni goście w najświętszym miejscu królestwa, dla przypieczętowania ugody między Keshanem a Zembabwei. To oświadczenie przywiodło grymas uśmiechu na usta Conana.

Cymmerianin nie próbował mierzyć się sprytem i intrygami z Thutmekrim i jego shemickim partnerem - Zarghebą. Wiedział, że jeżeli Thutmekri wygra w tym przetargu, będzie nalegał na natychmiastowe wypędzenie rywala. Conan mógł zrobić tylko jedno: znaleźć klejnoty, zanim władca Keshanu podejmie decyzję, i uciec z nimi. Był już przekonany, że kamieni nie ukryto w Keshii, królewskim mieście będącym kupą krytych strzechą chat, stłoczonych wokół glinianej ściany otaczającej pałac z błota, kamieni i bambusa.

Kiedy Conan płonął z nerwowej niecierpliwości, najwyższy kapłan Gorulga oznajmił, że zanim zostanie powzięta jakakolwiek decyzja należy się upewnić, jaka jest wola bogów co do proponowanego przymierza z Zembabwei i ofiarowania przedmiotów, od dawna uważanych za święte i nienaruszalne. Należy wysłuchać wyroczni Alkmeenonu.

Była to straszliwa wieść i wywołała nie kończącą się gadaninę zarówno w pałacu jak i w chatach. Od stu z górą lat kapłani nie odwiedzali wymarłego miasta. Wyrocznia, mówili ludzie, to księżniczka Yelaya - ostatnia władczyni Alkmeenonu, która zmarła w pełnym kwiecie swej młodości i piękna, a jej ciało cudownym sposobem pozostało nie zmienione przez wieki. W dawnych czasach kapłani odkryli drogę do nawiedzonego miasta i ona nauczyła ich mądrości. Lecz ostatni kapłan, który udał się do wyroczni, był niegodziwcem, próbującym ukraść przedziwnie szlifowane klejnoty zwane przez ludzi Zębami Gwahlura. Przeznaczenie jednak dopadło go w opuszczonym pałacu, a jego pomocnicy, którzy uszli z życiem opowiadali tak przerażające historie, że przez następne stulecie nikt nie odważył się zbliżyć do miasta i samej wyroczni.

Gorulga, obecny arcykapłan, przekonany o swej uczciwości oznajmił, że wyruszy jednak z gromadą wyznawców, by wskrzesić starodawny obyczaj. W powszechnym podnieceniu mielono niedyskretne językami i Conan uchwycił ślad, którego szukał od wielu tygodni - posłyszany szept jednego z niższych kapłanów sprawił, że Cymmerianin wymknął się nocą z Keshii, nim nadszedł świt, a kapłani wyruszyli w drogę. Jadąc najszybciej jak mógł przez noc, dzień i noc, przybył wczesnym rankiem do skał Alkmeenonu, leżącego w południowo-zachodnim krańcu królestwa, pośród nie zamieszkanego dzungli będącej tabu dla zwykłych ludzi. Nikt prócz kapłanów nie ośmielał się zbliżyć do nawiedzonej doliny, a od stu lat nawet oni nie

wchodzili do Alkmeenonu. Żaden człowiek nie zdołał przebyć tych skalnych ścian, mówiły legendy, i nikt oprócz kapłanów nie znał sekretnego wejścia do doliny. Conan nie tracił czasu na szukanie tej drogi. Urwiska odstraszaające czarnych ludzi - jeźdźców i mieszkańców równin leśnych nie były niedostępnymi dla człowieka urodzonego wśród surowych wzgórz Cymmerii.

Teraz spoglądał ze szczytu skał na owalną dolinę i zastanawiał się, jaka to zaraza, wojna czy przesąd wywiodły ludzi tej dawnej białej rasy z ich warowni tak, że zmieszali się i zostali wchłonięci przez czarne szczepy, które ich otaczały.

Ta dolina była ich cytadelą. Tutaj stał pałac, w którym mieszkała tylko rodzina królewska i jej dwór. Samo miasto znajdowało się na zewnątrz skalnego pierścienia. Dżungla skrywała jego ruiny zieloną gęstwiną roślinności. We wnętrzu doliny jednak błyszczały wśród listowia kopuły nietkniętych ruiną wież królewskiego pałacu Alkmeenonu, który oparł się niszczącemu działaniu czasu.

Conan przerzucił nogę przez grań i zaczął sprawnie schodzić w dół. Wewnętrzne ściany skalne były bardziej poszarpane, nie tak strome. Cymmerianin opuścił się na pokryte murawą dno doliny w czasie niemal o połowę krótszym od tego, jaki był mu potrzebny do wdrapania się na urwisko.

Z dłonią opartą na rękojeści miecza rozejrzał się bacznie wokół. Nie miał wprawdzie powodu, by podejrzewać o kłamstwo ludzi mówiących, że Alkmeenon jest pusty, opuszczony i nawiedzany tylko przez duchy martwej przeszłości, ale podejrzliwość i czujność leżały w naturze Conana. Cisza zdawała się tu być odwieczną; nawet liść nie drgnął na gałęzi. Kiedy pochylił się, by zajrzeć pod drzewa, nie ujrzał nic prócz maszerujących szeregów pni wchodzących w dal, niebieskawy mrok głębokiego lasu. Mimo to szedł czujnie, z obnażonym mieczem w dłoni, niespokojnymi oczyma przeszukując cienie po bokach, stąpając sprężysto, bezgłośnie po murawie.

Dookoła widział wiele śladów dawnej cywilizacji; marmurowe fontanny, ciche i kruszejące stały w kręgach mniejszych drzew o kształtach zbyt symetrycznych, aby były naturalnym zbiegiem okoliczności.

Gęstwina lasu i krzaków zalała dokładnie zaplanowane gaje, ale ich zarysy dawały się jeszcze zauważyć. Pod drzewami biegły szerokie chodniki, teraz popękane, z trawą wyrastającą ze szczelin. Dojrzał też ściany ze zdobnymi okapami; kratownice wykute w kamieniu, które musiały kiedyś być ścianami pawilonów wypoczynkowych. Przed nim zaś, za drzewami lśniły marmurowe kopuły i w miarę jak się zbliżał, ogrom podtrzymującej je konstrukcji stawał się coraz bardziej widoczny. Przepychając się przez zasłonę oplatanych winoroślą gałęzi, dotarł do niemalże otwartej przestrzeni, gdzie krzaki rosły mniej gęste, a drzewa rozstępowały się.

Ujrzał przed sobą szeroki, podparty filarami portyk pałacu. Wchodząc po wielkich marmurowych stopniach zauważył, że budynek zachował się w daleko lepszym stanie niż pomniejsze budowle, które widział wśród krzewów. Grube mury i masywne filary były najwidoczniej zbyt potężne, by skruszeć pod ciosami czasu i żywiołów. Zawisła tu jednak ta sama co w gęstwinie niemalże zaczarowana cisza. Nawet powolne stąpanie obutych w sandały

**stóp Cymmerianina zdawało się niepokojąco głośnie w panującym bezruchu.**

**Gdzieś w tym pałacu znajdował się wizerunek lub posąg, który w dawnych czasach służył kapłanom Keshanu za wyrocznię. Gdzieś w pałacu - chyba, że niedyskretny kapłan plótł głupstwa - był też ukryty skarb zapomnianych władców Alkmeenonu.**

**Conan wszedł do szerokiej i wyniosłej sali pełnej kolumn, pomiędzy którymi rozwierały się lukowate otwory po dawno zbutwiałych drzwiach. Minął mroczny przedsionek i na jego drugim końcu przeszedł przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi z brązu. Były półotwarte, jakby niedomknięto ich przed wiekami. Znalazł się w rozległej, kopulastej komnacie, która musiała służyć królom Alkmeenonu jako sala posłuchań.**

**Sala miała kształt ośmiokąta, a wielka kopuła, w jaką zakrzywiał się wyniosły sufit została najwidoczniej zręcznie przedziurawiona, gdyż w komnacie było znacznie jaśniej niż w przedsionku, który do niej prowadził. W odległym końcu wielkiej sali wznosiło się podium, na które wiodły szerokie stopnie z lapis lazuli, a na nich stał masywny fotel ze zdobnymi poręczami i wysokim oparciem, na którym kiedyś bez wątplenia wspierał się złotem przetykany baldachim.**

**Conan mruknął coś pod nosem i oczy mu zabłysły. Stał przed nim znany z niezliczonych legend złoty tron Alkmeenonu!**

**Cymmerianin ocenił jego wagę doświadczonym okiem. Sam tron stanowiłby już fortunę, gdyby tylko zdołał go stąd wytaszczyć. Przepych rozpałał wyobraźnię Conana i sprawił, że Cymmerianin zaplonał z niecierpliwości. Swędziały go palce i już widział, jak zanurza je w klejnotach opisywanych przez bazarzy na placach targowych Keshii, którzy powtarzali opowieści podawane z ust do ust przez stulecia - o kamieniach, jakich drugich nie ma w świecie; rubinach, szmaragdach, diamentach, opalach, szafirach - całym bogactwie starożytnego świata.**

**Conan spodziewał się, że znajdzie posąg bogini siedzącej na tronie, lecz skoro go tam nie zobaczył, uznał, że wyrocznię umieszczono w innej części pałacu - o ile oczywiście w ogóle istniał jakiś jej posąg czy wizerunek. Jednak od chwili, gdy zwrócił twarz ku Keshanowi, tak wiele mitów okazało się rzeczywistością, że nie wątpił w znalezienie jakiegoś wizerunku lub bożka.**

**Za tronem znajdowały się wąskie, lukowate drzwi, które w czasach, gdy Alkmeenon tętnił życiem, były niewątpliwie ukryte za grubymi zasłonami. Conan zajrzał tam i zobaczył, że prowadzą do pustej alkowy, z której wychodzi pod kątem prostym wąski korytarz. Odwrócił się i dostrzegł inne wejście znajdujące się z lewej strony podium. W odróżnieniu od innych to wejście było zaopatrzone w drzwi. I nie były to zwykłe drzwi. Portal wykonano z tego samego metalu co tron, pokryto go także wieloma dziwnymi arabeskami. Pod dotknięciem Conana drzwi otworzyły się tak gładko, jakby miały świeżo naoliwione zawiasy.**

**Wszedł do środka, przystanął i spojrział w głąb pomieszczenia. Znajdował się w kwadratowej komnacie o niewielkich wymiarach, której marmurowe ściany wznosiły się ku zdobionemu sufitowi inkrustowanemu złotem. U podstawy i u szczytu ścian biegły złote fryzy; nie było innych drzwi niż te, którymi wszedł. Te szczegóły zauważył mimowolnie, bowiem całą swoją uwagę skupił na postaci leżącej przed nim na postumencie z kości słoniowej.**

Spodziewał się posągu, wyrzeźbionego ze zręcznością starożytniej sztuki. Jednak żadna sztuka nie mogła tak wiernie oddać doskonałości leżącej przed nim postaci. Nie był to wizerunek z kamienia, metalu czy kości słoniowej. Było to rzeczywiste ciało kobiety i Conan nie próbował nawet zgadnąć, jaką tajemniczą sztuką starożytnych zachowano je w nietkniętym stanie przez tyle wieków. Odzież, którą nosiła, również była nietknięta przez czas. Na widok tego Conan zachmurzył się, czując podświadomy, dziwny niepokój. Sztuka, dzięki której zachowało się ciało, nie mogła działać na ubiór. Mimo to księżniczka miała na sobie parę złotych napierśników z koncentrycznymi kręgami małych klejnotów, pozłacane sandały i krótką jedwabną spódniczkę podtrzymywaną paskiem wysadzonym kamieniami. Ani materiał, ani metal nie nosiły śladu zniszczenia.

Yelaya emanowała chłodnym pięknem, nawet po śmierci. Ciało jej było jak alabaster - wiotkie, lecz zmysłowe, a wielki szkarłatny kamień błyszczał na tle ciemnej fali włosów.

Conan stał przez chwilę patrząc na nią, a potem opukał mieczem postument. Przyszła mu na myśl możliwość istnienia schowka zawierającego skarb, lecz postument dawał solidny dźwięk. Odwrócił się i niezdecydowany przemierzał komnatę. Gdzie powinien szukać najpierw? Miał zbyt mało czasu. Kapłan, którego paplaninę z kurtyzaną podsłuchał, twierdził, że skarb jest ukryty w pałacu, ale to oznaczało bardzo rozległy obszar poszukiwań. Conan zastanowił się, czy nie powinien ukryć się i poczekać, aż kapłani przyjdą i odejdą, a potem wznowić poszukiwania. Istniało jednak ryzyko, że wracając do Keshii mogą zabrać kamienie ze sobą. Cymmerianin był przekonany, że Thutmekri przekupił Gorulgę.

Znając Thutmekriego, Conan mógł przewidzieć jego plany. Wiedział, że to Thutmekri zaproponował królom Zembabwei podbicie Puntu, co było zaledwie pierwszym krokiem do ich prawdziwego celu - przechwycenia Zębów Gwahlura. Przezorni królowie musieli zażądać dowodu, że skarb naprawdę istnieje, nim zrobią jakiś ruch. Kamienie, jakich Thutmekri zażądał jako rękojmi, byłyby takim dowodem. Przekonani o istnieniu skarbu, królowie Zembabwei ruszyliby. Punt zostałby najechany jednocześnie ze wschodu i zachodu, ale Zembabweiczycy postaraliby się, żeby armie Keshanu wykonały większość roboty. Potem, kiedy zarówno Punt, jak i Keshan będą wyczerpane walką, Zembabweiczycy zgniotą oba narody, ograbią Keshan i siłą zabiorą skarb, nawet jeżeli będą musieli w tym celu zburzyć każdy budynek i torturować każdą żywą istotę w królestwie.

Jednak zawsze istniała druga możliwość; gdyby Thutmekri zdołał położyć ręce na skarbie, typowym dla tego człowieka byłoby oszukać swoich pracodawców, ukraść kamienie dla siebie i zwinąć manatki zostawiając emisariuszom Zembabwei cały kłopot. Conan był przekonany, że zasięganie opinii wyroczni było tylko fortelem mającym sprawić, by król Keshanu przychylił się do próśb Thutmekriego, gdyż ani przez chwilę nie wątpił, że Gorulga jest równie chytrym łajdakiem jak cała reszta zamieszanych w ten wielki szwindel. Conan nie próbował porozumieć się z arcykapłanem; nie mógł zaproponować wyższej łapówki, a gdyby spróbował, oznaczałoby to odkrycie wszystkich swoich kart Stygijczykowi. Goruiga wydałby Cymmerianina i za jednym zamachem upewniając lud o swej uczciwości, pozbyłby się rywala Thutmekriego. Conan zastanawiał się, jak Thutmekri przekupił kapłana i co mógł zaproponować człowiekowi, który miał w rękach największy ze skarbów. W każdym razie był

pewny, że wyrocznia orzeknie, iż wołą bogów jest, by Keshan spełnił życzenia Thutmekriego, a także doda kilka szczegółowych wskazówek dotyczących jego, Conana, osoby. Zbyt gorąco byłoby potem Conanowi w Keshii, zresztą odjeżdżając ostatniej nocy nie miał wcale zamiaru tam wracać.

Komnata wyroczni nie dostarczyła mu żadnej wskazówki. Ruszył do wielkiej sali posłuchań i chwycił za tron. Był ciężki, ale zdołał go odchylić. Marmurowa płyta pod nim była jednolita. Ponownie wszedł do alkowy. Uczepił się myśli o sekretnej krypcie w pobliżu wyroczni. Zaczął starannie opukiwać ściany i wreszcie, w miejscu leżącym naprzeciw wąskiego korytarza, odpowiedział mu pusty dźwięk. Patrząc z bliska zauważył, że w tym miejscu szpary między sąsiednimi blokami są szersze niż zwykle. Włożył czubek sztyletu i nacisnął.

Blok odchylił się cicho, odsłaniając niszę w ścianie i nic więcej. Zaklął z pasją. Otwór był pusty i nie wyglądał jakby kiedykolwiek służył za miejsce ukrycia skarbu. Zaglądając do środka ujrzał system małych otworów w ścianie, mniej więcej na poziomie ludzkiej twarzy. Zerknął przez nie i mruknął coś ze zrozumieniem. Ściana oddzielała alkowę od komnaty z wyrocznią. Od strony komnaty otwory były niewidoczne. Conan uśmiechnął się. To wyjaśniało tajemnicę wyroczni, chociaż było mniej subtelne niż się spodziewał. Gorulga umieściłby w tej niszy jakiegoś zaufanego sługę lub sam osobiście przemówiłby przez otwory i łatwowierni czarnoskórzy wyznawcy uznaliby to za prawdziwy głos Yelayi.

Nagie Cymmerianin przypomniał sobie o czymś. Wydobył zwój pergaminu zabrany mumii i rozwinął go ostrożnie - zwój wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki ze starości. Barbarzyńca zachmurzył się nad wyblakłymi znakami pokrywającymi pergamin. W swoich włóczęgach po świecie wielki awanturnik nabył wiele, powierzchownej co prawda, wiedzy, a szczególnie umiejętności czytania i mówienia w wielu obcych językach. Wielu uczonych mędrców byłoby zdumionych zdolnościami językowymi Conana, gdyż doświadczył on wielu przygód, w których znajomość obcego języka stanowiła różnicę między życiem a śmiercią.

Znaki były zagadkowe; znajome i niezrozumiałe jednocześnie. Wreszcie znalazł przyczynę. To były znaki pradawnego języka Pelishtów, w wielu szczegółach różniące się od obecnego, znanego mu, a który trzysta lat temu uległ zmianom, gdy Pelishci zostali podbici przez szczepy koczowników. Stary, pozbawiony naleciałości, język rękopisu zbił go z tropu. Wyłowił powtarzający się zwrot, w którym rozpoznał słowo: Bit-Yakin. Uznał, że było to imię piszącego.

Zmarszczył brwi i nieświadomie poruszał wargami zmagając się z trudnym zadaniem, lecz przebrnął przez manuskrypt, choć znacznej jego części nie zdołał przetłumaczyć i niewiele zrozumiał z reszty. Przyjął jednak, że autor, tajemniczy Bit-Yakin, przybył z daleka ze swymi sługami i dostał się do doliny Alkmeenonu. Następna, spora część tekstu nie miała dla Conana sensu, usiana nieznanymi zwrotami i znakami. O ile mógł zrozumieć, chodziło o upływ długiego okresu czasu. Imię Yelayi powtarzało się często, a pod koniec rękopisu stało się jasne, że Bit-Yakin wiedział o swej rychłej śmierci. Z lekkim wzdrygnięciem Conan uświadomił sobie, że mumia w grocie musiała być szczątkami autora manuskryptu, tajemniczego Pelishty - Bit-Yakina. Umarł, tak jak przepowiadał i najwidoczniej jego słudzy umieścili ciało pana w tej

otwartej krypcie na stromej ścianie skalnej, zgodnie z przedśmiertnymi wskazówkami.

Dziwne było tylko to, że o Bit-Yakinie nie wspominały żadne legendy. Niewątpliwie przybył do doliny, kiedy była już opuszczona przez pierwotnych mieszkańców - tak głosił rękopis - ale zadziwiającym było, że kapłani przychodzący w dawnych dniach, by wysłuchać wyroczni, nie widzieli tego człowieka lub jego sług. Conan był pewny, że mumia i pergamin liczyły więcej niż sto lat. Bit-Yakin zamieszkiwał w pałacu w czasach, gdy kapłani przychodzili pokłonić się martwej Yelayi. A jednak legendy milczały o tym, mówiąc tylko o opuszczonym mieście umarłych.

Dlaczego zamieszkiwał w tym ponurym miejscu i ku jakiemu nieznanemu przeznaczeniu wyruszyli jego słudzy pochowawszy ciało pana?

Conan wzruszył ramionami, wepchnął rękopis z powrotem za pas i zeszywniał nagle, a ciarki przebiegły mu po grzbiecie. W sennej ciszy pałacu niespodziewanie rozległ się głęboki, niepokojący dźwięk wielkiego gongu!

Przyczajony jak wielki kot, Cymmerianin odwrócił się ściskając w dłoni obnażony miecz i spojrzął w wąski korytarz, z którego zdawał się dobiegać niepokojący dźwięk. Czyżby przybyli kapłani Keshii? Wiedział, że to nieprawdopodobne; nie mieli dość czasu na dotarcie do doliny. Jednak gong był bezsprzecznym świadectwem ludzkiej obecności.

W zasadzie Conan był zwolennikiem prostych rozwiązań. Odrobinę subtelności, jaką posiadał, nabył stykając się z bardziej przebiegłymi umysłami i zaskoczony znieacka jakimś nieoczekiwanym wydarzeniem reagował zgodnie ze swą naturą. Teraz więc, zamiast ukryć się lub oddalić cicho w przeciwną stronę, jak zrobiłby to przeciętny człowiek, pobiegł korytarzem w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Sandały Cymmerianina nie czyniły więcej hałasu niż stąpienia pantery, jego oczy zwiężyły się w szparki, a usta wykrzywił dziki grymas. Niespodziewany dźwięk przepoił go chwilowym lękiem, a barbarzyńca zawsze łatwo wpadał w prymitywny szal wściekłości wywołany zagrożeniem. Właśnie wypadł zza zakrętu korytarza na mały dziedziniec, gdy coś błyszczącego w słońcu przykuło jego wzrok. Był to gong; wielki, złoty dysk zawieszony na złotym ramieniu wystającym z kruszejącego muru. Spiżowy młotek leżał w pobliżu, lecz nikogo nie było widać ani słyszać. Otaczające dziedziniec lukowate wejścia ziały pustką. Conan przyczaił się w drzwiach przez - jak mu się wydawało - długą chwilę.

Ani dźwięku, ani ruchu.

Jego cierpliwość wyczerpała się w końcu; skradął się dookoła dziedzińca zaglądając w lukowate przejścia, gotowy odskoczyć błyskawicznie lub uderzyć w prawo czy lewo, jak kobra. Dotarł do gongu i zajrzał w najbliższe drzwi. Zobaczył tylko mroczną, zaśmieconą gruzem komnatę. Wypolerowane, marmurowe płyty wokół gongu nie nosiły śladu stóp, ale czuł jakiś zapach w powietrzu - słaby odór, którego nie mógł rozpoznać; nozdrza rozdymały mu się jak dzikiemu zwierzęciu, gdy mozolił się, by tę woń określić.

Conan ruszył ku drzwiom i ... wyglądające na solidne, marmurowe płyty rozpekły się pod jego stopami i zapadły z przerażającą gwałtownością. Wpadając zdążył jeszcze rozrzucić szeroko ramiona i uchwycić brzegi ziejącego pod nim otworu. Krawędzie rozkruszyły się

**jednak pod czepiającymi się ich palcami.**

**Cymmerianin runął w dół, w kompletną ciemność, a lodowata, czarna woda wzięła go w swe objęcia i porwała z zapierającą dech szybkością.**

Z początku Conan nie próbował walczyć z unoszącym go przez ciemność prądem. Utrzymał się na powierzchni trzymając w zębach miecz, którego nie postradał nawet w czasie upadku, i nie próbował zgadnąć, jaki czeka go los. Nagle w otaczającym go mroku błysnął promień światła. Ujrzał rozkołysaną, czarną kipieli, wrzącą tak, jakby wzburzał ją jakiś potwór głębin i zobaczył, że pionowe, kamienne ściany kanału łączą się nad nim w niskie sklepienie. Po obu stronach tuż pod sufitem biegł wąski występ, ale był o wiele za wysoko, by mógł go dosięgnąć. W jednym miejscu sufit miał wyrwę, prawdopodobnie zawałił się, i przez ten właśnie otwór sączyło się światło. Poza tą niewielką, jasną plamą panowała zupełna ciemność i panika ogarnęła Conana, gdy pojął, że zostanie uniesiony dalej, znów w niezgłębiony mrok. Wtedy zobaczył coś jeszcze: mosiężne drabinki opuszczające się w regularnych odstępach pólek do powierzchni wody - właśnie zbliżał się do jednej z nich. Natychmiast popłynął w jej kierunku, walcząc z prądem trzymającym go na środku nurtu. Miał uczucie, że przytrzymuje go mnóstwo żywych, małych rąk, lecz z desperacką siłą mocując się z rwącymi falami przybliżał się do brzegu, walcząc zaciekle o każdy cal. Wreszcie dotarł do drabinki, uczepił się kurczowo ostatniego szczebla i zawisł na niej bez tchu.

W chwilę później wygramolił się z wodnej kipieli niechętnie powierzając swój ciężar wątłym szczeblom. Wykrzywiały się i zginały, lecz wytrzymały; wdrapał się po nich na wąski występ biegnący wzdłuż ściany i odległy ledwie na wysokość człowieka od wygiętego sklepienia. Rosły Cymmerianin musiał schylić głowę, gdy wstał. Na wprost szczytu drabinki ujrzał ciężkie drzwi z brązu, które jednak mimo jego wysiłków nie ustąpiły. Spluwając krwią włożył miecz do pochwy - ostrze przecięło mu wargi podczas zacieklej walki z rzeką - i zwrócił swoją uwagę ku dziurawemu sklepieniu.

Zdołał sięgnąć rękami otworu i uchwycić jego krawędzie, a ostrożne badanie upewniło go, że kamień wytrzyma ciężar. W chwilę później podciągnął się przez otwór i znalazł w obszernej, zupełnie zrujnowanej komnacie. Większość sufitu zarwała się, tak samo jak spora część podłogi stanowiącej sklepienie podziemnego kanału. Spękane przejścia otwierały drogę do innych sal i korytarzy. Conan był przekonany, że wciąż znajduje się w pałacu. Zastanawiał się z niepokojem, jak wiele komnat w tym pałacu stoi nad podziemną rzeką i kiedy stare płyty lub kafle znów ustąpią mu pod nogami, strącając z powrotem w wodę, z której dopiero co się wydostał. Zastanawiał się również, w jakim stopniu ten upadek był zbiegiem okoliczności. Czy zmurszałe płyty przypadkiem załamały się pod jego ciężarem, czy też przyczyna była bardziej złowieszcza! Jednego przynajmniej był pewien; nie był jedyną żywą istotą w pałacu. Gong nie zabrzmiał sam z siebie, obojętnie czy jego dźwięk miał zwabić go w śmiertelną pułapkę, czy nie. Cisza w pałacu wydała mu się nagle złowroga, brzemienista czającą się groźbą.

Czy nie mógł to być ktoś przybyły w takim samym jak i on celu? Nagle przyszedł mu na myśl tajemniczy Bit-Yakin. Może ten człowiek znalazł Zęby Gwahlura podczas długiego pobytu w Alkmeenonie, a jego słudzy odchodząc zabrali je ze sobą? Myśl, że być może uganiania się za błędnym ognikiem rozwścieczyła Cymmerianina.



Ruszył pospiesznie wybierając korytarz, który, jak sądził, wiódł z powrotem do tej części pałacu, gdzie spoczywa Yelaya, ostrożnie stawiając przy tym nogi na myśl o rozfalowanej, kipiącej gdzieś pod stopami czarnej rzece.

Jego myśli ponownie zwróciły się ku komnacie wyroczni i jej tajemniczej mieszkance. Gdzieś w pobliżu musiał być klucz do tajemnicy skarbu, o ile klejnoty nadal pozostawały w tym samym miejscu, w którym ukryto je przed wiekami.

Wielki pałac leżał pogrążony w odwiecznej ciszy zakłócanej jedynie szybkim stukotem sandałów Conana. Komnaty i korytarze, które mijał, były zrujnowane, ale w miarę jak kroczył, ślady zniszczenia stawały się mniej widoczne. Przelotnie zastanowił się, jakiemu celowi służyły drabinki schodzące z występów nad podziemną rzeką, ale zbył tę myśl wzruszeniem ramion. Mało go interesowały nie przynoszące korzyści rozważania nad dziwnymi problemami starożytnych. Właśnie zaczynał się zastanawiać, jak daleko może być jeszcze do komnaty wyroczni, gdy korytarz wyprowadził go z powrotem do wielkiej sali tronowej. Zdecydował, że szukanie skarbu błądząc bezcelowo po pałacu nie ma sensu. Powinien się gdzieś ukryć, poczekać aż przybędą kapłani Keshanu i kiedy już odprawią całą farsę z zasięgnięciem rady wyroczni, podążyć za nimi do miejsca ukrycia klejnotów, do którego - był przekonany - pójdą. Może wezmą ze sobą tylko kilka kamieni. On zadowoli się resztą.

Wiedziony niezdrową fascynacją, ponownie wszedł do komnaty wyroczni i jeszcze raz spojrzął na nieruchomą postać księżniczki. Jej mroźne piękno urzekło go. Jaką przedziwną tajemnicę kryła ta pięknie ukształtowana postać?

Drgnął gwałtownie i wciągnął powietrze przez zęby. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Ciało bogini nadal leżało tak, jak je uprzednio widział; ciche, nieruchome, w wysadzanych napierśnikach ze złota, jedwabnej spódnicy i połączonych sandałach. Jednak teraz nastąpiła w nim delikatna zmiana. Smukłe kończyny nie były sztywne, policzki miała brzoskwiniowo świeże, a wargi czerwone.

Ogarnięty lękiem Conan z przekleństwem wyszarpnął miecz.

- Na Croma! Ona żyje!

Na jego słowa uniosły się długie, ciemne rzęsy; niezgłębione, ciemne, lśniące tajemniczo oczy otwarły się i spojrzały na niego. Patrzył w nie zmrożony i milczący.

Usiadła z gibką łatwością, nadal wiążąc jego spojrzenie. Obliznął suche wargi i odnalazł głos.

- Jesteś... Jesteś Yelaya? - wyjąkał.

- Jestem Yelaya! - głęboki i melodyjny głos napelnił go nowym zdziwieniem. - Nie lękaj się. Nie uczynię ci krzywdy, jeśli usłuchasz mego rozkazu.

- Jak martwa kobieta może wrócić do życia po tylu wiekach? - dopytywał się, nie wierząc własnym zmysłom. W jego oczach jawił się dziwny błysk.

Uniosła ramiona w mistycznym geście.

- Jestem boginią. Tysiąc lat temu spadło na mnie przekleństwo potężniejszych bogów, bogów ciemności żyjących poza granicami światła. Umarłam jako istota śmiertelna - jako bogini nie umrę nigdy. Spoczywam tu, od tak wielu wieków, by budzić się co dzień po zachodzie słońca i królować na moim dworze jak ongiś, wśród widm przywiedzionych z cieni przeszłości. Człowieku, jeśli nie chcesz ujrzeć tego, co na zawsze zniszczyłoby twoją duszę – oddal się stąd szybko! Nakazuję ci! Idź!

Głos stał się władczy, a drobne ramię uniosło się wskazującym gestem.

Conan, z oczami jak płonące szparki, wolno schował miecz do pochwy, ale nie posłuchał jej rozkazu. Podeszedł bliżej, jakby wiedziony potężnym nakazem - i bez najlżejszego ostrzeżenia pochwycił ją w niedźwiedzi uścisk. Wrzasnęła wcale nie jak bogini, gdy z odgłosem rozrywanego jedwabiu, jednym bezlitosnym szarpnięciem zdarł z niej spódniczkę.

- Bogini! Ha! - parsknął ze złością i wzgardą, nie zwracając uwagi na gorączkowe próby uwolnienia się, jakie podejmowała dziewczyna. - Myślałem, że to dziwne, by księżniczka Alkmeenonu przemawiała z korynckim akcentem! Jak tylko zebrałem myśli przypomniałem sobie, że gdzieś cię widziałem! Jesteś Muriela, koryncka tancerka Zargheby. Dowodzi tego znamię w kształcie półksiężycy, które nosisz na biodrze. Widziałem je kiedyś, gdy Zargheba cię chłostał. Bogini! Ha! - ze wzgardą i głośnym plaśnięciem klepnął zdradliwe biodro i dziewczyna zaskomliła żalośnie.

Cała władczość opuściła ją. Nie była już tajemniczą postacią z przeszłości, lecz przerażoną i pokorną tancerką, jaką można kupić na prawie każdym shemickim targowisku. Żalośnie szlochała w głos. Conan spoglądał na nią z tryumfem i złością.

- Bogini! Ha! To ty byłaś jedną z tych zawołowanych kobiet, które Zargheba przywiózł ze sobą do Keshii. Czy sądziłaś, że zdołasz mnie oszukać, ty mała idiotko? Widziałem cię rok temu w Akbitanie z tym wieprzem, Zargheba, a wiedz, że ja nie zapominam twarzy ani kobiecych sylwetek. Myślę, że ...

Wijąc się w uścisku zarzuciła mu swe drobne ramiona na potężny kark, oddając się przerażeniu; łzy spływały jej po policzkach, a w trzęsącym nią szlochu brzmiała nuta hysterii.

- Och, proszę, nie rób mi krzywdy! Nie! Musiałam to zrobić! Zargheba przyprowadził mnie tu, żebym udawała wyrocznię!

- Cóż to, świętokradcze małżeństwo! - zagrzmiał Conan. - Czy nie obawiasz się bogów? Na Croma! Czy już nigdzie nie ma uczciwości?

- Och, proszę! - błagała, drżąc w skrajnym przerażeniu. - Nie mogłam nie usłuchać Zargheby. Och, co ja zrobię? Będę przeklęta przez tych pogańskich bogów!

- Jak myślisz, co zrobią z tobą kapłani, jeżeli się zorientują, że jesteś oszustką? - dociekał.

Na tę myśl nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się jak trzęsące się nieszczęście, chwytając Conana za kolana; mieszając bezładne błagania o litość i obronę z żalnymi zapewnieniami o swojej niewinności i braku złych intencji. Zmiana, w porównaniu z pozą

starożytnej księżniczki była nagła, ale nie zdumiewająca. Strach, który przedtem dodał jej siłę, teraz rozstroił ją zupełnie.

- Gdzie jest Zargheba? - dopytywał się Cymmerianin. - Przestań lamentować do diabła i odpowiadaj!

- Na zewnątrz pałacu - skamlała - patrzy, czy nadchodzą kapłani.

- Ilu ma ludzi?

- Nikogo. Przyszliśmy sami.

- Ha! - zabrzmiało, jak pełen zadowolenia pomruk polującego lwa - Musieliście opuścić Keshię kilka godzin po mnie. Wspinaliście się na skały?

Potrząsnęła przecząco głową, zbyt zapłakana, by mówić składnie. Z niecierpliwym przekleństwem pochwycił jej szczupłe ramiona i trząsł nią, aż zaparło jej dech.

- Przestań beczeć i odpowiadaj! Jak dostaliście się do doliny?

- Zargheba znalazł sekretne przejście - odparła bez tchu.

- Kapłan Gawrunga zdradził je, jemu i Thutmekriemu. Po południowej stronie doliny jest spora sadzawka u stóp skał. Pod powierzchnią wody jest niewidoczne dla niewtajemniczonych wejście do jaskini. Zanurkowaliśmy pod wodę i weszliśmy. Jaskinia szybko wznosi się powyżej poziomu wody i prowadzi przez skały. Wyjście po tej stronie maskuje gąszcz.

- A ja wspiałem się na skały po wschodniej stronie - wymamrotał - no i co dalej?

- Dotarliśmy do pałacu i Zargheba poszedł szukać komnaty wyroczni, a ja pozostałam ukryta w zaroślach. Sądzę, że niezupełnie wierzył Gawrundze. Kiedy odszedł, wydawało mi się, że słyszę dźwięk gongu, ale nie byłam pewna. Później Zargheba wrócił, zabrał mnie do pałacu i przyprowadził do komnaty, w której bogini Yelaya leżała na postumencie. Rozebrał ciało i ubrał mnie w jej odzienie i ozdoby. Potem odszedł ukryć ciało i wypatrywać kapłanów. Bałam się. Kiedy wszedłeś, chciałam skoczyć i prosić cię, byś zabrał mnie stąd, ale obawiałam się Zargheby. Kiedy odkryłeś, że jestem żywa, myślałam, że zdołam cię odstraszyć.

- Co miałaś powiedzieć jako wyrocznia? - zapytał.

- Miałam kazać kapłanom, by wzięli Zęby Gwahlura i dali kilka z nich Thutmekriemu jako rękojmię, tak jak chciał, a resztę umieścili w pałacu w Keshii. Miałam im powiedzieć, że straszliwy los grozi Keshanowi, jeżeli nie zgodzi się na propozycję Thutmekriego. Och, tak, miałam im też powiedzieć, że masz być niezwłocznie obdarty żywcem ze skóry.

- Thutmekri chciał, by skarb był w miejscu, gdzie on lub Zembabweiczycy mogą łatwo położyć na nim ręce - mruknął Conan, nie zwracając uwagi na dotyczącą go wzmiankę. - Jeszcze wyrwę mu wątrobę... Gorulga oczywiście też uczestniczy w tym szachrajstwie?

- Nie. On wierzy w swoich bogów i jest nieprzekupny. Nic o tym nie wie. Posłucha wyroczni. To był plan Thutmekriego. Wiedząc, że Keshanijczycy zasięgną rady wyroczni, kazał Zarghebie przywieźć mnie razem z misją z Zembabwei, szczelnie zawoalowaną i odosobnioną.

- O, niech to diabli! - wymruczał Conan - Kapłan, który naprawdę wierzy w swoją wyrocznię i jest nieprzekupny. Na Croma! Zastanawiam się, czy to Zargheba uderzył w gong. Czy on wiedział, że tu jestem? Czy mógł wiedzieć o tych zmurszałych płytach? Gdzie on teraz jest, dziewczyno? - zapytał.

- Ukrył się w gęstwinie krzewów lotosu, przy starodawnej drodze wiodącej od ścian skalnych na południu do pałacu - odpowiedziała.

- Och, Conanie, miej dla mnie litość! - wznowiła usilne błagania. - Boję się tego złowrogiego, prastarego miejsca. Jestem pewna, że słyszałam wokół siebie ciche, skradające się kroki - och, Conanie, zabierz mnie ze sobą! Zargheba zabije mnie, kiedy już się mną posłuży - wiem o tym! Kapłani również zabiją mnie, jeżeli odkryją moje oszustwa. To diabeł! Kupił mnie od handlarza niewolników, który wykradł mnie z karawany zdrażającej przez południowy Koth. Zrobił mnie narzędziem swoich intryg. Zabierz mnie od niego! Nie możesz być tak okrutny jak on. Nie pozwól, by mnie tu zabito! Proszę! Proszę! - klęczała obejmując nogi Conana, z uniesioną ku niemu piękną, oblaną łzami twarzą, z ciemnymi, jedwabistymi włosami rozsypanymi w nieładzie na białych ramionach. Conan podniósł ją i posadził sobie na kolanie.

- Posłuchaj. Obronię cię przed Zargheba. Kapłani nie dowiedzą się o waszej perfidii - ale musisz zrobić tak, jak ci powiem.

Wyjąkała obietnice absolutnego posłuszeństwa, ściskając jego żyłasty kark, tak jakby w tym kontakcie szukała bezpieczeństwa.

- Dobrze. Gdy nadejdą kapłani odegrasz rolę Yelayi, tak jak zaplanował Zargheba - będzie ciemno i przy świetle świec nigdy nie zauważą różnicy. Powiesz do nich tak: Woła bogów jest, aby Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu. To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwahlura będą oddane w opiekę generałowi Conanowi. Niech on, ulubieniec bogów, poprowadzi armie Keshanu.

Drżąca, z rozpaczą na twarzy, zgodziła się.

- A Zargheba? - zawołała - Zabije mnie!

- Nie przejmuj się Zargheba - mruknął - zajmę się tym psem. Zrób jak mówię. No, ulóż znów swoje włosy. Rozsypały ci się po ramionach. I kamień z nich wypadł - sam umieścił wielki błyszczący kamień na miejscu, kiwając głową z aprobatą.

- Ten jeden jest wart czeredy niewolników. Załóż z powrotem spódniczkę. Jest rozdarta na boku, ale kapłani nigdy tego nie zauważą. Wytrzymaj twarz. Bogini nie płacze jak chłostana uczennica. Na Croma, ty naprawdę wyglądasz jak Yelaya; twarz, włosy, figura i wszystko! Jeżeli przed kapłanami odegrasz boginię tak dobrze jak przede mną, to oszukasz ich z łatwością.

- Spróbuję - zadygotała.

- Idę poszukać Zargheby.

Na te słowa znów wpadła w panikę. - Nie! Nie zostawiaj mnie samej! To miejsce jest nawiedzone!

- Nikt tu nie zrobi ci krzywdy - zapewnił ją niecierpliwie. - Nikt oprócz Zargheby, a ja go odszukam. Wrócę szybko! Będę czuwał w pobliżu podczas ceremonii, na wypadek gdyby coś poszło nie po naszej myśli, jeśli jednak zagrasz odpowiednio swoją rolę, wszystko pójdzie dobrze.

Obrócił się i pospiesznie wyszedł z komnaty wyroczni pozostawiając bezgranicznie nieszczęśliwą Murielę. Zapadł zmierzch. Wielkie sale i przedsionki były mroczne i pełne cieni; miedziane fryzy błyszczały słabo w półmroku. Conan kroczył cicho jak zjawa przez wielkie sale mając uczucie, że obserwują go niewidzialne duchy przeszłości. Nic dziwnego, że dziewczyna była zdenerwowana. Z obnażonym mieczem w dłoni skradał się cicho jak pantera po marmurowych stopniach. Cisza zaważnęła dolinę, a w górze, nad granią mrugały gwiazdy. Jeżeli kapłani z Keshii przybyli do doliny, nie zdradzał tego żaden dźwięk, żaden ruch w gęstwinie.

Po chwili Cymmerianin dotarł do pradawnej alei o popękany bruku, ciągnącej się na południe, zagubionej wśród skłębionej masy gałęzi i gęsto ulistwionych krzewów. Podążał nią zachowując czujność, trzymając się skraju, gdzie gąszcz dawał głęboki cień, aż zobaczył przed sobą majaczącą w mroku kępę drzew lotosu niezwyklej wysokości, tak charakterystycznych dla ciemnych ziem Kushu. W tej gęstwinie, według słów dziewczyny, powinien czaić się Zargheba. Conan począł skradać się cicho jak kot i wtopił się w gąszcz niczym aksamitnostopy cień.

Okrężną drogą dotarł do kępy lotosu i ledwie czasem drgnienie liścia zdradzało jego obecność. Na skraju drzew zatrzymał się nagle, przyczajony jak podejrzliwy zwierz polujący w gęstym buszu. Przed nim, pośród gęstych liści majaczył niewyraźnie w niepewnym świetle błądy, owalny kształt. Mógł to być jeden z wielkich, białych kwiatów zwisających gęsto wśród gałęzi. Jednak Conan wiedział, że jest to ludzka twarz obrócona w jego kierunku. Cofnął się szybko w cień. Czy Zargheba go widział? Mężczyzna spoglądał prosto na Cymmerianina.

Mijały chwile. Niewyraźna twarz nie poruszała się. Conan mógł dojrzeć ciemną plamę poniżej - krótką, czarną brodę.

Nagle uświadomił sobie, że w tym widoku jest coś nienaturalnego. Zargheba, jak wiedział, nie był wysokim mężczyzną. Wyprostowany sięgał barbarzyńcy zaledwie do ramienia -a jednak ta twarz znajdowała się na poziomie jego twarzy. Czyżby mężczyzna stał na czymś?

Conan pochylił się, usiłując dojrzeć coś jeszcze oprócz twarzy, ale krzaki i grube pnie zasłaniały widok. Zobaczył jednak coś, co sprawiło, że zeszywniał. Przez przerwę w poszyciu leśnym ujrzał pień drzewa, pod którym, jak mu się wydawało, stał Zargheba. Twarz znajdowała się dokładnie na jednej linii z drzewem.

Poniżej twarzy powinien był zobaczyć nie pień, lecz ciało Zargheby - ale ciała tam nie było. Nagle, spięty bardziej niż tygrys skradający się do ofiary, Conan wśliznął się głębiej w gąszcz i w chwilę później pojawił się przy liściastej gałęzi. Spojrzał na nieruchomą twarz, która miała się już nigdy nie poruszyć z własnej woli. Miał przed sobą odciętą głowę Zargheby, którą zawieszono na gałęzi drzewa za długie, czarne włosy.

Conan odwrócił się zwinnie, omiatając cienie badawczym spojrzeniem. Nie dostrzegł jednak śladu ciała zamordowanego, tylko wysoka, bujna trawa opodal była zdeptana i połamana, a murawa zbryzgana czymś ciemnym i mokrym. Cymmerianin stał ledwie oddychając w ciszy i wyęczał słuch. Drzewa i krzewy o wielkich, bladych kwiatach otaczały go wśród pogłębiającego się mroku milczące, ciemne i złowieszcze. Prymitywny lęk sączył się w duszę barbarzyńcy.

Czy to było dzieło kapłanów Keshanu? Jeżeli tak, to gdzie oni są? Czy to Zargheba, mimo wszystko, uderzył w gong?

Ponownie wróciło wspomnienie Bit-Yakina i jego tajemniczych sług. Bit-Yakin był martwy, skurczony w bryłę pomarszczonej skóry, złożony w swej skalnej krypcie, by przez wieczność oddawać cześć wschodzącemu słońcu. Los jego sług był jednak nadal niejasny. Conan nie miał żadnego dowodu, że w ogóle opuścili dolinę.

Cymmerianin pomyślał o Murieli, która sama i bezbronna czekała na niego w pełnym cieniu pałacu. Okręcił się na pięcie i pobiegł z powrotem zasnutą mrokiem aleją, jak biegnie podejrzliwa pantera gotowa nawet w pełnym pędzie skrócić w lewo czy prawo i zadać śmiertelny cios.

Pałac majaczył już groźnie wśród drzew przed nim, gdy ujrzał blask ognia odbijający się czerwono w polerowanym marmurze. Conan zagłębił się w krzaki ciągnące się wzdłuż drogi, prześliznął przez zbity gąszcz i osiągnął skraj otwartej przestrzeni przed portykiem. Posłyszał głosy i ujrzał drgające światła pochodni, które odbijały się na błyszczących, hebanowych ramionach. Przybyli kapłani Keshanu.

Nie nadeszli szeroką, zarośniętą aleją, jak spodziewał się Zargheba. Najwidoczniej było więcej niż jedno sekretne wejście do doliny Alkmeenonu. Wkraczali po szerokich, marmurowych schodach dzierżąc wysoko uniesione pochodnie. Conan na czele defilady zobaczył Gorulgę; wykuty w miedzi profil odcinał się wyraźnie na tle płonących pochodni. Orszak składał się z niższych kapłanów; ogromnych czarnych mężczyzn, których skóra wysyłała świetlne refleksy w drgającym świetle pochodni. Na końcu procesji posuwał się olbrzymi Murzyn z wyraźnym piętnem lotrostwa na twarzy. Na jego widok Cymmerianin zmarszczył się groźnie. Był to Gwarunga, który według słów Murieli zdradził Zarghebie ukryte wejście przez sadzawkę. Conan zastanawiał się, jak głęboko ten człowiek był wplątany w intrygi Stygijczyka.

Gdy kapłani odeszli, pospieszył w kierunku portyku, okrążając otwartą przestrzeń i trzymając się otaczającego ją cienia. Kapłani nie zostawili nikogo na straży u wejścia. Korowód pochodni przesuwiał się powoli w głąb długiej, ciemnej sali. Zanim osiągnął dwuskrzydłe drzwi na drugim końcu, Conan pokonał zewnętrzne schody i znalazł się w sali za nimi. Skradając się zręcznie między stojącymi wzdłuż ściany kolumnami dotarł do wielkich drzwi, kapłani tymczasem przekraczali olbrzymią salę tronową. Światło pochodni rozpraszało mroczne cienie.

Nie oglądali się. Szli długim rzędem, kołysząc strusimi piórami, ich tuniki ze skór leopardów przedziwnie kontrastowały z marmurami i bogatymi zdobieniami starożytnego pałacu. Przeszli przez obszerną salę i przystanęli przed złotymi drzwiami po lewej stronie podium z tronem.

Głos Gorulgi zabrzmiał glucho i niesamowicie w ogromnej, pustej przestrzeni. Pełna górnołotnych fraz przemowa kapłana była niezrozumiała dla ukrytego Cymmerianina. Arcykapłan otworzył złote drzwi i wszedł do komnaty wyroczni, kłaniając się kilkakrotnie w pas, a ogniki pochodni podnosiły się i opadały, gdy wierni naśladowali swego mistrza. Złote drzwi zamknęły się za nimi odcinając obraz i dźwięk. Conan przemknął się przez salę posłuchań do alkowy za tronem robiąc mniej hałasu niż wiatr wiejący przez komnatę.

Gdy otworzył ukryte drzwi, dostrzegł, że z otworów w murze wydobywają się cienkie strumyki światła. Wśliznął się do niszy i zerknął przez otwory. Muriela siedziała na postumencie, wyprostowana, z założonymi rękami i głową opartą o ścianę, o kilka cali od jego oczu. Delikatny zapach jej sfalowanych włosów dotarł do jego nozdrzy. Oczywiście, nie mógł widzieć jej twarzy, lecz był pewny, że wyglądała jak pogrążone w transie medium, które widzi odległe otchłanie kosmosu, daleko, ponad ogolonymi głowami klęczących przed nią czarnych olbrzymów. Conan uśmiechnął się z aprobatą. Z tej małej jest naprawdę wielka aktorka - pomyślał. Wiedział, że trzęsa się z przerażenia, ale nie dawała tego poznać po sobie. W niepewnym blasku pochodni wyglądała zupełnie jak bogini, którą widział leżącą na tym samym postumencie, jeżeli można by ją sobie wyobrazić pełną życia i werwy.

Gorulga grzmiącym głosem zaintonował jakiś psalm w nieznanym Conanowi języku - prawdopodobnie inwokację w prastarym języku Alkmeenonu, przekazywaną przez arcykapłanów z pokolenia na pokolenie. Niecierpliwiającemu się Cymmerianinowi wydawało się, że śpiew nigdy się nie skończy. Im dłużej to trwało, tym bardziej zdenerwowana musiała być Muriela. Jeżeli się załamie ... Przesunął do przodu swój miecz i sztylet. Nie mógłby patrzeć, jak czarni ludzie torturują i zabijają małą nierządnicę.

W końcu jednak głęboki, nieopisane złowieszczy przyśpiew dobiegł końca, co podkreślił głośny krzyk aprobaty, jaki wydali ministranci. Unosząc głowę i wznosząc ramiona do cichej postaci na postumencie, Gorulga zawołał głębokim, dźwięcznym głosem, który był naturalnym atrybutem kapłana Keshanu:

- O wielka bogini, mieszkająca w wielkich ciemnościach, pozwól swemu sercu stopnieć, a wargom swym otworzyć się dla uszu niewolników twoich leżących z głowami w pyłe u twych stóp! Przemów, o wielka bogini świętej doliny! Ty znasz ścieżki naszego przeznaczenia; ciemność tajemna dla nas jest jak światło słońca w południe dla ciebie. Oświeć światłem twej mądrości ścieżki sług twoich! Powiedz nam, o głosie bogów, jaka jest ich wola względem Stygijczyka Thutmekriegego!

Wysoko upięta, połyskliwa masa włosów drgnęła lekko w przyćmionym, miedzianym świetle pochodni. Czarni westchnęli gwałtownie, w połowie z podziwu, w połowie ze strachu. Głos Murieli doleciał wyraźnie do uszu Conana w pełnym napięcia milczeniu i wydał mu się zimny, obojętny i bezosobowy, chociaż awanturnika zżymał wciąż pobrzmiwający w nim koryncki akcent.

- Wolą bogów jest, by Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu! - powtarzała dokładnie jego słowa. - To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwahlura będą oddane w opiekę generałowi Conanowi. Niech on poprowadzi armie Keshanu. On jest ulubieńcem bogów.

Głos jej lekko zadrżał pod koniec i Conan zaczął się pocić, pewien, że była bliska historycznego załamania. Jednak czarni nie zwrócili na to uwagi, ani na koryncki akcent, którego nie znali.

Z cichym klaśnięciem złożyli dłonie, wydając okrzyk zdumienia i podziwu. Oczy Gorulgi błyszczały fanatycznie w świetle pochodni.

- Yelaya przemówiła! - zakrzyknął podniosłym głosem - Taka jest wola bogów! Dawno temu, za dni naszych przodków, uczyniono je tabu i ukryto na rozkaz bogów, którzy wyrwali je ze strasznej paszczy Gwahlura - króla ciemności, w dniu narodzin świata. Na rozkaz bogów Zęby Gwahlura zostały ukryte; na ich rozkaz zostaną wydobyte ponownie. O niebiańska bogini, pozwól nam udać się do miejsca ukrycia Zębów, by zabezpieczyć je dla tego, kogo miłują bogowie!

- Zezwalam wam odejść! - odpowiedziała fałszywa bogini z władczym, odprawiającym gestem, który wywołał uśmiech Conana.

Kapłani wycofali się tyłem; strusie pióra i pochodnie wznosiły się i opadały w rytmie ich pokłonów. Złote drzwi zamknęły się i bogini z jękiem opadła bezwładnie na postument.

- Conanie! - wyjęczała słabo - Conanie!

- Tss! - syknął przez otwory, obrócił się, wyśliznął z niszy i zamknął płytę. Rzut oka przez rzeźbione drzwi ukazał mu kapłanów wychodzących z wielkiej sali tronowej. Jednocześnie uświadomił sobie, że blask, jakim sala była wypełniona, nie pochodził od pochodni. Zaniepokoił się, ale wyjaśnienie przyszło natychmiast. Wczesny księżyc wszedł i to jego światło padało przez otwory w kopule, która dzięki jakiejś przedziwnej sztuce wzmacniała je. Świecąca kopuła Alkmeenonu nie była więc bajką. Zapewne pokryto jej wnętrze dziwnym, białawo płonącym kryształem, znajduwanym tylko w górach czarnych krain. Światło wypełniało salę tronową i sączyło się do bezpośrednio przylegających komnat.

Conan ruszył w kierunku drzwi wiodących do sali tronowej, zawrócił jednak na głos, który zdawał się dochodzić z przejścia prowadzącego do alkowy. Przyczał się u wejścia mając jeszcze w pamięci dźwięk gongu, który zwabił go w pułapkę. Światło kopuły przesączało się zaledwie do małej części wąskiego korytarza, ukazując mu tylko pustą przestrzeń. Mimo to byłby przysiągł, że słyszał gdzieś w głębi ukradkowe stąpanie.

Z rozmyślań wyrwał go dochodzący z tyłu, zduszony krzyk kobiety. Wpadając w drzwi za tronem, zobaczył w krystalicznym świetle niespodziewaną scenę. Pochodnie kapłanów zniknęły z wielkiej sali - ale jeden kapłan pozostał w pałacu; Gwarunga.

Z twarzą wykrzywioną furią ścisnął przerażoną Murielę za gardło, dławiąc jej próby krzyków oraz błagań i potrząsał nią brutalnie.



- Zdrajczyni! - syczał jak kobra czerwonymi wargami – Co to za gra? Czy Zargheba nie powiedział ci, co masz mówić? Zdradzasz swojego pana, czy też on zdradza swych przyjaciół przy twojej pomocy? Dziwko! Ukręcę ci ten fałszywy łeb, ale najpierw...

Śliczne oczy schwytej rozszerzyły się, gdy spojrzała mu przez ramię i to ostrzegło olbrzymiego Murzyna. Puścił ją i obrócił się akurat, kiedy miecz Conana opadał na jego głowę. Silny cios rozciągnął go na marmurowej posadzce, gdzie leżał drgając, z krwią sączącą się z poszarpanej rany. Conan ruszył ku niemu, by dokończyć dzieła, widząc, że wskutek nagłego ruchu Murzyna ostrze uderzyło na płask - ale Muriela konwulsyjnie objęła go ramionami.

- Zrobiłam jak kazałeś! - dyszała histerycznie – Zabierz mnie stąd! Och, proszę, zabierz mnie stąd!

- Nie możemy jeszcze iść - mruknął - Chcę wysledzić, skąd kapłani wezmą klejnoty. Może tam być więcej ukrytych łupów. Możesz iść ze mną. Gdzie jest ten kamień, który miałas we włosach?

- Musiał mi wypaść na postumencie - wyjąkała dotykając włosów. - Byłam taka przestraszona... Kiedy kapłani odeszli, wybiegłam, aby cię szukać, lecz ten wielki brutal został i złapał mnie...

- Dobrze, poszukaj kamienia, a ja pozbędę się tej padliny - nakazał. - Ruszaj! Ten klejnot sam w sobie jest wart fortunę.

Zastanowiła się, niechętnie myśląc o powrocie do tajemniczej komnaty, wreszcie, gdy chwycił Gwarungę za pas i powłókł do alkowy, odwróciła się i weszła do środka. Conan rzucił z łomotem nieprzytomnego kapłana na posadzkę i wzniosł miecz. Cymmerianin żył zbyt długo w dzikich stronach świata, żeby mieć jakieś złudzenia co do litości. Jedyny dobry wróg, to bezgłowy wróg. Lecz zanim zadał cios, wstrząsający krzyk zatrzymał podniesione ostrze. Krzyk dobiegał z komnaty wyroczni.

- Conanie! Conanie! Ona wróciła! - Krzyk zakończył się bulgotem i odgłosem szamotania.

Conan wybiegł z alkowy z przekleństwem na ustach. Przebiegł przez podium i wpadł do komnaty wyroczni, nim krzyk przebrzmiał. Stał w progu, patrząc z niedowierzaniem. Sądząc z pozorów, Muriela leżała spokojnie na postumencie z oczami zamkniętymi jak we śnie.

- Co robisz, do pioruna? - dopytywał się kwaśnym tonem. - Nie czas na głupie żarty...

Urwał nagle. Jego spojrzenie pobiegło ku dopasowanej, jedwabnej spódniczce okrywającej uda dziewczyny. Spódniczka powinna być rozdarta od pasa do skraju. Był tego pewien, bo sam ją rozdarł, bezlitośnie zdzierając tę część odzieży z wrywającej się tancerki. Jednak materiał nie nosił śladu uszkodzeń. Jednym skokiem znalazł się przy postumencie, położył dłoń na udzie dziewczyny i odskoczył, jakby dotknął rozpalonego żelaza, a nie zimnego bezruchu śmierci.

- Na Croma! - wymamrotał, syjąc skry ze zwężonych oczu. - To nie Muriela! To Yelaya!

Teraz rozumiał ten nagły krzyk, jaki wydarł się z gardła Murieli, gdy weszła do komnaty. Bogini wróciła. Zargheba zdjął odzienie z księżniczki, by dostarczyć kostium pretendentce.

Mimo to ciało było teraz okryte jedwabiem i kosztownościami, tak jak Conan widział je za pierwszym razem. Cymmerianin poczuł dziwne mrowienie przebiegające po karku.

- Muriela! - wrzasnął nagle. - Muriela! Gdzie jesteś do diabła!

Mury odrzuciły jego głos szyderczo. Nie mógł dostrzec innej drogi do komnaty niż złote drzwi, przez które nikt nie mógł wyjść bez jego wiedzy. Bezsprzecznie Yelaya została umieszczona z powrotem na postumencie w ciągu kilku minut, jakie upłynęły od chwili, gdy Muriela opuściła komnatę i została pochwycona przez Gwarungę; w uszach dźwięczało mu jeszcze echo krzyku dziewczyny, a jednak tancerka zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Istniało tylko jedno wytłumaczenie, jeżeli odrzucić nadnaturalne moce; gdzieś w komnacie znajdowały się ukryte drzwi. W chwili, gdy przyszło mu to na myśl, zobaczył je.

W wyglądającym na jednolity bloku marmuru zauważył cienkie, prostokątne pęknięcie, w którym tkwił strzęp jedwabiu. Strzęp pochodził z rozdartej spódniczki Murieli. Wniosek był jednoznaczny. Zamykające się drzwi przytrzasnęły materiał, kiedy ją uprowadzono. Strzęp przeszkodził drzwiom zamknąć się zupełnie i dopasować do framugi.

Conan wcisnął sztylet w szczelinę i używając go jak dźwigni, naparł żyłastym przedramieniem. Klinga wygięła się, ale była z niełamiwej akbitańskiej stali. Marmurowe drzwi otwarły się. Zajrzał w otwór z wzniesionym do ciosu mieczem, lecz nie dostrzegł zagrożenia. Światło sączące się do komnaty wyroczeni ukazywało schodzące w dół stopnie wycięte w marmurze. Rozwarł drzwi na całą szerokość i wepchnął sztylet w szczelinę między nimi a posadzką. Zabezpieczywszy sobie odwrót bez namysłu ruszył po schodach. Nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego. Kilkanaście stopni niżej schody kończyły się wąskim korytarzem biegnącym dalej, prosto w mrok.

U stóp schodów zatrzymał się nagle, stając nieruchomo jak posąg i spoglądając na freski pokrywające ściany, ledwie widoczne w przyćmionym świetle dochodzącym z góry. To była bez wątpienia sztuka Pelishtów; widział freski w takim samym stylu na murach Asgalunu.

Jednak zobrazowane sceny nie miały nic wspólnego z Pelishtami oprócz jednej, często się powtarzającej postaci; chudego, białobrodego starca, którego rysy niewątpliwie zdradzały przynależność do tego ludu. Freski zdawały się ukazywać różne części pałacu. Kilka scen pokazywało pomieszczenie, w którym rozpoznał komnatę wyroczeni, z postacią wyciągniętej na postumencie Yelayi otoczonej przez klęczących czarnych olbrzymów. Za ścianą, w niszy widniał ukryty pradawny Pelishta. Były też inne postacie krążące po opuszczonym pałacu, wykonujące rozkazy Pelishty i wyciągające trudne do określenia przedmioty z podziemnej rzeki.

Przez kilka chwil Conan stał jak wmurowany. Niezrozumiałe dotąd wersy pergaminowego rękopisu rozbłysły mu w mózgu z przerażającą jasnością. Luźne fragmenty ułożyły się w całość. Tajemnica Bit-Yakina nie była już zagadką, tak samo jak tajemnica jego sług.

Conan obrócił się i spojrział w ciemność, czując lodowaty dreszcz pelznący mu po krzyżu. Nie ociągając się dłużej ruszył korytarzem, skradając się cicho jak kot w mrok tym głębszy, im bardziej oddalał się od schodów. Powietrze przesycone było tym samym odorem, jaki czuł

wokół gongu przed swym upadkiem.

W zupełnej ciemności usłyszał przed sobą jakiś dźwięk -szuranie bosych stóp czy też szelest odzieży trącej o mur; nie mógł tego określić. Jednak w chwilę później jego wyciągnięta ręka dotknęła przeszkody, w której rozpoznał masywne drzwi z rzeźbionego metalu. Pchnął je, lecz nawet nie drgnęły. Równie bezskutecznie szukał szczeliny końcem swego miecza. Drzwi były dopasowane do progu i framugi tak, jakby je tam wtopiono. Wytężył wszystkie siły, zapierając się nogami w posadzkę, aż żyły wystąpiły mu na skroniach. Daremnie - może szarża słoni wstrząsnęłaby gigantycznym portalem. Oparty o drzwi, posłyszał cichy dźwięk po drugiej stronie, a jego ucho momentalnie go rozpoznało - był to zgrzyt zardzewiałego żelastwa, coś jakby chrobot obracanej dźwigni. Zareagował instynktownie tak szybko, że dźwięk, myśl i działanie były prawie jednoczesne. Kiedy olbrzymim susem odskakiwał w tył, z góry runęła ogromna masa i grzmiący huk wypełnił tunel ogłuszającym dudnieniem. Uderzyły go fruujące odłamki; ogromny, kamienny blok - jak osądził po dźwięku -upadł na miejsce, które właśnie opuścił. Gdyby pomyślał lub zareagował odrobinę wolniej, zostałby zmiażdżony jak mrówka.

Conan cofnął się. Gdzieś po drugiej stronie tych metalowych wrót była uwięziona Muriela, o ile jeszcze żyła. Jednakże nie mógł pokonać drzwi, a jeśliby dłużej pozostał w tunelu, mógł spaść inny blok i tym razem mogłoby się to skończyć mniej szczęśliwie. Dziewczynie nie przyszłoby nic dobrego z tego, że dał zrobić z siebie krwawą miazgę. Nie mógł kontynuować poszukiwań. Musiał wyjść na wierzch i poszukać jakiejś innej drogi.

Odwrócił się i pospieszył ku schodom z westchnieniem ulgi wkraczając na lepiej oświetloną przestrzeń. Ale kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu, światło nad nim zgasło - marmurowe drzwi zatrzasnęły się z tysięcznym echem.

Uwięziony w ciemnym tunelu Cymmerianin był bliski paniki, spodziewając się natarcia niesamowitych napastników. Odwrócił się błyskawicznie unosząc miecz i przesywając mrok morderczym spojrzeniem. Jednak w tunelu panowała cisza i bezruch. Czyżby ludzie za drzwiami - jeżeli byli ludźmi -sądzi, że pozbyli się go zrzucając kamienny blok za pomocą jakiejś maszyny? Dlaczego więc zatrzasnęli drzwi do komnaty?

Porzucając rozważania, Conan wymacywał drogę w górę schodów, w każdej chwili spodziewając się ciosu nożem w plecy i czując gwałtowną chęć utopienia rodzącego się lęku w barbarzyńskim rozlewie krwi. Pchnął drzwi i zaklął wściekle, kiedy okazało się, że nie ustępują mimo jego wysiłków. Podniósł prawe ramię, by mieczem rąbnąć w marmur, gdy nagle jego macająca lewica dotknęła metalowej zasuwę najwidoczniej opadającej na miejsce po zamknięciu drzwi. Odsunął rygiel, a wtedy drzwi ustąpiły pod pchnięciem. Wpadł do komnaty niczym uosobienie wściekłości; ze zwężonymi oczyma i twarzą skurczoną morderczym grymasem. Płonął dzikim pragnieniem, by zetrzeć się z prześladowającym go wrogiem, kimkolwiek lub czymkolwiek on był.

Sztyletu nie było na posadzce. Komnata była pusta. Postument też. Yelaya znów zniknęła.

- Na Croma! - wymamrotał awanturnik - Czy ona jednak żyje?

Zadziwiony powędrował do sali tronowej i tam, uderzony nagłą myślą, wszedł za tron i

**zajrzał do alkowy. Gładki marmur był zakrwawiony w miejscu, gdzie cisnął bezwładne ciało Gwarungi - i to wszystko. Murzyn zniknął tak samo jak Yelaya.**

Conan był wściekły i zbity z tropu. Nie miał pojęcia, gdzie szukać Murieli i Zębów Gwahlura. Przyszło mu do głowy tylko jedno - śledzić kapłanów. Może w miejscu ukrycia skarbu znajdzie jakąś wskazówkę. Szansa była niewielka, ale zawsze to lepsze niż błąkać się bez celu. Gdy spieszył do portyku przez ogromną, mroczną salę wręcz spodziewał się, że przyczajone cienie nagle ożyją za jego plecami, szarpiąc kłami i pazurami. Jednak tylko szybkie bicie własnego serca towarzyszyło mu, gdy kroczył w promieniach księżyca lśniących cętkami na marmurze.

U stóp szerokich schodów rozejrzał się w jasnym, księżycowym świetle za jakimś znakiem wskazującym kierunek marszu. Znalazł go - rozrzucone na murawie płatki powiedziały, gdzie ramię lub odzież otarły się o obsypaną kwieciami gałąź. Trawa była zgnieciona ciężkimi stopami. Conan, który tropił wilki w swych rodzinnych górach, nie miał najmniejszego kłopotu ze znalezieniem tropu kapłanów Keshanu. Trop prowadził na zewnątrz, przez gąszcz egzotycznie pachnących krzewów o wielkich, bladych kwiatach rozkładających lśniące płatki przez zielone, splątane krzaki, których kwiecie czuł pod dotknięciem. W końcu dotarł do ogromnej grupy skał sterczących jak zamek tytanów przy gigantycznej ścianie skalnej otaczającej dolinę. Do pałacu było blisko, jednak był on niemal niewidoczny za opłatanymi winoroślą chaszczami. Najwidoczniej nieostrożny kapłan mylił się, gdy mówił w Keshii, że Zęby Gwahlura są ukryte w pałacu. Szlak wyprowadził Cymmerianina z pałacu, ale rosło w nim przekonanie, że każda część doliny jest połączona z pałacem podziemnymi przejściami.

Czając się w głębokim, aksamitno-czarnym cieniu krzewów, obrzucił badawczym spojrzeniem wypiętrzoną, olbrzymią skałę oblaną światłem księżyca. Była pokryta dziwnymi, groteskowymi rzeźbami, przedstawiającymi ludzi i zwierzęta oraz na pół zwierzęce istoty, które mogły być bogami lub demonami. Styl sztuki różnił się tak uderzająco od innych fresków, że Conan zastanawiał się, czy nie był to relikw z czasów zagubionych i zapomnianych nawet w nieskończenie odległym dniu, w którym lud Alkmeenonu odnalazł i zasiedlił nawiedzoną dolinę. Wielkie wrota stały otworem w stromej ścianie skalnej, na której wyrzeźbiono gigantyczny smoczy leb tak, że otwarte drzwi wyglądały jak rozwarta paszcza potwora. Same drzwi odlano i wyrzeźbiono w brązie - wyglądało na to, że ważą dobrych kilka ton. Nie zauważył żadnego zamka, lecz seria zasuw widocznych na brzegu stojącego otworem, masywnego portalu świadczyła, że jest jakiś system zamykania i otwierania - sposób bez wątpienia znany jedynie kapłanom Keshanu. Ślady wskazywały, że Gorulga i jego pomocnicy przeszli przez drzwi, ale Conan wahał się. Czekać aż wyjdą oznaczałoby prawdopodobnie, że ujrzałby, jak zamykają mu drzwi przed nosem i wielce prawdopodobnym było, że nie zdołałby ich otworzyć. Z drugiej strony, gdyby poszedł za nimi, mogli wyjść i zamknąć go wewnątrz jaskini.

Porzucając ostrożność prześliznął się przez wielkie wrota. Gdzieś w jaskini byli kapłani, Zęby Gwahlura i może jakaś wskazówka co do losów Murieli. Ryzyko jeszcze nigdy nie odwiodło go od celu.

Księżyc oświetlał kilka pierwszych jardów szerokiego tunelu, w którym się znalazł. Gdzieś przed sobą zobaczył słabą lunę i usłyszał echo posępnych przyśpiewów. Kapłani nie wyprzedzili go tak bardzo, jak sądził. Nim światło księżycy przestało rozjaśniać panujące ciemności, tunel rozszerzył się w rozległą komorę - pustą jaskinię o niewielkich wymiarach, lecz o wyniosłym, kopulastym sklepieniu świecącym fosforyzującym blaskiem. Jak Conan wiedział, było to zjawisko powszechnie spotykane w tej części świata. W upiornym półmroku dojrzał przykucnięty na ołtarzu posąg zwierzęcia i czarne paszcze sześciu czy siedmiu tuneli wychodzących z komnaty. W najszerszym z nich - tym za przykucniętym wizerunkiem spoglądającym w stronę wyjścia - pochwycił okiem migocące płomienie pochodni. Przyśpiew dolatywał właśnie stamtąd.

Ruszył, na nic nie zważając i po chwili dotarł do jaskini większej niż ta, którą dopiero co opuścił. Tutaj nie było świecącego sklepienia, ale światło pochodni oświetlało jeszcze większy ołtarz oraz jeszcze bardziej sprośnego i odrażającego bożka, który przycupnął na nim jak ropucha. Przed tą to odrażającą boskością klęczał Gorulga ze swą swiłą, bijąc pokłony i śpiewając monotonne pieśni. Conan zrozumiał, dlaczego kapłani posuwali się tak wolno. Najwidoczniej wejście do tajemnej krypty zawierającej klejnoty było połączone z całym skomplikowanym rytuałem.

Barbarzyńca wiercił się nerwowo, czekając niecierpliwie na zakończenie modłów i pokłonów. Wreszcie kapłani podnieśli się z klęczek i weszli w tunel rozpoczynający się za bożkiem. Ich pochodnie migotały w głębi mrocznej krypty. Podążył za nimi. Niebezpieczeństwo odkrycia prawie nie istniało. On przemykał się z cienia w cień jak nocny stwór, a czarni kapłani byli zupełnie pochłonięci swoją zabawną ceremonią. Najwyraźniej nawet nie zauważyli nieobecności Gwarungi. Wchodząc do jaskini ogromnych rozmiarów, której łagodnie wznoszące się ściany zapelniały rzędy galeriopodobnych występów, na nowo rozpoczęli i modły przed ołtarzem większym i bożkiem jeszcze paskudniejszym, niż dotychczas napotkane.

Cymmerianin przyciął się w ciemnej gardzieli tunelu, spoglądając na ściany odbijające niesamowity blask pochodni. Zobaczył wycięte w kamieniu schody wznoszące się od jednego rzędu galerii do drugiego; pułap ginał w ciemnościach.

Conan drgnął nagle, a przyśpiew urwał się gwałtownie. Klęczący kapłani zadarli głowy. Wysoko pod stropem rozległ się nieludzki głos. Kapłani zastygli na kolanach, unosząc ku górze twarze o upiornie niebieskim odcieniu, gdy pod wyniosłym sklepieniem oślepiająco rozbłysło upiorne światło rzucające pulsujący blask. Błysk oświetlił galerie i powtórzony echem krzyk arcykapłana przeszył wszystkich dreszczem. W górze ukazała się im smukła, biała postać, stojąca w bieli jedwabiu, lśniąca złotem i drogimi kamieniami. Potem blask przygasł do drgającej, pulsującej jasności, w której wszystko było niewyraźne, a smukła postać zdawała się zaledwie jaśniejszą plamą koloru kości słoniowej.

- Yelaya! - wrzasnął Gorulga, z twarzą barwy popiołu. - Czemu nas śledzisz? Czego żądasz?

Pod sufitem zabrzmiał posępny, nieludzki głos, odbijając się wielokrotnym echem od łukowatego sklepienia, wzmocniony i zmieniony nie do poznania.

**- Biada niedowiarkom! Biada fałszywym dzieciom Keshii! Zguba bluźniercom!**

**Kapłani wydali okrzyk przerażenia, a oświetlony blaskiem pochodni Gorulga wyglądał jak zszokowany sęp.**

**- Nie rozumiem! - wyjąkał. - Jesteśmy wierni. W komnacie wyroczni nakazałaś nam...**

**- Nie wierzcie w to, co usłyszeliście w komnacie wyroczni! - zagrział straszliwy głos, zwielnokrotniony tak, jak gdyby niezliczone mnóstwo głosów grzmiało i szeptało to samo ostrzeżenie. - Strzeżcie się fałszywych bogów i fałszywych proroków! Demon przybrał moją postać, głosząc w pałacu fałszywe proroctwo. Słuchajcie i bądźcie posłuszni, bo tylko ja jestem prawdziwą boginią i daję wam szansę ocalenia od zagłady!**

**Zabierzcie Zęby Gwahlura z krypty, w której je umieszczono tak dawno temu. Alkmeenon nie jest już świętym miejscem, bo został zbezczeszczone przez świętokradców. Złóżcie Zęby Gwahlura w ręce Thutmekriego, Stygijczyka, aby umieścił je w świątyni Dagona i Derkety. Tylko to może ocalić Keshan przed zgubą, uknutą przez demony nocy! Weźcie Zęby Gwahlura i idźcie, wracajcie niezwłocznie do Keshii. Tam dajcie klejnoty Thutmekriemu, schwytajcie cudzoziemskiego diabła - Conana i obedrzyjcie go żywcem ze skóry na wielkim placu!**

**Posłuchano bez zastanowienia. Trzęsąc się ze strachu, kapłani rzucili się biegiem do wejścia, znajdującego się za zwierzęcym bożkiem. Gorulga biegł na czele uciekających. Klębili się chwilę w przejściu, a w powietrzu rozlegały się wrzaski oparzonych w zamieszaniu pochodniami. Po chwili szybki tupot nóg ucichł w tunelu.**

**Conan nie poszedł za nimi. Przepelniało go gwałtowne pragnienie, by dowiedzieć się prawdy o tej fantastycznej aferze. Czyżby to była naprawdę Yelaya, jak mówił mu zimny pot na czole, czy też to małe ladaco Muriela okazała się mimo wszystko zdrajczynią? Jeżeli to ona...**

**Nim ostatnia pochodnia zniknęła w czarnym tunelu, pędził, żądny zemsty, w górę schodów. Niebieski blask dogasał, ale nadal pozwalał dojrzeć nieruchomą postać stojącą na galerii. Serce niemal stanęło mu w gardle, ale zbliżył się bez wahania. Podszedł ze wzniesionym mieczem i stanął jak uosobienie śmiertelnej groźby nad tajemniczą postacią.**

**-Yelaya! - sarknął. - Martwa jak i przed tysiącem lat!**

**Z ciemnego otworu korytarza za nim wypadł ciemny kształt. Jednakże czuły słuch Cymmerianina pochwycił nagły szmer bosych stóp. Uskoczył zwinnie jak kot, unikając wymierzonego w plecy, morderczego ciosu. Gdy połyskująca w ciemnej ręce stal przeszła ze świstem obok, zadał cios z furją rozdrażnionego pytona. Długa, prosta klinga przebiła napastnika i na półtorej stopy wyszła między łopatkami.**

**- Więc to tak! - Conan wyszarpnął miecz, gdy jego ofiara padała bezwładnie na ziemię. Ciało zadrgało i zeszytniało. W zamierającym świetle Conan zobaczył czarną skórę i hebanowe rysy, odrażające w niebieskawej poświacie. Zabił Gwarungę. Cymmerianin odwrócił się. Więzy na wysokości kolan i piersi utrzymywały boginię w wyprostowanej postawie przy**

kamiennej kolumnie. Przywiązane do kolumny włosy nie pozwalały opaść głowie. W migotliwym świetle więzy były prawie niewidoczne już z kilku jardów.

- Musiał wrócić do komnaty wyroczeni, kiedy zszedłem w podziemia - mruczał Conan. - Pewnie podejrzewał, że tam jestem. To on wyciągnął sztylet - Conan pochylił się, wyrwał swoją broń ze sztywniejących palców i umieścił ją na swoim miejscu przy pasie - i zamknął drzwi. Potem zabrał Yelayę, by oszukać tych idiotów, swoich braci. To jego głos słyszeli przed chwilą. Nie można go było rozpoznać przez te echa. I ten błyskający, niebieski płomień - wydawał mi się znajomy. Sztuka stygijskich kapłanów. Thutmekri musiał zdradzić tajemnicę Gwarundze. Gwarunga z łatwością zdołał dostać się do jaskini przed swoimi towarzyszami. Najwidoczniej znał plan jaskiń ze słyszenia lub z map posiadanych przez kapłanów. Wszedł do jaskiń za innymi niosąc boginię, przeszedł okrężną drogą przez tunele i groty, a potem ukrył się wraz ze swym brzemieniem na balkonie w czasie, gdy Gorulga razem z pomocnikami byli zajęci nie kończącym się rytuałem.

Niebieski płomień zgasł, lecz Conan zauważył inny blask dobywający się z otworu jednego z kilku korytarzy odchodzących z galerii. Gdzieś za tym korytarzem znajdowało się następne pole fosforescencji - rozpoznawał tę słabą, jednostajną poświatę. Korytarz wiódł w tym samym kierunku, w którym uciekli kapłani. Cymmerianin zdecydował się raczej pójść tamtędy niż opuszczać się w ciemność wielkiej jaskini w dole. Niewątpliwie korytarz łączył się z inną galerią, w innej komnacie, być może z miejscem, do którego pobiegli kapłani.

Pospieszył w tym kierunku. W miarę jak szedł, blask stawał się silniejszy, pozwalając dojrzeć ściany i podłogę tunelu. Gdzieś w dole przed sobą słyszał znów śpiewy kapłanów. Nagle ścianę po jego lewej ręce oblało fosforyzujące światło, a do jego uszu doleciał cichy, histeryczny szloch. Obrócił się i zajrzał w drzwi.

Znów zobaczył komnatę, tym razem wykutą w twardej skale, a nie naturalną, jak poprzednie. Kopulasty sufit świecił fosforyzującym blaskiem, ściany niemal całkowicie pokrywały inkrustowane złotem arabeski.

Pod najdalszą ścianą, na granitowym tronie, patrząc od wieków w stronę wejścia, siedział monstrualny i odrażający Pteor, bóg Pelishtów odlany w brązie, o przesadnie powiększonych atrybutach odzwierciedlających wulgarność jego kultu.

Na jego tronie leżała bezwładnie rozciągnięta, biała postać.

- No niech mnie licho! - jęknął Conan. Rozejrzał się podejrzliwie po komnacie nie znajdując śladu innego wejścia ani czyjejś obecności. Podeszedł bezgłośnie i spojrzął na dziewczynę o twarzy ukrytej w dłoniach i ramionach wstrząsanych szlochem krańcowego przygnębienia.

Od grubych, złotych obręczy na ramionach bożka biegły cienkie, złote łańcuchy skuwające jej ręce. Położył dłoń na nagim ramieniu dziewczyny, ta drgnęła przerażona, krzyknęła i obróciła ku niemu zalaną łzami twarz.

- Conan! - jak zwykle usiłowała uchwycić go kurczowo, ale łańcuchy przeszkodziły jej. Przeciął miękki metal tak blisko nadgarstków jak tylko mógł, sapiąc: - Będiesz musiała nosić



te bransoletki, dopóki nie znajdę dłuta lub pilnika. Puść mnie, do licha! Wy, aktorki jesteście zbyt uczuciowe. Przy okazji – co ci się przydarzyło?

- Kiedy weszłam z powrotem do komnaty wyroczni - wyjęczała - zobaczyłam boginię leżącą na postumencie, tak jak ujrzałam ją za pierwszym razem. Zawołałam cię i zaczęłam biec do drzwi - wtedy coś złapało mnie z tyłu. Zatkalo mi dłonią usta, przeniosło przez otwór w ścianie, po jakichś schodach, do ciemnego korytarza. Nie mogłam zobaczyć, co to było, dopóki nie minęliśmy dużych, metalowych drzwi i znaleźliśmy się w komnacie o jasnym suficie, jak ta. Och! - prawie zemdlałam, kiedy ich zobaczyłam! To nie są ludzie! To szare, owłosione diably poruszające się jak ludzie i mówiące niezrozumiałym bełkotem! Stali tam i zdawali się czekać. W pewnej chwili wydawało mi się, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. Wtedy jedno z nich pociągnęło za dźwignię w murze i po drugiej stronie coś zważyło się z łoskotem. Potem nieśli mnie długimi tunelami, wtaszczyli po schodach do tej komnaty, przykuli na kolanach tego paskudnego bożka i odeszli. Och, Conanie, kim oni są?

- Sługami Bit-Yakina - mruknął - Znalazłem rękopis, z którego dowiedziałem się paru rzeczy i napotkałem kilka fresków, które dopowiedziały mi resztę. Bit-Yakin był Pelishtą, który przywędrował do tej doliny ze swymi sługami po tym, jak opuścili ją mieszkańcy Alkmeenonu. Znalazł ciało księżniczki Yelayi i odkrył, że kapłani przybywali tu od czasu do czasu, bo już wtedy oddawano jej boską cześć. Uczynił z niej wyrocznię - on był jej głosem, przemawiając z niszy, którą wykuł w ścianie za podium z kości słoniowej. Kapłani nic nie podejrzewali; nigdy nie widzieli jego ani jego sług, bo ci zawsze kryli się na czas ich pobytu. Bit-Yakin żył tu i umarł, nigdy nie odkryty przez kapłanów. Crom wie, jak długo tu przebywał -chyba przez stulecia. Mędrcy Pelishtów umieli przedłużać swoje życie do setek lat. Kilku sam widziałem. Dlaczego żył tu samotnie i czemu odgrywał rolę wyroczni, tego nie pojmie zwykły człowiek. Sądzę, że celem wyroczni było utrzymywanie to miejsce nienaruszonym i świętym tak, by nikt mu nie przeszkadzał. Jadł żywność, którą kapłani przynosili jako ofiarę dla Yelayi, a jego słudzy jedli... hm... inne rzeczy...Zawsze wiedziałem, że z jeziora, do którego mieszkańcy puntyjskich wyżyn wrzucają swoich zmarłych, wypływa podziemna rzeka. Ta rzeka przepływa pod pałacem. Do wody schodzą drabinki, z których mogli wylawiać przepływające trupy.

Bit-Yakin zapisał wszystko na pergaminie i na murze podziemnego tunelu. Jednak w końcu umarł, a jego słudzy zmumifikowali go zgodnie ze wskazówkami, jakie dał im przed śmiercią, i umieścili w skalnej grocie. Resztę łatwo zgadnąć. Jego słudzy, jeszcze bardziej bliscy nieśmiertelności niż on, nadal tu przebywali. Kiedy następnym razem arcykapłan przybył zasięgnąć rady wyroczni, oni, nie mając pana, który by ich powstrzymał, rozszarpali go na strzępy. Tak więc od tej pory do dziś, nikt nie przychodził przemówić do wyroczni.

To oczywiście oni zmieniali szaty i ozdoby bogini na nowe, tak jak widzieli, że robił to Bit-Yakin. Niewątpliwie jest tu gdzieś zamknięta komnata, w której ukryto jedwabie przed zniszczeniem. To oni ubrali boginię i przenieśli z powrotem do pokoju wyroczni po tym, jak Zargheba ją okradł.

A - przy okazji - odcięli też głowę Zargheby i zawiesili w gęstwinie.

Muriela zadrżała, ale odetchnęła z ulgą. Już nie będzie mnie chłostał.

- Nie po tej stronie piekła - zgodził się Conan - ale chodźmy. Gwarunga zniszczył cały mój plan przez tę skradzioną boginię. Zamierzam śledzić kapłanów i odebrać im łup, kiedy go dostaną. A ty trzymaj się blisko. Nie mogę cię szukać przez cały czas.

- A słudzy Bit-Yakina? - szepnęła z przestraszeniem.

- Musimy zaryzykować - mruknął - Nie wiem, co planują, ale jak do tej pory wcale nie wykazywali ochoty, by wyjść i walczyć. Chodź.

Chwycił ją za rękę i wyprowadził z komnaty. Posuwając się korytarzem słyszeli śpiew kapłanów zmieszany z niskim, posępnym odgłosem pędzącej wody. Światło nad nimi stało się silniejsze - weszli na galerię olbrzymiej, wyniosłe sklepionej groty i spojrzeli w dół. Widok był fantastyczny i niesamowity.

Nad nimi lśnił fosforyzującym blaskiem pułap; sto stóp poniżej rozciągało się płaskie dno jaskini. W odległej części groty przecinał je głęboki, wąski kanał w skale, którym płynął wartki nurt. Wypadając z niezgłębionych mroków, strumień wirując przepływał przez jaskinię i znów ginął w ciemnościach. Widoczna część odbijała padający blask; czarna kipiel błyszczała, jakby była usiana żywymi klejnotami - mroźnym błękitem, krwawą czerwienią, migocącą zielenią i całą, ciągle się zmieniającą, tęczą barw.

Conan i jego towarzyszka stali na jednym z podobnych do galerii występów opasujących wyniosłe ściany. Z występu zapierającym dech w piersi łukiem, naturalny most z kamienia wzbijał się nad głęboką otchłanią pieczary, łącząc się ze znacznie mniejszym występem po drugiej stronie rzeki. Dziesięć stóp wyżej następny, szerszy łuk rozciągał się nad jaskinią. Na każdym końcu wyciosane stopnie łączyły spinające przeciwległe ściany mosty.

Wiodąc spojrzeniem po wygięciu łuku odchodzącego z występu, na którym stali, Conan zauważył blask światła, różniący się od niesamowitej fosforescencji jaskini. Na małym występie po przeciwnej stronie, w skalnej ścianie znajdował się otwór, przez który błyszczały gwiazdy.

Natychmiast jednak całą jego uwagę przyciągnęła scena odgrywająca się w dole. Kapłani dotarli wreszcie do celu. W odległym kącie jaskini stał kamienny ołtarz, lecz nie było na nim bożka. Conan nie mógł dojrzeć, czy był jakiś za ołtarzem, ponieważ dzięki jakiejś sztuczce światło lub wypukłość ściany zostawiała przestrzeń za nim w zupełnej ciemności.

Kapłani wetknęli pochodnie w otwory kamiennej podłogi, tworząc ognisty półokrąg w odległości kilku jardów przed ołtarzem. Sami sformowali półkole wewnątrz półokręgu pochodni i Gorulga, uniósłszy najpierw ręce w geście wezwania, pochylił się nad ołtarzem i położył na nim ręce. Ołtarz podniósł się i odchylił w tył jak pokrywa kufra, odsłaniając małą kryptę.

Wyciągnąwszy długie ramię, Gorulga wyjął niewielką, mosiężną szkatułę. Opuścił ołtarz z powrotem na miejsce, postawił na nim skrzynkę i podniósł pokrywę. Podnieconym widzom na wysokiej galerii wydawało się, że ten ruch wyzwolił żywe płomienie, drżące i pulsujące wokół otwartej szkatuły. Serce Conana skoczyło, a dłoń chwyciła za rękojeść miecza. Nareszcie ujrzał Zęby Gwahlura! Skarb, czyniący posiadacza najbogatszym człowiekiem na świecie. Przez zaciśnięte zęby Cymmerianina wydobywał się przyspieszony oddech.

Nagle uświadomił sobie, że na światło pochodni i fosforyzującego pułapu podziałała jakaś siła, pozbawiając je mocy. Wokół ołtarza zaległy ciemności rozświetlane jedynie upiornym blaskiem światła rzucanego przez Zęby Gwahlura - światło to stawało się coraz silniejsze. Czarni zamarli jak figury z bazaltu, ich cienie stały nieruchomo, gigantyczne i groteskowe.

Ołtarz był skąpany w blasku i zdumione rysy Gorulgi odcinały się z całą wyrazistością. Nieprzenikniona ciemność za ołtarzem rozbłysła rozprzestrzeniającym się światłem. Powoli, w miarę jak krąg światła rozszerzał się, ukazywały się postacie, jak kształty powstające z nocy i ciszy.

Na początku wyglądały jak szare, kamienne posągi - to nieruchome, włochate, ohydne karykatury człowieka. Jedynie ich sypiące skrami zimnej wściekłości oczy były żywe. Upiorna poświata oświetlała ich zwierzęce kształty. Gorulga wrzasnął i upadł w tył, wyrzucając przed siebie ręce w dzikim przerażeniu. Niekształtne, długie ramię sięgnęło błyskawicznie ponad ołtarzem; pięść opadła z siłą młota i krzyki Gorulgi ucichły. Jego bezwładne ciało legło na ołtarzu, a mózg wypływał ze zmiażdżonej czaszki. Wtedy słudzy Bit-Yakina natarli jak horda demonów na skamieniałych z przerażenia czarnych kapłanów.

Była to rzeź - ponura i przerażająca.

Conan widział czarne ciała ciskane jak plewy łapami zabójców.

Przeciwko ich straszliwej sile sztylety i miecze kapłanów były zupełnie bezużyteczne. Widział ludzi unoszonych w górę i miażdżonych o ołtarz. Widział, jak potworna ręka wepchnęła płonąca pochodnię w gardło nieszczęśnika, szarpiącego się daremnie w przytrzymujących go ramionach. Ujrzał mężczyznę rozdartego na dwoje jak kurczaka, a jego krwawe szczątki ciśnięte w różne strony jaskini. Gwałtowna i niszcząca jak huragan masakra zakończyła się w jednym, krwawym wybuchu bezdennej dzikości. Tylko jeden nieszczęśnik, wrzeszcząc przeraźliwie, uciekał drogą, którą przyszli kapłani. Horda zbryzganych krwią stworów ścigała go, wyciągając umazane posoką łapy. Uciekinier i ścigający zniknęli w ciemnym tunelu. Krzyki człowieka cichły w oddali.

Muriela klęczała, ściskając kolana Conana, z twarzą przytuloną do niego i zamkniętymi oczyma. Była drżącym i trzęsącym się uosobieniem skrajnego przerażenia. Conan jednak sprężył się do akcji.

Rzut oka na świecące przez otwór gwiazdy, na szkatułę nadal stojącą na zalanym krwią ołtarzu - i dojrzał nikły cień szansy.

- Idę po tę szkatułę! - warknął - Zostań tutaj!

- Och Mitro, nie! - zupełnie przerażona upadła mu do stóp chwytając go za sandały. - Nie! Nie! Nie zostawiaj mnie!

- Leż cicho i nie odzywaj się! - przerwał, uwalniając się z jej kurczowego uścisku.

Nie zwrócił uwagi na kręte schody. Opuszczał się z występu na występ z zuchwałym pośpiechem. Gdy stanął na dnie jaskini, potwory jeszcze nie wróciły. Kilka pochodni tkwiących w otworach jeszcze się paliło, fosforyczny odbłask pulsował drżąco, a rzeka przepływała,

pomrukując niemal ludzkim głosem i iskrząc się nieprawdopodobną jasnością. Łuna oznajmiająca przybycie sług Bit-Yakina zniknęła razem z nimi. Tylko klejnoty w mosiężnej szkatule lśniły i błyszczwały.

Cymmerianin porwał szkatułę, oceniwszy jej zawartość jednym pożądlwym spojrzeniem - garść płonących lodowatym, nieziemskim blaskiem kamieni o przedziwnych kształtach. Zatrzasnął wieko, wcisnął skrzynkę pod pachę i pobiegł schodami w górę. Nie miał ochoty spotykać się z diabelskimi sługami Bit-Yakina. Przelotna znajomość rozwiała wszystkie złudzenia, co do ich umiejętności walki. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak długo czekali, zanim uderzyli na intruzów. Czyż człowiek mógłby odgadnąć myśli lub motywy działania tych potworów? Wykazali się zręcznością i inteligencją równą ludzkiej, a na dnie jaskini leżały krwawe dowody ich zwierzęcej dzikości.

Koryncjanka nadal kulila się na galerii, tam gdzie ją zostawił. Chwycił ją za rękę i postawił na nogi, mrużąc:

- Myślę, że czas iść!

Zbyt otumaniona z przerażenia, by zrozumieć, co się dzieje, dziewczyna pozwoliła poprowadzić się przez most. Dopiero kiedy znajdowali się nad pędzącą wodą, spojrzała w dół, w zapierającą dech przepaść, jęknęła wstrząśnięta i byłaby spadła, gdyby Conan nie objął jej potężnym ramieniem. Burcząc pokrzepiająco do ucha, wziął ją pod drugą, wolną pachę i przeniósł, trzepocząc słabo rękami i nogami przez most, do otworu. Nie kłopotząc się stawianiem jej na nogi, ruszył pospiesznie tunelem, do którego prowadził otwór. W chwilę później wyszli na wąski występ po zewnętrznej stronie skalnych ścian otaczających dolinę. Mniej niż sto stóp poniżej, dżungla falowała w świetle gwiazd. Patrząc w dół, Conan wydał gwałtowne westchnienie ulgi. Wierzył, że potrafi uporać się z zejściem, nawet obciążony klejnotami i dziewczyną, chociaż wątpił, by potrafił wspiąć się tędy w górę, nawet bez obciążenia. Postawił szkatułę, jeszcze usmarowaną krwią i mózgiem Gorulgi, na półce i zaczął zdejmować pas, by przywiązać szkatułę na plecach. Złowieszczo jednoznaczny odgłos w tyle zmusił go do działania.

- Zostań tu! - rzucił oszołomionej dziewczynie - i nie ruszaj się!

Wyciągając miecz pobiegł tunelem do jaskini, tocząc wściekłym wzrokiem. W połowie wyższego mostu ujrzał szarą, niekształtną postać. Jeden ze sług Bit-Yakina był na jego tropie.

Conan nie miał wątpliwości, że bestia widziała ich i ścigała. Nie zastanawiał się ani chwili. Obrona wejścia do tunelu mogła być łatwiejsza, ale ta walka musiała być zakończona szybko, nim inni słudzy powrócą.

Wybiegł na most na spotkanie potwora. Nie była to małpa, nie był to również człowiek. To był jakiś człekokształtny potwór, zrodzony w tajemniczych, niezbadanych dżunglach południa, gdzie dziwne, niezdominowane przez człowieka stwory roily się w wyziewach zgnilizny, a bębny grzmiały w świątyniach nie dotkniętych nigdy ludzką stopą. W jaki sposób prastary Pelishta zdobył władzę nad nimi i wraz z nią wieczystą ucieczkę przed ludzkością - było zagadką nie do rozwiązania. Conan nie trudziłby się rozważaniami nad nią, nawet gdyby miał na

to czas.

Człowiek i potwór spotkali się w najwyższym punkcie mostu, sto stóp nad powierzchnią czarnej, oszalalej wody. Kiedy monstrualna postać o odrażającym ciele i rysach kamiennego bożka wylonila się przed nim, Conan uderzył, jak uderza ranny tygrys; wkładając w cios całą siłę i wściekłość. Taki cios przecięłby człowieka na dwoje, lecz kości sług Bit-Yakina były twarde jak hartowana stal. Jednak nawet hartowana stal nie zniósłaby bez uszczerbku szaleńczego cięcia. Cios przecięł bark oraz żebra i krew trysnęła z ogromnej rany.

Nie było czasu uderzyć powtórnie. Zanim Cymmerianin zdołał znów unieść ostrze lub odskoczyć, zamach gigantycznego łapska strącił go z mostu jak muchę. Lecąc w dół miał w uszach łoskot rzeki jak podzwonne, ale połową ciała wpadł na niższy most. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę, kołysał się niebezpiecznie na skraju, aż macające gorączkowo palce uchwyciły krawędź i wygramolił się na most, nadal zaciskając miecz w drugiej ręce.

Stojąc, zobaczył potwora, który brocząc obficie krwią, pędził ku łączącym mosty schodom. Najwidoczniej zamierzał zejść i wznowić walkę, lecz na występie zatrzymał się w biegu. Conan również to zobaczył. U wejścia do tunelu stała oniemiała ze strachu Muriela, ze szkatułą klejnotów pod pachą.

Z tryumfalnym rykiem potwór porwał ją pod jedną pachę, w drugą rękę chwycił szkatułę, którą upuściła i zawrócił ociężałe na most. Conan zaklął z pasją i pobiegł w tym samym kierunku po niższym moście. Wątpił, czy zdołałby wbiec po schodach na wyższy most, nim bestia dopadnie labiryntu tuneli po drugiej stronie.

Potwór jednak zwalniał, jakby zepsuł się jakiś poruszający go mechanizm. Krew tryskała mu ze straszliwej rany w piersi i zataczał się z boku na bok, jak pijany. Nagle potknął się, zachwiał i przewrócił na bok... Lecąc głową w dół runął w przepaść. Dziewczyna i szkatuła klejnotów wypadły mu z pozbawionych czucia łap. Przerażliwy krzyk Murieli zagłuszył ryk pędzącej w dole rzeki. Conan znajdował się prawie pod miejscem, z którego spadali. Potwór otarł się o niższy most i poleciał w dół, ale wymachująca rękami i nogami dziewczyna zawisła na skalnym łuku. Szkatuła upadła na skraj mostu tuż przy niej. Każda z nich upadła jednak po innej ręce Conana. Każda leżała w zasięgu ręki. Przez ułamek sekundy szkatuła chybotwała się na krawędzi mostu, a Muriela wisząc na jednej ręce patrzyła na Conana oczami pełnymi śmiertelnego lęku, z krzykiem rozpaczony na ustach.

Conan nie zastanawiał się, nawet nie spojrział na szkatułę kryjącą bogactwo epoki. Z szybkością, która zdziwiłaby głodnego jaguara, pochylił się, chwycił ramię dziewczyny w chwili, gdy jej ręce ześlizgiwały się z gładkiego kamienia i jednym ruchem postawił ją na moście. Szkatuła spadła i uderzyła sto stóp niżej o powierzchnię płynącej wody, w której znikły już zwłoki sługi Bit-Yakina. Plusk i fontanna bryzgów oznaczyły miejsce, w którym Zęby Gwahlura zniknęły na zawsze dla ludzkich oczu. Conan ledwie rzucił na to wzrokiem. Pomknął jak kot przez most i wbiegł po schodach, niosąc bezwładną dziewczynę, jak gdyby była niemowlęciem. Wchodząc na górny most usłyszał ohydne wycia. Spojrział przez ramię i ujrzał stwory wpadające z powrotem do jaskini. Z ich obnażonych kłów kapiała krew. Rycząc mściwie, pędziły po schodach wiodących z półki na półkę.

Conan bezceremonialnie zarzucił sobie dziewczynę na ramię, przebiegł tunel i zaczął opuszczać się w dół; sam był podobny do małpy, gdy tak przerzucał się od chwytu do chwytu z karkołomnym zuchwalstwem. Gdy zwierzęce pyski wyjrzały przez otwór, Cymmerianin z dziewczyną właśnie znikali w otaczającej skalny pierścień dżungli.

- No - powiedział Conan, stawiając dziewczynę na nogi w bezpiecznym zaciszu gałęzi - mamy teraz sporo czasu. Nie sądzę, żeby te bestie ścigały nas aż tutaj. W każdym razie mam tu konia uwiązanego u wodopoju, o ile lwy go nie zjadły. Na Croma i do diabła! Dlaczego teraz płaczesz?

Ukryła zalaną łzami twarz w dłoniach i szloch wstrząsał jej szczupłymi ramionami.

- Straciłam twoje klejnoty - jęczała żałośnie - To moja wina. Gdybym cię posłuchała i została na półce, ta bestia nigdy by mnie nie zobaczyła. Powinieneś był złapać kamienie i pozwolić mi utonąć!

- Tak, chyba powinienem - zgodził się - ale zapomnijmy o tym. Nigdy nie martw się tym, co minęło. I przestań płakać, dobrze? Teraz lepiej. Chodź!

- To znaczy, że chcesz mnie zatrzymać? Zabrać ze sobą? - pytała z nadzieją w głosie.

- Co innego mógłbym z tobą zrobić? - obrzucił aprobusującym spojrzeniem jej postać i uśmiechnął się na widok rozdartej spódniczki odsłaniającej wspaniałe obszary kuszących, toczonych w kości słoniowej okrągłości. - Znajdę użytek dla takiej aktorki jak ty.

- Nie mamy po co wracać do Keshii. W Keshanie nie ma już nic, czego bym chciał. Pojedziemy do Puntu. Puntyczycy oddają cześć bogini z kości słoniowej i wyplukują z rzek złoto plecionymi koszykami. Powiem im, że Keshan spiskuje z Thutmekrim, by ich podbić - co jest prawdą - i że bogowie przysłali mnie, bym ich bronił - za jakieś parę worków złota. Jeżeli zdołam przemycić cię do ich świątyni, abyś zamieniła się miejscami z ich boginią... Zedrzymy z nich wszystko, do ostatniego złotego zęba!